

KS. JAN URBAN T. J.

WŚRÓD UNITÓW NA PODLASIU

PAMIĘTNIKI WYCIECZEK MISYJNYCH



KRAKÓW 1923
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW

WŚRÓD UNITÓW
NA PODLASIU

KS. JAN URBAN T. J.

WŚRÓD UNITÓW NA PODLASIU

PAMIĘTNIKI WYCIECZEK MISYJNYCH



KRAKÓW 1923
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW

REGIONALIA



28(438)"18/19":943,8.04Podlasie]:929(438)
XVC: [1] UrbanT.]

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



5 152787000003

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU ROWSZECHNEGO“.

KILKA SŁÓW O MISJACH NA PODLASIU.

Przez długi czas, począwszy od r. 1831, przygotowywał rząd rosyjski Unitów podlaskich do odstępstwa od wiary katolickiej. Z początku wmawiano w nich, że rządowi nie chodzi o to, aby wyrzekli się swej wiary i wypowiedzieli posłuszeństwo Ojcu św., że jedynem rządu życzeniem jest, aby z ich nabożeństw i zwyczajów kościelnych były usunięte te naleciałości, które się do obrządku unickiego zakradły z kościołów łacińskich. Żądanie swoje popierał rząd niby troską o zachowanie narodowości ruskiej, która przez zbliżenie się na gruncie wiary z narodowością polską, coraz bardziej ulegała wpływom tej ostatniej.

Tak twierdził rząd, lecz zarówno lud podlaski, jak i jego duchowni pasterze, dobrze wiedzieli, że zamiary carskiego rządu o wiele dalej sięgają, że chodzi o stopniowe przyprowadzenie ludu unickiego do prawosławia, z którym jego przodkowie, za przewodem swoich biskupów, zerwali jeszcze w r. 1595 na Synodzie brzeskim. Czyż zresztą nie od podobnych perswazyj zaczęło się przeciąganie na prawosławie ich braci białoruskich w r. 1839? Dlatego, kiedy posłuszny rządowi konsystorz chełmski, kierowany przez zaprze-

danych ludzi, jak ks. Wójcicki i ks. Popiel, począł w r. 1867 i 1874 wprowadzać do obrzędów różne zmiany, wyrzucać modlitwy i śpiewy, zapożyczone z kościołów, usuwać ze świątyń organy, a zaprowadzać ikonostasy tam, gdzie ich dotąd nie było — poszedł po całym Podlasiu potężny głos sprzeciwu. Lud unicki powiedział: »Pójdziemy raczej do kościołów polskich, a nie damy wydrzeć sobie naszych uświęconych obrzędów i zwyczajów, a tembardziej naszej katolickiej wiary«.

Tak też lud uczynił. Najpierw począł bronić swoich wiejskich cerkiewek przed inwazją rusyfikatorów; ci jednak na usługi swoje mieli urzędy, kozaków i wojsko, i trzeba było ustąpić przed fizyczną przemocą. W Pratulinie i Drelowie w r. 1874 połała się krew obrońców i kilkudziesięciu z nich padło od kul moskiewskich. Wtedy lud opuścił swoje cerkiewki, w których ojcowie i dziadowie jego modlili się i począł tłumnie garnąć się do polskich łacińskich kościołów. Wkrótce rząd i zaprzędani mu rusyfikatorzy zrzucili maskę. Kapłanów unickich, którzy wychowywali dotąd lud sobie powierzony w przywiązaniu do prawdziwego Kościoła, usunięto z parafij; na ich miejsce nazbierano innych księży, przeważnie wśród Unitów w Galicji, księży, którzy za judaszowe grosze zobowiązywali się sprzedać swą wiarę i Kościół. I rzeczywiście już 24 (1) maja 1875 roku ci zaprzańcy z Popielem na czele ogłosili w Chełmie akt odstępstwa od Kościoła katolickiego, a przyłączenia się do carskiego prawosławia. Lud się przekonał, jak słuszne były jego obawy i przewidywania i tembardziej począł stronić

od wszelkich stosunków z intruzami, którzy obsiedli jego cerkwie i parafje.

Ale ten lud jednym aktem despotyzmu carskiego został pozbawiony wszelkich pociech religijnych. Ogłoszono urzędowo, że cała dotychczasowa ludność unicka przez akt chełmski stała się nieodwołalnie prawosławną; zabroniono jej pod ciężkimi karami udawać się o posługi duchowne do księży łacińskich, a księżom zagrożono deportacją na Sybir i zamknięciem kościołów, jeśliby jakkolwiek pomoc duchowną temu ludowi ośmielili się podać. Owszem, rząd wymógł na słabym biskupie-sufraganie lubelskim, Baranowskim, aby on sam tę wolę rządu nałożył jako obowiązek podwładnym księżom.

W tych warunkach zdawało się, że ślady unji na Podlasiu zanikną w niedługim czasie. Bo i jakże mogłaby się ona utrzymać, jeżeli w całym kraju nie było ani jednego unickiego kapłana, kiedy we wszystkich świątyniach unickich rozbrzmiewały prawosławne nabożeństwa, a lud przecież musiał gdzieś chrzczyć swoje dzieci, błogosławić swoje małżeństwa, grzebać swoich umarłych, oczyszczać sumienia z grzechów. Zdawało się, że koniecznością zmuszony, pójdzie do narzuczonych mu popów, że powoli się do nich przyzwyczai, z prawosławiem się oswoi i wreszcie o swojej katolickiej przeszłości zapomni.

Dzięki Bogu, stało się inaczej, niż można było się spodziewać, licząc tylko na zwyczajne ludzkie środki. Unicki lud Podlasia w dużej większości zachował swoją wiarę, owszem mocniej się do niej przywiązał i głębiej ją poznał.

Opatrzność Boża użyła do tego celu dwóch środków: męstwa samego ludu i poświęcenia łacińskich kapłanów.

*

*

*

Męstwo podlaskich Unitów zajmie w historii Kościoła poczesne miejsce obok męstwa pierwszych wyznawców Chrystusowych. Przez lat 30 (od r. 1875 do r. 1905) wypróbowano na nich wszystkie środki przemocy, by »upór« ich, jak określano to męstwo w języku urzędowym, złamać. Za niespełnianie obrzędów prawosławnych okładano ten lud wysokimi grzywnami, często rujnując jego majątki; tych, co drugich zachęcali do wytrwania, setkami wyrywano z rodzinnych wiosek, zapełniano nimi więzienia Białej i Siedlec, deportowano ich w odległe stepy chersońskie i orenburskie; znęcano się nad ludem w sposób bestjałski, wymierzając »uporstwjuuszczym« setki nahajów, pod którymi skonał niejeden Unit i niejedna Unitka, bo i kobietom nie oszczędzano tej katuszy; do opornych wsi nasyłano na egzekucje kozackie sotnie, które zjadały do szczętu wszystko, co we wsi do zjedzenia było, podczas gdy lud tułał się po lasach, lub był zapędzany do robót nawet tak bezmyślnych, jak przesypywanie śniegu wśród trzaskających mrozów.

Do tych wszystkich katuszy fizycznych dodajmy moralne: matki niejednokrotnie musiały patrzeć bezradne, jak wydzierano im z objęć niemowlęta, aby je oddać do prawosławnego chrztu; pary, które pobłogosławił gdzieś w ukryciu katolicki kapłan, rozpędzała

policja jako nieprawnie ze sobą żyjące; dzieci, które z takich stadel przychodziły na świat, w oczach władz rządowych były dziećmi nieprawego łoża, nie mającemi prawa do nazwiska i do spuścizny po swoich ojcach. Tych, co się chyłkiem przekradali do coraz to rzadszych łacińskich kościołów, policja rosyjska pałką i nahajką zawracała z drogi. Ciała zmarłych, a zmarłych bez ostatnich pociech religijnych, musiały być ukradkiem grzebane w nocy na przywłaszczonych przez prawosławie cmentarzach; a ileż razy się zdarzało, że gdy się wtrącił do takiego pogrzebu pop schyzmatycki, krewni woleli raczej porzucić na drodze nieboszczyka, aniżeli dać pozór, że uznają nad sobą narzucającego się im duchownego!

Zaiste, historia Kościoła będzie się mogła pochłubić ludem podlaskim. Ale, jak powiedzieliśmy, Opatrzność posłużyła się jeszcze innem narzędziem, by wiarę wśród tego ludu zachować. Znaleźli się kapłani katoliccy, którzy nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwa, nie odtrącali tego ludu, o ile im udało się do nich przekraść. Nie tylko ściany plebanij polskich na Podlasiu, ale i drzewa tamtejszych borów i olszyn, miałyby wiele do opowiedzenia o tem, co się wśród nocy głuchych w tych okolicach działo: o tych parach przekradających się ostrożnie ze swoim przewodnikiem, by gdzieś przy zamkniętych szczelnie okiennicach uzyskać od księdza związaną stulą rąk na drogę wspólnego życia; o tych matkach, co tuląc w swych ramionach śpiące niemowlęta, szukały prawdziwego sługi Kościoła, aby udzielił im chrztu, zanim nasłany strażak nie wyrwie im dziecięcia do

przymusowego chrztu w cerkwi; o tych starcach, co czując zbliżającą się wieczność, o kosturze żebraczym szli w daleką i nieznaną okolicę, by po raz ostatni pojednać się z Bogiem w świętej spowiedzi. Cześć tym pasterzom, którzy tych opuszczonych owiec od siebie nie odpędzili! Wielu z nich przypląciło swoje poświęcenie więzieniem w X pawilonie cytadeli warszawskiej, jeszcze więcej ich poszło na daleką tułaczkę w głąb Rosji; kościoły po nich zamykano, ale oni posiali ziarno nadziei, że kościoły te kiedyś zostaną otwarte i na nowo modlącym się ludem napelnia.

Opuszczonym Unitom podlaskim nieśli nie mało pociech duchownych miejscowi księża polscy. Czynili to wszakże niejako na swoje ryzyko i gdyby Kościół ograniczył się tylko do tej posługi, prześladowani nie mieliby tej pociechy, że ich opuszczenie znane jest i dalej na świecie, że je odczuwa przede wszystkim wspólny Ojciec w Rzymie i że czyni wszystko, co może, aby im przyjść z pomocą. Gdyby tej pociechy nie mieli, czyby nie drgnęła ich wiara? czy w pewnej cięższej chwili nie zwątpiliby o przyszłości?

* *

Był ktoś, kto zaraz na początku prześladowania podlaskiego postawił sobie to pytanie. Dwaj kapłani Towarzystwa Jezusowego naradzali się nad opuszczeniem podlaskiego ludu w zacisznem ustroniu swojego galicyjskiego klasztoru. Byli to księża: prof. Marjan Morawski i rektor Henryk Jackowski, pracujący w jezuickim kolegium w Starejwsi. Postanowili przedstawić Ojcu św., wówczas jeszcze Piusowi IX, roz-

paczliwe opuszczenie, w jakim znajdowała się Unja na Podlasiu i prosić Ojca św. o zorganizowanie stałej, prawidłowej, choć w ukryciu pracującej misji. Prowincja galicyjska Ojców Jezuitów ofiarowała się, że misjonarzy stale dostarczać będzie. W Rzymie namysłano się dość długo nad tą propozycją, tak się bowiem wydawały trudnemi do przeprowadzenia te plany! Zapytywano się: czy warto wysyłać najgorliwszych księży na pewne niebezpieczeństwo, że będą pojmani i gdzieś w dalekie kraje popędzeni, zanim może zdążą uczynić cokolwiek dla biednych Unitów? Może taka misja rozdrażni jeszcze bardziej rząd rosyjski, narażając prześladowanych Unitów na cięższy jeszcze odwet i ucisk?

Zwyciężyły wreszcie racje, przemawiające za misją, i piecza nad Unitami podlaskimi przez papieża Piusa IX została poruczona galicyjskim Jezuitom. Rzymska Kongregacja do spraw nadzwyczajnych wystawiła wreszcie 7 grudnia 1877 r. obszernie pełnomocnictwa dla przyszłych misjonarzy i dla prowincjała Ojców Jezuitów, który nimi miał kierować. Dokument ten podpisał w imieniu Ojca św. sekretarz Kongregacji, Ks. Włodzimierz Czacki, Polak, późniejszy kardynał. Tym dokumentem obok zwyczajnych kapłańskich władz, upoważniono przyszłych podlaskich misjonarzy do udzielania różnych dyspens małżeńskich i do bierzmowania Unitów. Innym dekretem rzymskim polecono prowadzić w Krakowie przy jednym z kościołów parafjalnych metryki chrztów i zaślubin, udzielanych tak podczas misji, jak i tym Unitom, którzy się do Galicji przekradli.

Rozpoczęła się misja, która z przerwami miała trwać lat 26, tj. aż do czasu, kiedy prześladowanemu Podlasiu zaświtała jutrzienka wolności religijnej. Jezuicka misja na Podlasiu znajdzie zapewne historyka, który ją szczegółowo opowie. Dokumenty do takiej historii znajdują się w zapiskach misjonarzy, w sprawozdaniach, jakie przesyłali z pracy swojej Ojcu św., wreszcie w aktach pozostałych po urzędach i sądach rosyjskich. Tutaj chcemy się ograniczyć do krótkiego spisu tych kapłanów, którzy w tej misji pracowali.

Początek misji miał dać jeden z jej inicjatorów, K s. H e n r y k J a c k o w s k i. Po złożeniu urzędu rektorskiego w Starejwsi, ukrył się chwilowo na wsi, aby niepostrzeżenie do pracy się przygotować. Przebrany za kupca, z długą brodą, pod nazwiskiem Hilznera, przejechał od Śląska rosyjską granicę 25 marca 1878 r. W Warszawie wyrobił sobie pozwolenie na handel okrężny i nakupiwszy płócienek i perkalików, udał się z niemi na Podlasie, aby chodząc po wsiach unickich zetknąć się z potrzebującymi jego duchowej pomocy. Niestety, nie udała się ta pierwsza próba. W Łukowie już wzbudził przeciwko sobie podejrzenie, kiedy kupował konia dla wożenia swoich towarów; w parę dni potem, 2 kwietnia, w Radzynie został zatrzymany przez policję. Oznajmił wtedy odrazu, że jest kapłanem katolickim i przybył po to, aby pocieszać opuszczony i prześladowany lud unicki. Z Radzyna odesłany do miasta gubernialnego Siedlec, został wtrącony do więzienia, w którym miał pozostać półtora roku.

Pokazało się, że to pierwsze niepowodzenie było

opatrznościowe. Gdyby nie uwięzienie ks. Jackowskiego, czy misjonarze wysyłani do Unitów umieliby się łatwo wylegitymować wobec ludu, a ten lud, gnębiony za swoją wiarę, czy łatwo uwierzyłby, że pomoc przychodzi mu naprawdę z dalekiego Rzymu? Czy nie podejrzywałby raczej, że w misjonarzu kryje się jakiś nowy podstęp rządu i zdrada? Te wszystkie wątpliwości usunęło uwięzienie pierwszego misjonarza. Wieść o niem lotem błyskawicy rozeszła się po Podlasiu; więzienie było najlepszą rękojmią, że to ksiądz prawdziwy i że naprawdę przez Ojca św. wysłany. Zdjęło wszystkich ciekawe pragnienie, aby tego misjonarza przynajmniej zobaczyć. W więzieniu samem znajdowało się dosyć Unitów, cierpiących za wiarę; z tymi Ks. Jackowskiemu udało się nieraz spotkać podczas przechadzki więziennej, pocieszyć ich, a nawet za wiedzą pozyskanych stróżów więziennych wypowiadać i niektórych ochrzcić. Doszło do tego, że wielu Unitów symulowało różne drobne przestępstwa, byleby się dostać do więzienia w Siedlcach i z misjonarzem papieskim się zobaczyć. W archiwum zakonnem znajduje się odpis rozporządzenia rządu, który spostrzegł się wreszcie co się dzieje, i tę swojego rodzaju misję w więzieniu uniemożliwił.

O uwięzionego kapłana, jako poddanego austriackiego, upomniały się władze austriackie, a osobiste pismo cesarza Franciszka Józefa I do cara Aleksandra II wyzwoliło go wreszcie z więzienia w jesieni 1879 r. Przed wyjazdem wszakże musiał złożyć pisemną deklarację, że więcej na misję nie powróci; rządowi austriackiemu zaś oświadczone z Petersburga,

że w przyszłości żadne wstawiennictwo za podobnymi misjonarzami uwzględnione już nie będzie.

Wrócił pierwszy misjonarz zdawało się bez widocznego plonu, nie zraziło to jednak zakonu do powołania prób, jakkolwiek zdawano sobie sprawę z wszystkich trudności. Należało tylko na pewien dłuższy czas przycichnąć, dopóki rząd rosyjski nie nabierze przeświadczenia, że podobna próba misji już się nie powtórzy. Dlatego dopiero w r. 1882 wyjeżdża na Podlasie drugi Jezuita-misjonarz. Był nim świątobliwego życia Ks. Walerjan Mrowiński, który również w charakterze agenta handlu drzewnego zrobił aż dwie wyprawy (w lipcu—sierpniu i we wrześniu). Podczas nich dotarł do ludu podlaskiego w 8-iu miejscowościach, w których ochrzcił kilkaset dzieci, pobłogosławił kilkadziesiąt małżeństw i wysłuchał potrzebujących spowiedzi. Do domu powrócił szczęśliwie, przekonany wszakże, że na granicy w Grajewie poznano w nim misjonarza i Jezuitę.

W roku następnym 1883 postanowiono misję zakroić na większą skalę i dać jej silniejszą podstawę. Doświadczenia Ks. Jackowskiego i Ks. Mrowińskiego mówiły, że prawie niepodobna przyjechać wprost z zagranicy w głąb wsi unickich i tam dopiero wyrabiać do siebie zaufanie. Należało stworzyć w kraju jakieś miejsce stałe, skąd misjonarz mógłby na dzień lub dwa tylko wpadać na Podlasie i gdzieby mogli go znaleźć sami Unicy, potrzebujący jego duchowej pomocy.

Ks. H. Jackowski, który już wtedy był prowincjałem Ojców Jezuitów, wyznaczył teraz na misję pod-

laską K s. F r a n c i s z k a B r o e r a, niedawno przybyłego z misji w Indjach, człowieka bardzo obrotnego i praktycznego. Ten, przybywszy do Warszawy już w sierpniu 1883 r., przy pomocy paru wtajemniczonych osób założył sklepik z artykułami spożywczemi i winem, który prowadziła jedna ze znajomych pań, a potem nawet jeden z Braci zakonnych, Br. Józef Jankiewicz, znający się na winach i umiejący prowadzić piwnicę. Do sklepu wchodził przecież wśród białego dnia rozmaici ludzie, łatwo więc można było w nim przyjmować również Unitów, którym udzielałoby się posługi duchownej w sąsiednim pokoju.

Rzeczywiście udało się Ks. Broerowi nawiązać kontakt z Unitami i pozyskać wielu wtajemniczonych przewodników z Podlasia, którzy mieli doprowadzać Unitów, zwłaszcza młode pary do ślubu, do warszawskiego sklepiku. Oni też mieli przygotowywać od czasu do czasu parę wiosek na przyjęcie u siebie misjonarza i w umówiony dzień na Podlasie go sprowadzać.

Według tej metody pracował Ks. Broer przez kilka tygodni w jesieni 1883 r. Na 12 stycznia 1884 r. był umówiony jego wyjazd do powiatowego miasta Sokołowa. Czy ktoś dopuścił się zdrady, czy też zauważono jakieś na miejscu przygotowania, dosyć, że kiedy misjonarz zajeżdżał już do umówionego domu, czatował na niego żandarm Lisunow. Zapytawszy kto jedzie i otrzymawszy nieokreśloną odpowiedź, żandarm chwycił księdza za gardło i tak mu silnie szalik naokoło szyji zacisnął, że Ks. Broer począł się dusić. Tak ubezwładnionego podejrzanego sobie człowieka usiłował żandarm zaprowadzić do magistratu dla

sprawdzenia papierów. Znalazło się wnet na ulicy kilka osób ciekawych i wtedy woźnica, zauważywszy znajomego i pewnego człowieka, szepnął mu, że przybyły »pan« jest księdzem misjonarzem i trzeba go koniecznie z rąk żandarma wyzwolić. Poczęło się szamotanie, podczas którego żandarm nie tylko wypuścił z rąk swoją ofiarę, ale i sam został pozbawiony broni i płaszcza. Odbitego w ten sposób misjonarza odwieziono w nocy końmi do samej Warszawy, obawiając się, że na kolei mogą być rozstawione zasadzki.

Po tej niefortunnej wyprawie musiał Ks. Broer na jakiś czas z Warszawy wyjechać. Dowiedziawszy się wszakże, że warszawska jego kryjówka nie została odkryta, niebawem wrócił i na nowo rozpoczął swą pracę. Nie miała zresztą ona trwać długo, bo 25 lutego wezwano go znowu do Krakowa, skąd wróciwszy 7 marca do Warszawy, już w 10 dni potem musi jechać w ważnej kościelnej sprawie do Wilna, stamtąd do Petersburga, wreszcie wyjeżdża za granicę, skąd już na misję podlaską nie wróci.

Zajście w Sokołowie i podróż końmi do Warszawy wśród trzaskającego mrozu, źle się odbiła na jego zdrowiu i przyczyniła się do skrócenia mu życia.

W Sokołowie po jego odjeździe Unitom, którzy go odbili z rąk żandarma, wytoczono proces i główny winowajca, Michał Lewkowicz, został skazany na półtora roku rot aresztanckich, a inni na krótsze uwięzienie. Za misjonarzem zbiegłym nie poszukiwano, gdyż żandarm nabrał przekonania, że był nim miejscowy proboszcz, Ks. Pawłowski, tylko przebrany po cywilnemu, z czem gdy głośno się odzywał i pro-

boszcza sekować począł, został wreszcie sam przeniesiony na inny posterunek.

Gdy Ks. Broer tylko z takimi przerwami mógł oddawać się powierzonej mu misji, przysłano mu do pomocy drugiego kapłana, Ks. Antoniego Mühla, Ślązaka, który też pracował w Warszawie i na Podlasiu od stycznia do maja 1884 r., a potem jeszcze jakiś czas w jesieni tegoż roku. Zdrowie jego wszakże nie pozwalało mu na intensywną pracę, dostawał bowiem bicia serca i widmo grożących mu niebezpieczeństw zbyt silne robiło na nim wrażenie.

W tymże 1884 r. rozpoczął pracować na Podlasiu Ks. Józef Franke, prowadząc dalej misję metodą Ks. Broera i Ks. Mühla. Wpadał od czasu do czasu do wsi unickich, chrzczył, bierzmował, słuchał spowiedzi, zachęcał prześladowanych do wytrwania. W czasie między takimi wycieczkami przesiadywał przy swoim sklepiku, oczekując na przewodników i na zgłaszające się do ślubu pary.

Podobny punkt oparcia jak w Warszawie, postanowiono utworzyć również w Lublinie. Tutaj w styczniu 1885 r. zjechał Ks. Teodozy Sozański, po uprzednim krótkim pobycie w Warszawie. Zamieszkał w wynajętym mieszkaniu o dwóch pokojach i stąd rozpoczął przy pomocy wtajemniczonych przewodników przekradać się do unickich wiosek. Przybył mu do pomocy Ks. Maciej Szaflarski, lecz już około Wielkiejnocy obaj razem z Ks. Frankiem z Warszawy wyjechali na letnie miesiące do Galicji. Wszyscy, a zwłaszcza przewodnicy, byli tego przekonania, że letnia pora z jej krótkimi nocami



i kiedy lud zajęty jest w polu, najmniej nadaje się do pracy misyjnej.

Wszakże Ks. Szaflarski niebawem, bo już 27-go czerwca powrócił do Lublina. Zamieszkawszy u niejakiego Borysiewicza, który utrzymywał magiel i dokąd z bielizną przychodziło dużo ludzi, rozpoczął pod tą osłoną swoją misjonarską działalność. W rzeczy samej oddał kilka posług duchownych na miejscu i urządził kilka misyjnych wypadów na wieś.

Niestety, nie długo trwała jego praca. Był to czas, kiedy ożywiona działalność misjonarska na Podlasiu zwróciła uwagę władz rządowych, wskutek czego rozpoczęto energiczne poszukiwania. Prowadził je urzędnik do szczególnych poruczeń przy generał-gubernatorze warszawskim Hurce, niejaki Mirosław Dobrzański, syn Unity z Galicji, do niedawna student uniwersytetu w Wiedniu, zamieszany przed paru laty w sprawę agitacji schizmatycznej w okolicach Skałatu i oskarżony o zdradę stanu. Po zakończeniu sprawy wyjechał do Rosji i oddał się na usługi generał-gubernatorowi, jako specjalista do tropienia Unitów. Chciał tym sposobem pomścić się za nieprzyjemności, jakie go spotkały w Austrii. Jako skoligacony z duchowieństwem unickim w Galicji, mógł wiedzieć coś o działalności Jezuitów, tembardziej, że temu zakonowi w r. 1882 oddaną została przez Rzym reforma zakonu Bazylianów, a misjonarze jezuicy usilnie pracowali nad sprowadzeniem do Kościoła ludu we wschodniej Galicji, obalamuconego przez odstępcę Ks. Naumowicza i jego pomocników, do których sam Dobrzański należał.

Dobrzański wszczął formalną obławę na Unitów podejrzanych o to, że brali śluby zagranicą albo u misjonarzy, tropił zajmujących się ułatwianiem takich ślubów przewodników i dziesiątkami osadzał ludzi w cytadeli warszawskiej. Prawdopodobnie na którymś z uwięzionych wymógł zdradzenie sekretu misji jezuickiej na Podlasiu. Rzeczą tę zapewne wyjaśnią z czasem urzędowe akta tej sprawy; na razie tyle wiadomo, że w pierwszych dniach sierpnia 1885 r. zjawił się w Lublinie u Ks. Szaflarskiego jakiś wieśniak, podający się za przewodnika, a podawszy umówione hasło, zyskał zaufanie i umówił się z misjonarzem, że za tydzień po niego przyjedzie. Ks. Szaflarski tymczasem dokonał jakiegoś wyjazdu na wieś, a gdy zmęczony spoczywał po powrocie, 15 sierpnia zjawił się ów rzekomy przewodnik, ale już w towarzystwie Dobrzańskiego i policji. Ks. Szaflarskiego aresztowano i po indagacjach wstępnych na miejscu przewieziono do X pawilonu cytadeli warszawskiej. Uwięziono także jego gospodarza Borysiewicza, a w znalezionych aż w kloace zapiskach metrykalnych zdobyto wskazówki do uwięzienia wielu Unitów, którzy korzystali z usług misjonarzy.

Sprawa zataczała coraz większe kręgi. W związku z nią aresztowano i wkrótce wysłano na osiedlenie w Rosji wikariusza katedry lubelskiej, Ks. Przesmyckiego, podejrzanego o stosunki z misjonarzami. Inny ksiądz, z Łowicza, Sikorski, znalazł się w cytadeli. Uwięziono również Kamedulę z Bielan pod Warszawą, Ks. Nowalskiego. Stosunków z misjonarzami dowiedziono także p. Teofili Lisieckiej w Warszawie,

która opiekowała się sklepem jezuickim i w swoim mieszkaniu urządzała spotkania misjonarzy z Unitami: oczywiście ją także osadzono w cytadeli. Sprawa ciągnęła się lat kilka i znowu kilku kapłanów i dziesiątki, a może i setki Unitów poszły na wygnanie w głąb Rosji; niektórym nadto pokonfiskowano majątki i na nich poosadzano gorliwych wyznawców prawosławia. Sam Ks. Szaflarski przebył w cytadeli przeszło trzy lata, uwolniony z niej dopiero w późnej jesieni 1888, powrócił złamany na zdrowiu do Galicji.

Kiedy dokonywały się te aresztowania i Dobrjański przebiegał Podlasie we wszystkich kierunkach, Ks. Sozański, bawiący wówczas w Galicji, przyszedł do przekonania, że pod pewnym względem ta właśnie chwila nadaje się najlepiej do podjęcia na nowo misji. Zdawało się przecież rzeczą pewną, że Dobrjański w tej chwili nie będzie przypuszczał, aby jakiś misjonarz ośmielił się na Podlasiu zjawić. Już więc 2 października 1885 przyjeżdża do Warszawy i urządziwszy sobie schronienie w innem miejscu, czyni częste wycieczki na Podlasie. W ten sposób prowadzi misję z przerwami przez cały październik, przez drugą połowę listopada i w styczniu i lutym 1886. Jak z pozostawionych zapisków widać, może żadna wycieczka misyjna innych nie była tak bogata w duchowne plony, jak właśnie ta misja, prowadzona w chwili największych niebezpieczeństw. Po raz ostatni wyjechał Ks. Sozański z Warszawy 20 lutego 1886, odwołany do Galicji na inne stanowisko.

Na razie w tym roku nie podejmowano więcej wypraw misyjnych, tembardziej, że wysłany do War-

szawy (z metrykami dla Unitów) Brat zakonny Józef Gruzewski (Guzicki), przez męża Lisieckiej, zrozpaczonego długiem więzieniem żony, został wydany w ręce policji. P. Lisieckiej to nie pomogło i sam winowajca potem szczerze żałował swojego postępuku; wszakże Brat Gruzewski, po przetrzymaniu go dość długiem w cytadeli, został wysłany na osiedlenie do miasta Kiryłowa w gubernji Nowogrodzkiej, skąd dopiero r. 1889 do zakonu powrócił.

W r. 1887 rozpoczyna się jakby nowa faza w organizacji misji podlaskiej. W cytadeli pozostają jeszcze Ks. Szafranski i ci wszyscy, którzy byli wtajemniczeni w sprawy warszawskiego sklepu. O urządzeniu nowej jakiejś osłony w Warszawie już trudno było myśleć. Dlatego wyznaczony nowy misjonarz, Ks. Arnold Waszycza, postanawia chwycić się innej metody apostołowania. Jest on doskonałym muzykiem, więc przyjeżdża jako taki do Królestwa, osiada w Łodzi — tak przecież dalekiej od Podlasia! — i poszukuje lekcji muzyki. Sprzyja mu szczęście, bo z lekcjami w domu policmajstra zyskuje zaufanie stróżów bezpieczeństwa publicznego, co będzie najlepszą tarczą przed podejrzeniami. Od czasu do czasu bierze na dwa dni urlop, i niepostrzeżenie wyjeżdża na Podlasie. Takich wycieczek urządza kilka w jesieni 1887 r., kiedy długie noce pozwalają łatwiej pracować po chatach, stodołach a niekiedy w lesie. Wyjeżdża na krótko do Galicji, ale już około Bożego Narodzenia widzimy go z powrotem na posterunku, skąd wycieczki swoje kontynuuje do końca marca r. 1888. Nie wiadomo dobrze, dla-

czego został odwołany z misji, na którą już więcej nie wrócił.

Następnym misjonarzem był K s. W o j c i e c h P ł u k a s z, który urządził wycieczkę na Podlasie pod koniec r. 1889, trwającą zresztą tylko kilka dni. Stan zdrowia nie pozwolił mu prowadzić takiej roboty.

Dopiero w r. 1891 zdecydowano się na podjęcie na nowo misji. Upatrzonym został do tego K s. L e o p o l d M a r k i e w k a. Ten obrał sobie szczególny zawód. Postanowił pojechać na Podlasie w charakterze handlarza nierogacizny. Zawód ten ułatwiał mu wstęp do wszystkich wiosek wśród białego dnia, a podczas targów i jarmarków mógł łatwo spotykać się z różnymi przewodnikami i omawiać z nimi różne prace nocne. Do zawodu tego przygotowywał się już wcześniej w Galicji, by nieumiejętnem sprawowaniem go na miejscu nie zdradzić się. Rzeczywiście udało mu się w ten sposób pracować przez kilka miesięcy w Chełmszczyźnie i na Podlasiu z wielkim pożytkiem dusz i podobno z wielkiem zadowoleniem miasta Bytomia na Śląsku, dokąd przez swoich pomocników odsyłał wieprze na kielbasy.

Nie wiem dlaczego przerwano misję podlaską na lat kilka. Dopiero w r. 1896 pomyślano o jej wznowieniu. Na misjonarza został upatrzony K s. H e n r y k P y d y n k o w s k i. Miał on wyjechać na Podlasie w charakterze skupującego jaja dla pewnej firmy zagranicznej, wyjazd wszakże wtedy dla jakiejś przyczyny nie nastąpił. Na Podlasiu widzimy Ks. Pydynkowskiego dopiero w kwietniu 1897 r., a potem w jesieni 1899 r. W r. 1900 na wiosnę urządza Ks. Pydyn-

kowski znowu sklepik spożywczy w Warszawie przy pomocy p. Julji Markowicz. Drugą połowę maja i początek czerwca spędza na wycieczkach stąd na Podlasie, poczem na pewien czas powraca do Galicji.

Przychodzi nowa katastrofa na misję: oto p. Markowicz w chwili, kiedy po bytności w Krakowie, oczywiście w sprawie misji, wraca do Królestwa, zostaje aresztowana w Granicy, widocznie wskutek denuncjacji i przewieziona do cytadeli warszawskiej. Tam dręczona kilka miesięcy, nie zdradza wszakże nikogo i niczego i wkrótce z niewygód i wycieńczenia w więzieniu umiera. Sklepik na Mokotowie, który tymczasem prowadziła jeszcze jej znajoma, trzeba było zlikwidować. Ks. Pydynkowski musiał przerwać swoją pracę i przez przełożonych zakonu został wysłany na pracę parafjalną do Rumunji.

Podjął wszakże na nowo misję podlaską już w lipcu 1901 r. Tym razem w towarzystwie jednego z Braci tercjarzy kongregacji Brata Alberta w Krakowie, pochodzącego z Podlasia, znającego dobrze teren, który zresztą uprzednio już sam dla misji przygotował, szwarcuje się Ks. Pydynkowski bez paszportu przez suchą granicę we wschodniej Galicji. Lecz i ta wycieczka miała rychło się skończyć. Już 15 lipca, kiedy przejeżdża w nocy z jednej wioski do drugiej, zatrzymuje go z wozem strażnik we wsi Dańce, powiatu bialskiego. Woźnicy udało się szczęśliwie usunąć przybory mszalne, które ksiądz wiozł ze sobą, a misjonarz, nie mający żadnego dokumentu podróży, odmawia wszelkich zeznań kim jest, twierdząc tylko, że pochodzi z Austrii i że przybył po to, aby pomóc

Unitom w wyrobieniu zagranicą dokumentów metrykalnych, czem zresztą wielu ludzi się trudniło. Osadzony w więzieniu w Białej, po kilku miesiącach został odesłany do Będzina, a tu, gdy władze austriackie nie chciały go przyjąć z rąk rosyjskich jako nie mającego żadnych dokumentów, został po paru dniach uwolniony przez dozorcę więzienia i na skutek prywatnych intercesyj z Krakowa udało mu się przebyć granicę.

Ks. Pydynkowski zapoczątkował nową metodę pracy na Podlasiu: osądził słusznie, że misjonarzowi chodzić powinno nie tyle o jaknajwiększą liczbę chrztów i ślubów, ale o wyrobienie małych grup ludzi pewnych, związanych w trzeci zakon św. Franciszka, którzyby umieli chrzcić dzieci prywatnie i którzyby byli oporą moralną dla swoich sąsiadów. Śluby za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej były ważne nawet zawarte bez kapłana, tylko w obecności dwóch świadków. Zerwał także z metodą posługiwania się przewodnikami, którzy niekiedy z tej posługi chcieli czynić zyskowne dla siebie rzemiosło. Odtąd jedynymi przewodnikami mieli być pochodzący z Podlasia Bracia Albertyni.

Za tą metodą poszedł następny misjonarz, Ks. Jan Urban, który dokonał dwóch wycieczek na Podlasie w r. 1902 i 1903 w towarzystwie Br. Marjana, Albertyna. W przeciwieństwie do swoich poprzedników wybrał się właśnie letnią porą, kiedy noce ciepłe ułatwiają pracę w stodółach lub lesie, pracę zresztą według nowej metody dosyć ograniczoną. Szczegółów tych wycieczek nie podaję tutaj, gdyż sta-

nowią właśnie one dalej główną treść niniejszej książki.

Między pierwszą a drugą wycieczką ks. Urbana jeździł na Podlasie w towarzystwie tegoż Br. Marjana Ks. Julian Wolszlegier, w miesiącach wiosennych 1903. Wycieczka mu się udała, lecz spostrzeżono, że kolosalna figura ks. misjonarza zwraca na niego zbyt dużą uwagę ludzi i może wzbudzić zaniepokojenie niepowołanych. Dlatego już więcej ekskursji nie ponawiał.

W jesieni 1903, po drugiej misji Ks. Urbana, wysłany został na Podlasie Ks. Apoloniusz Krupa. Jeździł on w charakterze budującego studnie, obciążony ślusarskimi narzędziami i powrócił na Boże Narodzenie z bogatym duchownym plonem. Pomimo, że miał, jak i ostatni jego poprzednicy, głównie obsługę tercjarzy na względzie, nabierał coraz to więcej śmiałości i rozmachu do obsługiwanie innych.

W sierpniu 1904 r. udał się na misję powtórnie i w tymże charakterze, lecz po paru tygodniach pracy, odkryty we wsi Mokrandy w pobliżu Brześcia przez strażników, prawie cudem zdołał im uciec z rąk. Zostawiając wszystkie swoje ślusarskie narzędzia, jak również kufer z osobistymi rzeczami, postanowił jak najprędzej wycofać się za granicę. W pewnej wsi wszakże zatrzymał się po drodze na kilka godzin jedynie dlatego, żeby skłonić do pojednania się z Kościołem jedynego we wsi schizmatyka, co mu się też udało, kiedy upartemu wieśniakowi przedstawił, że jedynie dla niego zatrzymał się tutaj, chociaż wie o pościgu za nim policji.

W Krakowie Ks. Kraupa zmienił paszport i niebawem widzimy go znowu wśród Unitów na Podlasiu. Tym razem zapuścił się także na południe w okolice Krasnego Stawu. Tutaj wszakże po kilku dniach i nocach wytężonej pracy został przez policję schwytany pod Kraśniczymem 12 września 1904 r. Charakter jego kapłański i misjonarski zawód zdradzały dostatecznie rzeczy mszalne, które wioził ze sobą. Nie uwzględniając jego kapłańskiej godności i zapewnienia, że uciekać nie będzie, nałożono mu kajdanki na ręce i przyprowadzono do więzienia w Krasnymstawie, stąd zaś do turmy na zamku w Lublinie. Dekretem generał-gubernatora warszawskiego został skazany na trzy miesiące więzienia, podczas których zdołał się tak urządzić, że mógł w swojej celi odprawiać mszę św. Po odbyciu kary odesłano go do granicy austriackiej wraz z rzeczami mszalnemi, które w ostatnich kilku latach stale przechowywały się na Podlasiu, czekając od jednej misji do drugiej. Z Ks. Kraupą powróciły na stałe do Galicji jako już na Podlasiu niepotrzebne. W chwili bowiem, kiedy układano w Krakowie plan nowej misyjnej wyprawy, został ogłoszony ukaz cesarza Mikołaja II, wieszczący wszystkim obywatelom caratu wolność religijną.

Dla dokładności listy misjonarzy trzeba dodać nazwisko Ks. Marcina Czermińskiego, który nie był wprowadzie na Podlasiu, ale odwiedził garstkę Unitów, jaka się przechowała w okolicach Augustowa, a potem podążył do Mińszczyzny, by odwiedzić niektóre miejscowości, zamieszkałe przez łacinni-

ków, przemocą zaliczonych do schizmy. Wycieczka ta przypada na marzec i kwiecień 1904 r.

*

*

*

Ukaz tolerancyjny Mikołaja II z dnia 17 kwietnia 1905 r. nie przywrócił na Podlasiu Unji. Pozwalał on poprostu tylko wszystkim poddanym caratu oświadczyć się za tem wyznaniem, jakie kto sobie chciał obrać, ale oczywiście tylko w ramach istniejących organizacyj kościelnych. Po dawnej hierarchji unickiej na Podlasiu nie zostało ani śladu; żyło jeszcze kilku starców kapłanów unickich, internowanych po różnych miastach i wykonujących zawody świeckie. Skorzystali oni z ukazu o tyle, że przywdziali na nowo sutanny i jawnie poczęli odprawiać mszę św., nie byli wszakże już zdolni do jakiegokolwiek akcji na Podlasiu. Zresztą sam lud, niegdyś unicki, który pozostał wierny katolickiej wierze, nie okazywał już żadnej tęsknoty za unickimi kapłanami. Stare pokolenie, któremu brzmiały może jeszcze w uszach cerkiewne śpiewy młodości, schodziło do grobu. Obok niego wyrosło pokolenie nowe, dla którego obrządek wschodni był równoznaczny ze znienawidzonym prawosławiem. Jakkolwiek wysłani przez Stolicę Apostolską misjonarze mieli sobie poruczone uświadamiać lud unicki, że przez przyjmowanie z konieczności sakramentów w obrządku łacińskim, nie przestają należeć prawnie do obrządku wschodniego, pouczeń tych nie chciano nawet bardzo słuchać i każdy z misjonarzy słyszał zapewnienie, że wszyscy wolą pozostać w obrządku łacińskim, by jaknajdalej odseparować się od schizmy.

Dlatego po ogłoszeniu cesarskiego ukazu nie podniesiono wcale na Podlasiu kwestji przywrócenia Unji, lecz rzucono się tłumnie do łacińskich kościołów. Przez jakie dwa tygodnie nadciągały z wiosek całe procesje ludu z pobożnemi śpiewami, by w urzędzie parafjalnym łacińskim zapisać swoje nazwisko, jako »nowi« wyznawcy katolicyzmu. Niebawem wydano ze strony rządu różne instrukcje w celu powstrzymania tego ruchu; »przechodzenie« na katolicyzm miało być obstarwione różnemi kłopotliwemi formalnościami, od dobrodziejstwa wolności wyznania odsunięto młodzież w latach od 14 do 21 roku życia; niezadługo w celu powściągnięcia, jak mówiono, polonizacji kraju, wszczętą została akcja o wyodrębnienie Chełmszczyzny z Królestwa Polskiego, co wreszcie przeprowadzono na krótko przed wojną światową. Mimo tych wszystkich utrudnień i zarządzeń, 200 tysięcy b. Unitów, których urzędowo uważano już za prawosławnych, musiano teraz uznać za katolików. W tych latach względnej wolności religijnej pozwolono także otworzyć popieczętowane dotąd kościoły, które też wypełniły się po brzegi pobożnym ludem, podczas gdy cerkwie schizmatyckie pozostały puste.

*

*

*

Misja Księży Jezuitów na Podlasiu należy już do historii. Ale właśnie dlatego dopiero teraz można o niej mówić i pisać, bo dopóki istniały carskie rządy, trudno było zwracać uwagę na to, co musiało się dziać nie tylko w tajemnicy przed rządem, ale i przed własnem społeczeństwem. Dziś można i trzeba mówić

o misji na Podlasiu, a zwłaszcza o heroicznej wytrwałości podlaskiego ludu. Czynić to trzeba, oczywiście, nie dla pustej chwalby, ale dla oddania należnej czci męczennikom i wyznawcom sprawy Bożej i dla przykładu i zbudowania wierzących.

Misjonarze podlascy prawie wszyscy pozostawili po sobie zapiski o swoich pracach. Napisane jednak przeważnie po łacinie lub niemiecku, lub też zbyt sucho i krótko, mniej nadają się one do druku; będą raczej cennym materiałem dla historyka, który zechce kiedyś szczegółowo ich wyprawy opisać. Moje pamiętniki również nie były przeznaczone do druku. Pisałem je zaraz po każdej ze swoich wycieczek, by, złożone w archiwum zakonnem, służyły za wskazówkę dla następców moich w tej pracy. Trudno więc w nich szukać literackich wartości, niema w nich dokładnych opisów kraju ani zwyczajów ludu; sama praca misyjna, dość jednostajna, również mało nastroczała pola do popisu literackiego. Tembardziej dzisiaj, z odległości 20 lat, trudno już te pamiętniki bardziej po literacku obrobić, bo liczne szczegóły pracy i jej okoliczności zatarły się już w pamięci. Dlatego, zachęcony zdaniem innych, podaję je do druku w takiej postaci, w jakiej wyszły niegdyś z pod pióra.

Wydam je na trzechsetną rocznicę męczeńskiej śmierci św. Jozafata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego, wielkiego krzewiciela Unji na ziemiach ruskich i Patrona jej w niebie. Ciało jego długo spoczywało wśród Unitów Podlasia, w Białej, i nabożeństwo do niego krzepiło duszę prześladowanego ludu. Niechaj i ta moja praca przyczyni się do po-

mnożenia czci tego, który apostołstwem i krwią swoją tak użyźnił ziemię unicką, że zrodziła tak piękne i trwałe owoce. Przezeń zaś niech będzie chwała Bogu, którego dziełem jest wszystko, czem może się poszczycić przed historją nasze podlaskie martyrologjum.

WYCIECZKA MISYJNA W R. 1902.

Piątek, 18 lipca. — Dzień 18 lipca 1902 roku był dniem wyjazdu mego na Podlasie w charakterze misjonarza dla uciemnionych katolików obrządku wschodniego. Za towarzysza podróży i pomocnika w pracy przydano mi Br. Marjana III Zakonu św. Franciszka (kongregacji Brata Alberta), rodowitego podlasiaka, gorliwego misjonarza swych współbraci.

Po zdjęciu sukni zakonnych, przybrani w stroje świeckie: ja w garnitur marynarkowy, jako agent firmy handlowej, Br. Marjan w cięższe nieco szaty i długie buty, jako poszukujący pracy robotnik, przy wąsach i bokobrodach, zmieniliśmy się obaj do niepoznania. Pomimo to, zaniechawszy wygodniejszą drogę koleją na Szczakowę i Granicę, by nie narzucać się natrętnemu wzrokowi żandarmów, dość wprawnych w swem rzemiośle, obraliśmy uciążliwszą lecz bezpieczniejszą drogę końmi na Michałowice do Miechowa, stacji kolei Dąbrowieckiej.

Przejrzawszy się poraz ostatni w lusterku, by się przekonać o zatarciu wszelkiego podobieństwa do księdza, polecamy się opiece Opatrzności, siadamy do krytej dorożki i ruszamy z Krakowa w kierunku Mi-

chałowic. Była godzina siódma z rana, gdyśmy ujrzeni przed sobą graniczne słupy i trójkolorowe rosyjskie flagi, powiewające z gmachu komory michałowskiej.

Mrowie przeszło po skórze na myśl, że wjeżdżamy w kraj, gnębiony przemocą, że w walce z tą przemocą mam i ja wziąć obecnie jakiś czynny udział, przeciwstawiając swą pracę absolutnemu bezprawiu carskiego prawa, że za chwilę mam stanąć oko w oko z pierwszymi przedstawicielami rosyjskiej potęgi w osobie urzędników komory. Nie bój się, powiedziałem do siebie, wszak miałeś czas »wybać« się w Galicji. Obecnie czasu na strachy niema; zresztą paszport w kieszeni, próbki nasion i cenniki firmy hr. Łubieńskiego, a przede wszystkim opieka niebios dostatecznie zapewnią ci bezpieczeństwo.

Na komorze trzeba było stracić więcej niż godzinę czasu, nie tyle z powodu urzędowych formalności, które dosyć prędko załatwione zostały, ile dla braku koni na poczcie, co zmusiło Br. Marjana udać się po chłopski wózek do poblizkiej wioski. Urzędnik komory obejrzał w moim kuferku bieliznę i nasiona, by się zapewnić, że nic przed opłatą cła nie ukrywam. Do torbki, którą miałem na sobie, a która kryła obok wielu drobiazgów i naczyń z olejami św., nie był ciekawy zaglądać; ja też ze swej strony nie myślałem mu się z tem narzucać. Załatwiwszy się w urzędzie, począłem spacerować po placu komory, aby nabyć wprawy i pewności w chodzeniu w nowym swym stroju. Zawsze miałem wrażenie, że mi czegoś brak, i że wszyscy mają oczy zwrócone na mnie, że mi niestosownie i nieprzyzwoicie ubrany.

Zajechał wózek, wsiedliśmy nań i potoczyli się rączo po równym bitym gościńcu. W drodze zjedliśmy śniadanie, składające się z wina i sera, zapraszając do towarzystwa i woźnicę naszego. Ten, ujęty naszą łaskawością, popędzał ustawicznie koniki, by rychlej dojechać do miejsca, my zaś z nudów i niemożności zajęcia się rozmową o celu naszej podróży, liczyliśmy kupy kamieni i drzewa przy gościńcu, przyczem ja miałem sposobność wykazać nabyte niedawno wiadomości z zakresu botaniki i praktycznego leśnictwa i sadownictwa.

Tak dojechaliśmy do Miechowa. Dworzec kolejowy znajduje się w Miechowie w odległości całej mili poza miastem. Nasz woźnica objawił chęć zatrzymania się w mieście na szklanę piwa, lecz ja nie miałem żadnej zgoła ochoty narażać się na możliwe zapytania strażników lub żandarmów, których spotkać można przy każdej karczmie. Znając skądinąd tych ludzi, postanowiłem zgóry unikać jaknajstaranniej wszelkiego z nimi spotkania. Pojechaliśmy więc dalej. Przemknęła się przed naszymi oczyma pierwsza cerkiew schizmatycka z ukośnemi krzyżami, za nią główny skład rządowych wódek, wreszcie byliśmy poza miastem, a za godzinę niespełna na stacji.

Niestety! pociąg w kierunku Kielc tylko co odszedł. Wypadło nam czekać sześć godzin na następny pociąg. Przyjemności tego oczekiwania na zupełnie pustej w polu stacji, w dodatku w dzień postny, nie nadają się do opisu.

Wieczorem pędziliśmy koleją do Kielc. W wagonie zastaliśmy towarzystwo niezbyt doborowe, ale we-

sołe: jakiś robotnik fabryczny chwalił się z tem, co widział i czego nie widział na Kaukazie podczas swej służby wojskowej.

Sobota, 19 lipca. — W Kielcach stanęliśmy w Hotelu Polskim, znanym mi z dobrych, a tanich obiadów. Trzeba było zabawić jeden dzień, aby w policji zaawizować paszporty i zaopatrzyć się w te rzeczy, których z Galicji niepodobna było zabierać. Kupiliśmy wina mszalnego, czapki miejscowego kroju; ja zamówiłem na prędcie u »księżego krawca« długą narzutkę letnią, coby w podróży mogła chronić od kurzu, a przy pracy misyjnej zastępować sutannę. Tego rodzaju szata jest na Podlasiu konieczną ze względu na przyzwyczajenie kapłańską i prostotę ludu, który w długiem ubraniu widzi jeden więcej dowód prawdziwości księdza.

Spodziewałem się zastać w Kielcach ks. R., seminaryjskiego kolegę swego, i wziąć od niego opłatków na hostje i komunikanty: lecz krawiec oświadczył mi o przeniesieniu ks. R. na inną parafję. Księża, których spotkałem w katedrze i seminaryjskim kościółku, nie przypadli mi do przekonania, i stąd nie zabrałem żadnych z nimi znajomości i bez opłatków trzeba było jechać dalej. Skoro więc krawiec ukończył narzutkę, odjechaliśmy z bratem Marjanem koleją na Iwangród do Lublina. Noc tę zaliczam do najbardziej męczących. Począwszy od Radomia wagony tak się poczęły przepełniać, że wielu podróżnych stać musiało. Inni bili się o miejsca. Wśród ciasnoty, wrzasku, łajdań wzajemnych i śmiechu tych, co miejsca zdobyli, dojechaliśmy wreszcie do Iwangrodu, a tam przesiadłszy się

na inną kolej, już wygodniej dostaliśmy się do Lublina.

Niedziela, 20 lipca. — Było to w niedzielę rano. Z Lublina mieliśmy jechać koleją łukowską na miejsce pracy, lecz do odejścia pociągu pozostawało przeszło trzy godziny. Stąd, jakkolwiek niewyspani i nieumyjni, udaliśmy się do miasta, aby przyjąć komunię świętą i jakąbądź drogą zdobyć hostyj i komunikantów. Aby to ostatnie przedsięwzięcie łatwiej się udało, rozdzieliliśmy się: br. Marjana posłałem do kościoła podominikańskiego, gdzie rektorem był pobożny i gorliwy Ks. Kłopotowski, sam zaś udałem się do Seminarjum. Kościółek zastałem jeszcze zamknięty, więc zadzwoniłem do furty seminaryjnej i zapytałem o ks. Regensa. Odźwierny biorąc mnie za aspiranta do stanu duchownego, począł ciekawie przedwstępny egzamin, lecz niewiele zdołał się ode mnie dowiedzieć, ja nawzajem tylko tyle się dowiedziałem, że z ks. Regensem w żaden sposób wcześniej się nie zobaczę, aż po mszy, która będzie o ósmej.

Otwarto właśnie wtedy kościół, odprawiłem w nim medytację i doczekałem mszy ks. Regensa. Regensem Seminarjum był ks. kanonik Nojszewski. Podczas mszy przystąpiłem do komunji św., a po ukończeniu mszy udałem się w ślad za celebransem do zakrystji, prosząc go o chwilę czasu w pokoju na rozmowę w bardzo ważnej sprawie. Zaintrygowany tem, że mu nie chcę wobec innych powiedzieć o co mi chodzi, grzecznie ale stanowczo odpowiada mi, że interesów żadnych o tej porze nie załatwia, że zresztą sprawa moja kwalifikuje się raczej do zarządu parafji, której

przy tym kościele niema. Na naleganie jednak moje, że jako podróżny nie mam czasu do stracenia, a sprawę swoją załatwić muszę, wyprowadził mnie do samej kaplicy poza zakrystją, gdzie mu też wyjawilem w cztery oczy kim jestem i czego żądam. Znikło w jednej chwili wymuszenie i niedowierzanie; zakrystjanowi kazał poprowadzić »tego pana« do swego pokoju na herbatę, dokąd i sam wkrótce przybył. Dwom profesorom, obecnym na herbacie, zostałem przedstawiony jako dobry znajomy ks. kanonika. Po śniadaniu odeszliśmy do innego pokoju na krótką rozmowę: cieszył się staruszek z mojego przybycia, zachęcał do pracy, udzielił parę cennych rad i zapewnił, że i na Podlasiu w razie potrzeby znajde w tamtejszych księżach pomoc i usługę. Służba tymczasem przyniosła paczkę hostyj i komunikantów gotowych; zaopatrzywszy się w nie, serdecznie żegnany przez ks. kanonika, opuściłem seminarjum. Na stacji już oczekiwał na mnie br. Marjan. Zdobył również paczkę komunikantów, a nadto piękną komżę. Ks. Kłopotowski gotów był dać wszystko, czegoby się zażądało, lecz nic nam na razie więcej potrzebnem nie było. Okazał żal, że ja sam do niego nie przybyłem, gdyż mógłbym być u niego w pokoju odprawić mszę świętą. Dał nam kilkanaście drobnych swych książeczek pobożnych dla rozdania ludowi.

Wracając ze seminarjum do kolei, spotkałem jadącego również na dworzec młodego popa schizmatycznego, który następnie na stacji przez pół godziny oczekiwania często zwracał na mnie uwagę. Ja również, nie mając nic lepszego do roboty, obserwowa-

łem jego i jednej siostry krzyżanki niezbyt ascetyczne maniery.

Około godziny dziesiątej byliśmy znowu w drodze. Tym razem w wagonach było dość przestronno, mogliśmy więc obrać kącik, gdzie nas nikt nie widział. A zależało nam na tem, gdyż tutaj, w wagonie, trzeba było zamienić kapelusze na czapki, a krawatki na chusteczki, a nadto uporządkować i wygodnie umieścić w walizce zdobyte w Lublinie drobiazgi.

Kolej łukowska należy do tych licznych w Rosji dróg, które budowane li tylko ze względów strategicznych, nie liczą się wcale z potrzebami prywatnych pasażerów. Pociągi kursują tylko raz na dobę, wloką się niemiłosiernie ciężko, ale za to można śmiało jechać nimi bez biletów za małą opłatą konduktora. Ten ostatni objawia nawet niekiedy swoje niezadowolenie podróżnym, którzy bilety posiadają i wykazuje ich nierozsądek i marnotrawstwo. Do takich nierozsądnych należałem i ja z br. Marjanem.

Na stacji Parczew mieliśmy wysiąść z pociągu. Jak następnie dostać się na wieś pomiędzy unitów niceśmy nie wiedzieli. Uprzednie porozumiewania się z ludem w tym względzie są stanowczo niemożliwe. Wsiadłszy z wagonu każdy z nas osobną bryczką żydowską powlekliśmy się po piaskach ku miasteczku Parczewo. Mój żydek chciał koniecznie odbić swemu współzawodnikowi pasażera i obydwóch nas zabrać razem, ale ja, chcąc udawać, że br. Marjana wcale nie znam, nie zgodziłem się na przyjęcie go do siebie, oświadczając, że sam bez współnika potrafię zapłacić za bryczkę. Jadąc do miasta, spostrzegam znowu tegoż

popa, podobnie jak ja do Parczewa zdążającego. Zaczął mi się niepodobać.

Gdyśmy wjeżdżali do miasta było samo południe. Ponieważ i w kościele katolickim i cerkwi prawosławnej odprawiała się suma, więc piwiarnie i zajazdy (czyli t. zw. hotele) były pozamykane. Mój fiakier, nie chcąc zbyt fatygować swego konia, wysadził mnie zaraz na brzegu miasta przy pierwszej spotkanej karczynie, należącej do schizmatyka, jak się później okazało. Z frontu wejście było zamknięte, więc tylnymi drzwiami wniósłem swój kuferek do kuchni i oddałem pod opiekę staruszki-babuni, a sam poszedłem rozpatrzeć się po mieście. Brat Marjan miał tymczasem za zadanie wyszukać kogoś ze znajomych, ktoby nas mógł zabrać do wsi.

Nie znając miasta, skierowałem się w stronę wiśniejskiej wieżyczki z krzyżem, sądząc że to kościół katolicki; zbliżywszy się jednak spostrzegłem pomyłkę: była to cerkiew odszczepieńcza, niegdyś unicka. Zadzwoniono właśnie ruskim obyczajem na zakończenie nabożeństwa, więc wiedzion ciekawością, ilu też pobożnych wyznawców schizma liczy, stanąłem w pobliżu cerkwi. Wyszło kilku strażników, kilka po miejsku ubranych niewiast i może 20 osób wieśniaczej ludności. Otóż i cała parafja prawosławna! A przecież ta sama parafja za czasów unji liczyła kilka tysięcy wiernych. Uradowany tem ubóstwem schizmy, pytam jednego chłopaka, co z cerkwi wyszedł, gdzie jest kościół polski, a ten z ochotą ofiaruje mi się na przewodnika. Do kościoła od cerkwi było dosyć daleko. W pobliżu kościoła, pomimo iż to zwykła niedziela,

ogromne tłumy tamują drogę. Przynajmniej 500 fur otacza kościół; cmentarz przy nim, jak również tuż leżący cmentarz grzebalny, wypełnione ludem, w szczupłym drewnianym kościółku ogromna ciżba, tak iż dostać się doń w żaden sposób nie mogłem. Stałem z pobożnym ludem przed drzwiami kościoła, podczas gdy nabożeństwo zbliżało się ku końcowi. Znajdujący się w kościele i na obydwóch cmentarzach tworzą jedną zwartą masę w liczbie przeszło chyba 10 tysięcy ludu i wszyscy razem śpiewają: »Święty Boże, święty mocny... zmiłuj się nad nami«. Dwie trzecie tego ludu to unicy Rusini, którzy opuścili odebraną sobie cerkiew własną i tutaj w kościele polskim błagają zmiłowania Pańskiego. Usiłowano wszczepić w nich prawosławie, rzekomo aby uratować ruską narodowość przed zalewem latynizmu i polonizmu, a oni wyrzekli się swego języka, aby uratować katolicyzm... »Czy u was zawsze tak dużo ludzi w kościele?« — zapytałem jednego wieśniaka. — »O! jeszcze więcej czasami bywa« — odpowiada mi. — »Przecież tutaj ściągają ludzie z okolicy kilku mil, bo kościoły pozamykane i ten jeden musi starczyć za kilka«.

Po skończonem nabożeństwie i supplikacjach poczęli się ludzie rozchodzić, by sprawunki na mieście porobić; ja udałem się do herbaciarni, założonej przez rząd niby w celu umoralnienia, a właściwie obalamucenia i rusyfikacji ludu. Ponieważ to już po nabożeństwie w obydwóch świątyniach, więc spodziewam się zastać w herbaciarni wielu amatorów chińskiego napoju i chcę się im przypatrzeć bliżej, jak się zachowują i co mówią przy herbacie i rządowej gazecie.

Zdumiałem się, wszedłszy do wnętrza. Nie zastałem nikogo, literalnie nikogo. Zasiadłszy samotnie do stołu wypilem szklanę herbaty, słuchając jednocześnie kłótni między gospodynią-moskiewką, a służącą, zdaje się, polką, i czytając mądre sentencje o pijaństwie i trzeźwości, oszczędności i kasach rządowych, umieszczone na ścianie w języku rosyjskim z podpisem prawosławnego konsystorza.

Zbudowany taką opieką rządu i Cerkwi nad ludem, a zarazem zdziwiony »zaciekle« (!) uprzedzeniem ludu ku wszystkim instytucjom rządowym, opuściłem puste ściany tego przybytku trzeźwości, aby dla różnaitości przenieść się do pobliskiej piwiarni, w której kuferek swój zostawiłem. Tam już weselej było. Wszystkie stoliki obsadzone; goście piją piwo, palą papierosy, zajądają kielbasę. Ten i ów wyjmie z kieszeni butelczynę kupioną w sklepie rządowym »monopolówki« i raczy nią sąsiada. Pijaństwa jednak nie widać; każdy po opróżnieniu dwóch szklanek piwa lub monopolowej miarki opuszcza traktjernię i spieszy do domu. Zrozumiałem, że dlatego opieka rządowa nad moralnością tego ludu jest zbyt uczynna, iż bojaźń Boża dostatecznie go przeniknęła. Ze wszystkich gości, których zastałem w piwiarni, ja sam stosunkowo najdłużej w niej zabawiłem, czekając, aż ktoś odnaleziony przez br. Marjana, zgłosi się po moją osobę. Przytem nie chcąc bezczynnością zwracać na się niczyjej uwagi, zwłaszcza strażników, którzy od czasu do czasu tam zaglądali, kazałem podać sobie piwa i z papierosem w ustach obserwowałem zmieniających się, jak w kalejdoskopie, gości. Weszło naraz do piwiarni trzech

wieśniaków o minie dziarskiej i wesołej. Spojrzawszy na mnie uśmiechnęli się z czegoś i rezolutnie zasiadłszy przy sąsiednim stoliku, zażądali piwa. Może ci »mołodcy« przyszli już po mnie? i tylko dla obecności innych ludzi nie wiedzą, jak mnie zaczepić. Okazało się jednak, że nic wspólnego z moją misją nie miały ich odwiedziny. Rozśmiali się zapewne z moich bokobrodów. Gdy wyszli, dziękowałem aniołowi stróżowi, że mi nie dopuścił nawiązać z nimi rozmowy, do czego już miałem ochotę.

Tak upłynęło parę godzin, zanim br. Marjanowi udało się odnaleźć znajomego wieśniaka. Był nim bardzo poczciwy, ale i ślamazarny Czarniak z Kostrów. Zajechał przed traktjernię i wskazany mi przez br. Marjana zabrał mnie i rzeczy moje na swój wózek i tak wśród dnia i wśród tysięcy tłumów wyjechałem na pierwszą stację pracy misyjnej. Brat Marjan pojechał za nami z kim innym. Przebijając się ulicą między tłumami, spotkaliśmy kilku policjantów. Minawszy ich, pyta Czarniak pocichu: »A nie widział ojciec duchowny, jak jeden strażak splunął, gdyśmy ich mijali?« — »Może was zna« — zapytałem. — »Zdaje się, że nie« — odpowiada mi. »A więc w takim razie i plucie jego nic nam nie zaszkodzi«.

Około cerkwi na ulicy, którą jedziemy, stoi pop w białej sutannie, jakby jaki dominikanin. Poznałem w nim swego towarzysza od Lublina. Teraz na Czarniaka przyszła kolej splunąć na widok popa. Będzie się może później z tego spowiadał, ale nie straci sposobności okazania wstrętu ministrowi ruskiej wiary. Taka to już zawziętość tych opornych unitów. Dowie-

działem się od Czarniaka, że pop ten nie jest miejscowym proboszczem, powstał więc domysł, że przy wolnej chwili wyruszył z Lublina do kolegi w Parczewie »na wypiwkę«.

Jedziemy dalej. Za nami i przed nami sznur ludzi ciągnie w tę samą stronę, na wozach i pieszo. Znajomi Czarniaka bacznie się przypatrują, kogo on wiezie i pytają o to jego żony, która jednocześnie idzie pieszo. Ta wreszcie, aby się uwolnić od natrętnych pytań, przysiada się do nas na wózku i zaczyna płakać z radości, że księdza mieć będzie w swoim domu.

Może się to wydać zbyt hazardową rzeczą wjeżdżać do wsi na Podlasiu na pracę misyjną wśród dnia i to dnia świątecznego. Jednak jest to sposób najlepszy i najpraktyczniejszy. W każdy inny dzień i o innej godzinie dostać się z miasteczka do cichej wsi, nie mając własnych koni, byłoby bardzo trudnem i musiałoby ściągnąć uwagę podejrzliwej i czujnej na przybyszów policji. Ruch świąteczny najlepszą w tym razie osłoną przed okiem strażnika, który nigdy się nie domyśli i do głowy nie przypuści tego rodzaju »bezcelności«.

Wieś Kostry leży w odległości ośmiu wiorst od Parczewa. Przybyliśmy na miejsce przed wieczorem i po krótkim wypoczynku rozpocząłem pracę. Wieczorem słuchałem spowiedzi, przy posiłku gawędziłem z dobrymi ludźmi. Br. Marjan miał odtąd za zadanie, oprócz przygotowywania wszystkiego do mszy św., badanie ducha franciszkańskiego i przysposabianie do tercjarstwa. Główny cel mojej misji był zwizytować istniejące na Podlasiu kółka tercjarskie św. Franci-

szka, podnieść je na duchu przez radę i zachętę, udzielić im sakramentów świętych, których rzadko kto w kościele dostąpić może. Kółka tercjarzkie mają stanowić sam rdzeń wiernej Kościołowi ludności, tercjarze przez swe przykładne życie i dobrą radę mają utrzymywać innych przy świętej wierze i cnotach chrześcijańskich. Oni też mają, w braku kapłana, chrzcić dzieci, ułatwiać zawieranie małżeństw, przygotowywać chorych do dobrej śmierci, słowem zastępować poniekąd księdza. Nie wszędzie i nie w całości odpowiadają swemu zadaniu, powszechnie znać dążność do wyrodzenia się w dewocyjne bractwo bez praktycznego znaczenia, ale przy wytrwałem a stałem kierownictwie braki dadzą się naprawić i tercjarze oddadzą wielką usługę Kościołowi.

Zacząłem więc i w Kostrach pracę od tych wybranych. Całe zgromadzenie III Zakonu, żeńskie i męskie, stanęło w komplecie; dokonaną została wizyta zgodnie z rytuałem tercjarzskim (nawiasowo mówiąc nieco za uciążliwym), i zadecydowaliśmy, od kogo przyjąć profesję, kogo do nowicjatu przyjąć i t. p. Dopiero późnym wieczorem można było udać się na spoczynek, którego skołatane trzydniową podróżą członki gwałtownie się domagały.

Poniedziałek, 21 lipca. — Na drugi dzień po wysłuchaniu wszystkich obecnych tercjarzy i nietercjarzy spowiedzi świętej, odprawiam mszę świętą, po raz pierwszy w swem życiu, w chacie wiejskiej. Komunja święta i przemówienie na temat wytrwałości we wierze i grożących jej niebezpieczeństw i zasadzek schizmy, zakończyło nabożeństwo. Uszczęśliwieni ludzie

padają do nóg i całują stopy, by okazać swą wdzięczność za przybycie do nich i obsłużenie i pokrzepienie ich. — Ołtarz do mszy świętej starają się, jak tylko mogą, przybrać w kwiaty i dywaniki. — Piękne krzyże odpowiedniej wielkości, lichtarze ze świecami woskowymi wszędzie się znajdują, tak, że ołtarzowi pod względem liturgicznym nic zarzucić nie można. Zamiast portatylu używa się antyminsu greckiego, który jednak należy przed ludźmi ukrywać, by się nie zgorzyszyli słowiańskim napisem na nim i nie posądzili o wspólność ze schizmą. Inne utensylja do mszy, jak: ornat, alba, bielizna kielichowa etc. znajdują się w komplecie. Tylko zamiast kielicha używam kubeczka srebrnego, a zamiast mszału brewiarzyka tercjarskiego, gdzie jest msza o Matce Boskiej. Na każdą drobnostkę lud zważa i każdy brak dałby powód do zgorznienia, a gdzie indziej nawet do pewnych podejrzeń. Z dyspensy żadnej wobec takich warunków nie wypada korzystać. Wszystkie rzeczy mszalne przechowały się na Podlasiu od zeszłorocznej misji O. Pydynkowskiego,¹⁾ chociaż jakiś czas z obawy przed rewizją w ziemi je zakopano. Nie zostały jednak wcale uszkodzone.

Po obiedzie w poniedziałek czekała mnie znowu robota: zapisywanie tercjarzy, dawanie im wskazówek praktycznych, chrzty i bierzmowanie dzieci i dorosłych, spisywanie notatek do metryk. Z metrykami największy kłopot. Trzeba robić na miejscu notatki, by z nich później w Krakowie pozapisywać ochrzczono-

¹⁾ Który był na misji w r. 1901 i schwytyany więziony był czas dłuższy w Białej.

nych do ksiąg metrykalnych i wysłać odpowiednie dokumenty. Wszystko to naraża na stratę czasu, uchylić się wszakże od tego niepodobna, bo metryki te lud wielce sobie ceni i często umie z nich korzystać, np. dla wylegitymowania swej religji przy spowiedzi na odpuszcie lub w innych podobnych okolicznościach.

Przed obiadem jeszcze, donoszą mi, że z sąsiedniego Milanowa przyszły dwie panie, by się ze mną zobaczyć. Wypytuje, co zacz i czego pragną. Są to tak nazywane przez lud »doktorki«, a właściwie pielęgniarzki z prywatnego szpitala, założonego przez ks. Czetwertyńską dla dobra okolicznego ludu, znajdującego tu bezpłatną pomoc i lekarstwa. Nie prosiłem o to, a jednak przełożeni tercjarscy z Kostrów posłali do »pań doktorek« po wino dla ojca duchownego. Te uszczęśliwione nie omieszkały podzielić się wiadomością a przyjeździe księdza z księżną panią i zaopatrzwszy się w wino przybyły do Kostrów, aby się wypowiedać i mnie w czem będzie potrzeba usłużyć. Dzięki im miałem obiad, jakiegom się wcale nie spodziewałem na wsi u prostych ludzi. »Jacy dobrzy, ale jacy nieostrożni ludzie jesteście!« — odezwałem się do swych gospodarzy i owych pańien przybyłych. — »Nie pierwszy to raz tak się robi« — brzmiała odpowiedź. Od pańien szpitalnych dowiedziałem się o ciekawem zdarzeniu. Oto tegoż dnia rano zawitał do ich szpitala gość nieoczekiwany. Był nim duchowny prawosławny w pijanym stanie, domagając się, aby go wpuszczono do szpitalnej kapliczki i pozwolono sprawdzić, ażali czasem niema w cyborjum N. Sakramentu. W kaplicy tej msza święta była po raz ostatni przed wielu laty,

pop jednak dawał do zrozumienia, iż podejrzewa, jakoby w ostatnich dniach ksiądz tutaj mszę odprawiał. Usłyszał gorzkie słowa za wtrącanie się w nie-swoje rzeczy i odprawiony został z niczem. Po rysopisie i opisie ubrania poznałem, że to był ten sam pop, który mi od Lublina towarzyszył. Czyżby we mnie księdza wyczytał i śladów moich w Milanowie szukał? Zostawiam to Panu Bogu.

Wieczorem, po zachodzie słońca, dwoma wózkami, brat z rzeczami mszalnymi jednym, ja drugim, wyjechaliśmy do wsi Gęś, o milę odległej. Tam już bardziej niebezpieczne, więc w dzień, prostą drogą wjechać niepodobna. I teraz wśród nocy tułamy się po wygonach, przesadzamy rowy, wymijamy wioskę Czeberaki i tak »złodziejskimi drogami« dobijamy do celu. Ja w księżyc zapatrzonej odprawiam medytację na temat psalmu 90: »Kto się w opiekę...« Dziwi mnie nawet i rozśmiesza poniekąd ta ostrożność, jakiej używamy, wobec wiary w Opatrzność Bożą. W tem spotyka nas w lesie zawiadomiony uprzednio jeden z tamtejszych gospodarzy, oznajmiając, że do wsi przybyło kilku strażników na poszukiwanie zbiegłego z więzienia złodzieja, który dnia tego miał się podobno w Gęsi pokazać. Druga nowina — to wesele we wsi: odgłos muzyki i hołubców aż do nas dolatuje. Jeżeli się bawia, pomyślałem, to i strażnicy nie omieszkają godów weselnych nawiedzić, a w takim razie napewno ani złodzieja nie schwytają, ani im do głowy przyjdzie, by jakiś ksiądz miał tu przyjechać. Zresztą, choćby się o czymś dowiedzieli, to podchmieleni nie będą zdolni do poważnych kroków. Dodawszy sobie wzajemnie otu-

chy, drózkami tylnymi poza wsią dostaliśmy się do stodoły zamożnego gospodarza Stefana Lewczuka, brata z III Zakonu. Udałem się zaraz na spoczynek, strażników polecając czulej opiece ich aniołów stróżów. Nocleg był na sianie, co się odtąd powtarzało stale aż do ukończenia misji. W chacie ze względu na towarzystwo domowników, na powietrze zepsute i inne okoliczności nocować misjonarz nie może. W stodole zaś świeże powietrze bardzo orzeźwia po pracy, dodaje apetytu i sił do dalszej roboty.

Wtorek, 22 lipca. — Na drugi dzień wysłuchawszy spowiedzi kilku osób, odprawiłem mszę świętą w śpichlerzu, gdyż dom Lewczuka nie przedstawiał bezpiecznego schronienia. Chata przy gościńcu, obok niej i naprzeciwko niej sąsiadują dwaj schizmatycy, którzy podobno czyhają na zgubę swych sąsiadów, wiernych unitów. W dodatku cerkiew z popem i dżakiem niedaleko i szkoła również pod bokiem. Wielu ostrożności musiał używać ludek, by między płotami, po przez ogrody warzywne przekraść się do stodoły, w której funkcjonowałem, bez zwrócenia uwagi nieprzyjaznych sąsiadów. Ze mną również ciekawie musiano manewrować, by mię przeprowadzić ze stodoły do izby na obiad. Chata duża, widna, zewsząd w okna zaopatrzona, czysta i wielu obrazami św. przybrana, między którymi spostrzegam obrazy Najśladźszych Serc Jezusa i Marji i portret Leona XIII. Te trzy obrazy prawie w każdej chacie na Podlasiu spotkać można. Gospodarz Lewczuk okazał się dość inteligentnym człowiekiem i bardzo rozmownym. Opowiada mi więc przy obiedzie o wielu ciekawych rzeczach, o miej-

scowych stosunkach, o spisie ludności, podczas którego wszyscy we wsi unicy jako katolicy pisać się kazali, o sztuczkach miejscowego popa, który gotów unitom zezwolić nawet na śpiew różańca w cerkwi, byle tylko do niej chodzić chcieli, i który podobno nawet obraz św. Józafata z dawnych czasów aż dotąd toleruje w cerkwi. Opowiadał następnie o przeszłości, o prześladowaniach i cierpieniach przebytych, ze czcią wspominał rodzinę hr. Łubieńskich, którzy w tych stronach majątki posiadali i Unję świętą ratowali; pokazał mi fotografię hr. Łubieńskiej, przechowywaną w książce do nabożeństwa, jakby relikwję jaką. Miło było słuchać i od prostych ludzi można było wiele się nauczyć i więcej jeszcze zbudować. Szczególnie uderzyło mnie to w Gęsi, a potem i wszędzie na Podlasiu, że włościanie Rusini ze czcią i miłością mówili o swych panach — Polakach. Antagonizmu rasowego czy klasowego w żaden sposób dojrzeć nie mogłem.

Przed wieczorem już się z niebezpieczeństwem sytuacji nieco oswoiliśmy; strażnicy, ubawieni na weselu, ani złodzieja nie znalazłszy, ani obecności księdza we wsi nie przeczuwając, oddalili się do Milanowa. Lud liczniej opłótkami począł się zbierać, znosząc małe i prowadząc większe dzieci, by im chrztu udzielić. Chciałoby się uniknąć tego zbiegowiska, perswaduje się ludziom, że narażają i siebie i księdza na niebezpieczeństwo, ale to nic nie pomaga: wiele chrztów nawet doroślejszej młodzieży okazuje się nieważnemi, a takich jakże nie naprawić? Noc więc całą trwała robota. Wszyscy tercjarze i tercjarki przystąpili do spowiedzi świętej.

Środa, 23 lipca. — O godzinie drugiej po północy wyszedłem ze mszą świętą, znowu w śpichrzu. Jakże rozczulający widok przedstawia podobne nabożeństwo! Poniewoli przypomina się szopka betleemska z jej żłóbkiem i prostymi pastuszkami. Jeżeliś, Jezu dobry, nie pogardził stajenką w chwili swego narodzenia, nie wzgardzisz i naszą szopką, w której Cię otacza ludek prosty, lecz nie mniej pobożny jak betleemscy pastarze. Ludek ten dobrze rozumie, że tam świątynia, gdzie Pan Jezus, i dlatego wchodząc do tej stajenki, bije pokłony i ziemię całuje, podczas gdy mijając odszczępieńczą cerkiew, czapki nawet nie uchyli.

Zaraz po mszy i nauce wsiedliśmy na wózki i jeden za drugim wynieśliśmy się z Gęsi. Czas wczesnego poranku okazuje się najbezpieczniejszym do przejazdów z jednego na drugie miejsce. Trzecią wsią, do której przybyłem, o piątej rano, 23 lipca, były D a w i d y, wieś duża, zamieszkała przez samych wiernych unitów, bez żadnego odstępcy, i nie posiadająca ani cerkwi, ani popa, ani nauczyciela, ani żadnego urzędnika. Tu więc można było swobodniej oddychać i czuć się bezpiecznym, jak we własnym domu. Pierwszą rzeczą po bezsennej nocy było wyspać się dowoli. Gospodarz Deneka przygotował mi tapczan w komórcie, po za ścianą której nierogaczna się mieściła. Pomimo takiego sąsiedztwa usnąłem snem sprawiedliwego i dopiero głód obudził mnie około południa. Tymczasem już kilka kucharek krzątało się, aby ojcu duchownemu zgotować śniadanie. Ale sprawdziło się przysłowie o sześciu kucharkach. Zastawili wprawdzie stół i chlebem i masłem i miodem; znalazła się i herbata i kasza

i marchew; ale bądź misjonarzu mądry, jak to wszystko pogodzić i od czego zacząć! Każda przytem kobieta stoi przy księdzu i zachęca, aby przecież skosztował tego, co ona sporządziła, a gdy widzą że misjonarz nie ma ochoty do wszystkiego, wpadają na domysł, że trzeba jaj ugotować i rzeczywiście w kilka minut masz w dodatku mendel jaj na twardo. Aż musiałem sam się wdać w kulinarne sprawy i tłumaczyć kobietom, co z czem można podać, w jakim porządku, co z czem się nie godzi itp. Słuchały poraz pierwszy w życiu tych uwag, któreby im same nigdy do głowy nie przyszły, i podziwiałały, że ksiądz nie tylko chrzczyć umie, ale zna się i na gotowaniu. Odtąd poleciłem br. Marjanowi pilnować na wszystkich stacjach, aby potrawy dla nas przyrządzane były najprostsze i z najmniejszym nakładem. Takie tylko smacznie zjeść się dadzą, wszelkie zaś smakołyki wiejskie mogłyby narażić na nieprzyjemności nasze żołądki. Ponieważ w dodatku, nie mogliśmy się przyzwyczaić do szerokich łyżek drewnianych i do używania naturalnych widelców, więc przy pierwszej sposobności postanowiłem kupić parę łyżek i widelców do własnego użytku.

Wracam do rzeczy. Mój gospodarz Deneka, po bliższem zapoznaniu się, okazał się przykładem całej wsi pod względem pobożności i stałości w wierze. Dużo wycierpiał od moskali: nahażki zrujnowały mu zdrowie, kontrybucje pożarły majątek, lecz Pan Bóg wszystko mu jak Hiobowi wrócił w dwójnasób. Chłubi się z tego i śmieje z prześladowców. Lud w Dawidach słynie na całą okolicę ze swej pobożności i przedstawia ogromnie dużo materiału na świętych.

Czwartek, 24 lipca. — Załatwiwszy się z tercjarstwem, odprawilem 24 lipca wśród dnia mszę świętą, a po południu dopełniałem ceremonij chrzestnych i bierzmowałem dzieci. Same chrzty są tutaj w porządku, bo poważni i rozumni gospodarze ich udzielają, wszakże skoro ksiądz się zjawi, nie przepuszczą mu, aż wszystkie dzieci pobiermuje i do metryk zapisze. »U nas wszystko można zrobić, tłómaczą mi, ani jeden dotąd zdrajca nigdy między nami się nie znalazł i ufamy Bogu, że się nie znajdzie«.

Obok tak sprzyjających okoliczności, trafił się i tutaj jeden nadspodziewany wypadek. Podczas gdy załatwiam się z dziećmi, zajeżdża furą jakiś żebrak. Wybiegła dziewczyna z jałmużną, by nie wpuścić go do chaty, ten jednak śnać zaciekawiony płaczem kilkorga naraz dzieci, przywiązuje konia do płotu i oczekuje zaspokojenia swej ciekawości. Przybył i żyd-sąsiad i gwarzyć coś z dziadem począł. Trudno ich było przecież z przed domu rozpędzać, więc nie bacząc na ich obecność, kontynuowałem swą pracę. Skończywszy wszystko, kładę na siebie sukmanę (w której począwszy od Kostrów stale jeździłem) i idę do stodoły. Wtem dolatuje mnie rozmowa z ulicy:

— Co to jest w tym domu, że tak dużo kobiet i dzieci? — pyta żebrak dziewczynki, która wybiegła na ulicę.

— A, bo do nas ksiądz przyjechał — odpowiada dziecko.

Usłyszawszy takie zeznanie, zrozumiałem, że długo w Dawidach nie będzie można popasać, i rzeczywiście tegoż wieczora poprzez łąki i parowy dobra-

łem się do wsi Polubicze, w powiecie Włodawskim. Chociażby, myślałem, żyd albo żebrak zdradził, strażnicy tymczasem zadowolnią się poszukiwaniami w granicach swego udziału, a ja tymczasem będąc w innym powiecie, zyskam na czasie.

Przybyliśmy do Polubicz późno w nocy, dwoma wózkami. Nie chcąc zwracać uwagi psów i nocnej straży przejazdem przez wieś całą, stanąłem z br. Marjanem przyczajony po za stodołami, a jednego woźnicę wyprawiłem do pewnego gospodarza, nazwiskiem Kalinczuka, by go zbudził i wysłał po nas. Ten dopiero zaułkami doprowadził nas do swej stodoły i ułożył w sianie do spoczynku. Ze względu na obecność popa, nauczyciela i kilku odstępców, ograniczyłem swą pracę w Polubiczach do obsługi tercjarzy i najbliższych ich krewnych i to w jak największej tajemnicy. Obok Kalinczuka mieszka schizmatyk, który otrzymał od rządu majątek po wywiezionym w głąb Rosji unicie, z warunkiem szpiegowania swych sąsiadów, czyli, jak się język rządowy wyraża — z warunkiem dawania im dobrego przykładu wierności cerkwi prawosławnej. Tacy przykładni są dla księdza najniebezpieczniejsi.

Piątek, 25 lipca. — Pomimo takiego sąsiedztwa odprawiłem u Kalinczuka w izbie dwa razy mszę świętą, przy zasłoniętych oknach, bez używania dzwonka, w głębokiej ciszy. Cały dzień spędziłem w mieszkaniu, jak w więzieniu, nie wychodząc nawet przed próg chaty, by nikt z sąsiedztwa widokiem obcego człowieka nie wpadł na jaki szkodliwy nam domysł. Przychodzenie i odchodzenie kilkunastu osób ze wsi nie tyle raziło, gdyż do tego widoku już schizmatycy przywykli, z po-

wodu, że do Kalinczuka często tercjarze zbierają się na pogawędkę i czytanie pobożnych ksiąg. — Wieczór przyniósł mi wielką pociechę. Przywieźli z innej wsi ¹⁾ sparaliżowaną od wielu lat i bliską skonu staruszkę, krewną Kalinczuka. Złożono ją w komorze. Od wielu lat błagała Boga, aby nie pozwolił jej umrzeć bez sakramentów świętych i chociaż nie wiedziała jak się to stanie, jednak ufała, że ją Pan Bóg wysłucha. I wysłuchał. Wydysponowałem ją na śmierć, leżąc na podłodze przyjął pobożnie komunję świętą i ostatnie namaszczenie.

Sobota, 26 lipca. — Zaraz po mszy, która była o godzinie drugiej po północy, opuściłem Polubicze, aby się udać do powiatu Bialskiego, do wsi S t a s i ó w k i. Wyróżnia się ona zamożnością swych mieszkańców i stałością ich we wierze. Tam spodziewałem się kilka dni zabawić. Niestety i tu przeszkoda. Przybywszy do wsi, dowiaduję się, że przed dwoma tygodniami dokonano zabójstwa na bogatym, bezdzielnym gospodarzu, w celu ograbienia go z pieniędzy i weksłów, i że z tego powodu ustawicznie nawiedzają wioskę policyjni i sądowi urzędnicy. Gospodarz Niedźwiecki, do którego zajechaliśmy, był również pociągany do sądu w charakterze świadka, a nądto spodziewał się u siebie rewizji policyjnej z innego powodu. Uważał więc za rzecz konieczną, abym coprędzej wieś opuścił, lecz porozumiawszy się następnie ze są-

¹⁾ Na Podlasiu rozgałęzione jest wróżbiarstwo, więc i przewożenie takiej chorej nikogo nie zdziwiłoby, lecz wytłómaczonemby było, że udaje się gdzieś do innej wsi, do »wróża«.

siadem swym Kurowskim (łacinnikiem) osądzili obadwaj, że będę mógł się zatrzymać na krótki czas w stodole Kurowskiego.

Niedziela, 27 lipca. — Tam więc wysłuchałem spowiedzi kilkadziesiąt osób, na drugi zaś dzień (w niedzielę) odprawilem, na żądanie ośmielonego już Niedźwieckiego, mszę świętą w jego domu, na której ze 200 osób się znalazło. Miałem zamiar po południu ochrzcić kilkoro dzieci ze sąsiedztwa, gdy tymczasem odebrałem wiadomość, że proboszcz z Wisznic, ks. Majsterski, u którego był br. Marjan po wino mszalne, prosi usilnie, abym go sekretnie, a ostrożnie odwiedził. — Zaniechałem więc dalszej pracy w Stasiówce i pożegnawszy dobrych i serdecznych swych gospodarzy udałem się sam do Wisznic, brat Marjan z rzeczami miał jechać później. Z Wisznic mieliśmy się wybrać do pobliskiej osady Horodyszczce, w powiecie Włodawskim. Plebanję wisznicką dokoła otaczają mieszkania strażników, którzy śledzą każdy ruch księdza. Dwóch poprzedników obecnego proboszcza zostało deportowanych do Rosji, on sam również, jak mówi, czeka na rozkaz wyjazdu, lecz pomimo to pracuje wytrwale i nad swoją łacińską parafją i o ile może pomaga unitom. W swojej parafji, do której przyłączono parę innych, ma dziesięć cerkwi niegdyś unickich dziś prawosławnych i tyluż kolegów-popów. Wszyscy ci intruzi, nic nie mając do roboty, z braku parafjan, wysilają swój dowcip na szkodzenie księdzu. Kościół w Wisznicach jest im solą w oku, stąd też radziby go skasować. Od siedmiu lat parafja szturmuje do władzy o pozwolenie zbudowania jakiegokolwiek dzwonnicy przy kościółku,

lecz zawsze odmowną otrzymuje odpowiedź. Sam kościółek, drewniany, chyli się do upadku, lecz o restauracji niema co i myśleć. Załatanie kilku dziur w dachu i podłodze ściągnęło baczną uwagę popów, którzy z tego powodu zrobili całą historję naczelnikowi powiatu, który na te drobne roboty zezwolił. Według zdania popów, cała przyczyna uporu unitów leży w kościele łacińskim, trzeba więc dążyć do zamknięcia wszystkich kościółków, lub pozwolić im upaść ze starości, a wtedy unicy zwrócą swe kroki ku cerkwi. Co będą czynić niewinni łacinnicy bez kościoła, nic to ich nie obchodzi.

Po podwieczorku pożegnałem ks. proboszcza i pieszko udałem się za miasto na szosę, wiodącą do Horodyszcza. Właśnie wtedy jechał br. Marjan i zabrał mnie na furę. O zmierzchu byliśmy w Horodyszczu, u gospodarza Dominika Sokołowicza, bardzo poczciwego i dobrodusznego człowieka.

Miejscowość ta bardzo ludna i rozległa, należy do najniebezpieczniejszych a zarazem najpracowitszych dla misjonarza. Lud dobry, przedsiębiorczy, gotów do poświęceń, ale i chwastów nie mało. Od samego początku prześladowania mieszkańcy tej osady ulegli o tyle schizmie, że ciała nieboszczyków wożą do pokropienia przez popa i dzieci posyłają do szkoły cerkiewnej. Jakie niebezpieczeństwa grożą z takiej połowiczności, łatwo zrozumieć. Trudno jednak, po tylu latach, zdobyć się na odwagę zupełnego zerwania z popem. Dużo we wsi jest schizmatyków jawnych, stąd trzeba się mieć na ostrożności. Parę lat temu nawiedził Horodyszcze świecki kapłan z Dorpatu, Ks. Żyskar, który publicznie w komży przebiegał z jednego końca wsi w drugi, czem

ogromnie zaimponował unitom. Ja przedsięwziąłem większą ostrożność.

Pierwszą dobę zabawiłem u Sokołowicza, słuchając spowiedzi i porządkując tercjarstwo. Przewodzi mu tam niejaki Wetoszka, typ mieszczańska-łyka, bywalca w świecie i obytego z rozmaitemi sprawami. Ma wielki mir między swoimi, a naczelnik powiatu nazwał go »biskupem unitów«. On i wielu innych chcieliby samych schizmatyków nawracać, lecz uważają się na brak odpowiednich książek.

Poniedziałek i wtorek, 28 i 29 lipca. — Pracowałem w poniedziałek do północy, dłużej u Sokołowicza siedzieć nie było bezpiecznie, więc odprowadzono mnie najpierw na godzinę odpoczynku do czyjejsz stodoły w środku wsi, a następnie na drugi jej koniec, gdzie w domu Józefa, przełożonego tercjarzy, odprawiłem mszę dla nich o godzinie drugiej po północy we wtorek. Raniutko odprowadzono mię znowu gdzieindziej, na śniadanie i spanie, bym się pokrzepił na czekającą mnie popołudniu pracę ze spowiedziami i chrztami. Gdy tam spoczywam, około godziny dziesiątej dają mi znać, że do wsi przybyli strażnicy i odesławszy konie, sami zniknęli we wsi. Na policję urządziliśmy policję własną, która miała się dowiedzieć, po co tamta przybyła i gdzie się znajduje. Znaleziono strażników w jednej chacie śpiących... Podobno oczekiwali sołtysa, który był w polu. Było rzeczą widoczną, że zanosi się na rewizję. Moi tercjarze dowiedzieli się czegoś więcej. Gospodarz, w którego stodołę obecnie się znajdowałem, ma brata w zgromadzeniu br. Alberta. On roku zeszłego był wyprawiony nieść pomoc uwięzionemu

O. Pydynkowskiemu i przy tej okazji pokazał się w Horodyszczu. Policja go dotąd poszukuje i chce dostać w swe ręce. Otóż gdym rano po mszy szedł do owego domu, skąd ten brat pochodzi, byłem za niego wzięty przez jakiegoś żyda, który zaraz nowinę ogłosił służącej cerkiewnego starosty. Ta ostatnia dała znać policji o rzekomem przybyciu poszukiwanego emigranta. Byłem więc pod dachem, gdzie się za chwilę miała odbyć rewizja, spóźniona jedynie z powodu nieobecności sołtysa i niedołęstwa rosyjskiej policji. — Kazałem gotować konie do odjazdu, a sam przez ogrody przeniosłem się o parę stodół dalej, dokąd przyniesiono skromny południowy posiłek. Posiliwszy się, czem Bóg dał, opuściliśmy z br. Marjanem kryjówkę i pieszo przez ogrody udaliśmy się do szopy, gdzie miały na nas konie oczekiwać. — Łatwo mówić o ostrożności, ukrywaniu się i t. p. temu, kto nie zaznał jak to wszystko w rzeczywistości wygląda. Tak n. p. trzeba umykać z Horodyszcza przed strażnikami w dzień biały; radbyś się stać niewidzialnym dla ludzi, a tymczasem w ogrodach na każdym zagonie konopi po kilka bab spotykasz, a wszystkie ciekawie przyglądają się obcemu człowiekowi. W polu, w umówionem miejscu koni nie zastajesz i znowu błąkaj się przez godzinę całą na widoku ludzi, a odejść nie możesz, bo gdzież cię woźnica będzie szukał? Możeby się schronić w żyto... ale jeszcze gorzej, bo ludzie w polu obecni pomyślą: ej, to nie dobry człowiek, a może i przytrzymają.

Po godzinie przykrego oczekiwania odnalazł nas woźnica, który źle nas zrozumiawszy, na innej szosie stał z końmi, a nie mogąc doczekać się, pozostawił wóz

na gościńcu, a sam puścił się w pole na poszukiwanie pasażerów. — Skończyło się wreszcie to wszystko i wieczorem dnia tego byliśmy we wsi W i s k i, w powiecie Radzyńskim.

W pół godziny po nas, przybył do Wisiek »biskup« Wetoszka z rzeczami mszalnemi. Doniósł nam o odbytej rewizji, tam gdzie się odbyć miała. Strażnicy pytali sąsiadów, czy prawda, że brat Michał wrócił z zagranicy, lecz wyśmiani i niepyszni z kwitkiem do domu wrócili. Będą na drugi raz ostrożniejsi i sędzę, że owej służącej, która ich sprowadziła, nigdy już nie uwierzą, choćby im nie wiem kogo wydać obiecywała. — Po tem wszystkiem tak smacznie noc całą spałem, jakby żadnych strażników na świecie nie było.

Środa, 30 lipca. — Po mszy, na drugi dzień, zabrałem się do pracy we Wiskach. Wystarczyło jej na cały dzień i prawie całą noc następną. Odbyło się wszystko spokojnie, bez szczególnych przygód. Gościł nas poważny gospodarz Roman Maćkiewicz, na drugą jednak noc przeniosłem się w nocy do innego domu, o którym wiedzieli tylko ci co komunję przyjąć mieli. Choćby więc kto naprowadził w nocy policję, jużby mnie u Maćkiewicza nikt nie znalazł. Msza, jak zwykle, o drugiej w nocy, a raniutko dalej w drogę. Był już dzień św. Ignacego z Loyoli.

Czwartek, 31 lipca. — Wieś K o z ł y, w powiecie Bialskim, kilka mil oddalona od Wisiek, była celem naszej drogi dnia tego. — Jechaliśmy obaj jednym wózkiem, rzeczy szły za nami. Przede wsią odesłaliśmy konie, a sami weszliśmy pieszo, by nie tyle uwagi zwracać na siebie. Br. Marjan zaprowadził mnie do chaty

pewnego chłopca, który trudnił się ciesielką, mogło więc uchodzić, jakobyśmy z obcej wsi przybyli zamówić go do roboty. W chacie podnosili się dopiero z łóżek. — Marjan, jako dawny znajomy, przywitał się z gospodarstwem, mnie uważano za jakiegoś drugiego braciśzka lub aspiranta do Albertynów. Gospodarz więc wyciągnął pretensjonalnie ku mnie rękę i potrząsnął moją poufale. Nagadawszy się do woli o rzeczach pobocznych, doszło wreszcie do zaprezentowania mnie i oznajmienia celu przybycia. Dopieroż końca nie było przeprosinom za takie niedbałe przyjęcie ojca duchownego. Przybyły wkrótce za nami i nasze rzeczy, po które sam gospodarz wyszedł w pole. Zwykła praca tercjarska, bez żadnych osobliwości. Chrztów żadnych w tej wsi nie udzielałem, by uniknąć rozgłosu.

Piątek, 1 sierpnia. — Msza św. tego dnia odprawioną została o godz. 8 rano, na pięknym ołtarzyku, który ubrany na maj i czerwiec doczekał się i tego, że sam Pan Jezus na nim zagościł pod osłonami chleba i wina.

Ponieważ wypadało nam zrobić dnia tego znowu kilka mil drogi do następnej stacji, więc by ludzi furmankami nie obciążać, pojechaliśmy razem z rzeczami na jednym wózku. Zresztą coraz bardziej oswajaliśmy się z niebezpieczeństwami. Droga wiodła przez parowy i lasy, a taka niewygodna, że o wiele lepiej było iść przy wozie niż jechać na nim. Tak też uczyniliśmy. Wreszcie dojechaliśmy do szosy, a nią do Białej, miasta, gdzie roku zeszłego był więziony O. Pydyńkowski. Zatrzymaliśmy się w mieście dla zrobienia niektórych sprawunków. Br. Marjan poszedł do znajomego orga-

nisty po opłatki, ja puściłem się na zwiedzanie miasta. W ciągu kwadransa spotkałem coś pięciu popów, jeden z nich jednocześnie ze mną załatwiał sprawunki u Kaweckiego, ku wielkiej uciechu mego furmana, który patrzył na to spotkanie popa z jezuitą i kombinował w myśli, co by było, gdyby pop wiedział kogo ma przed sobą. — Fura nasza z utensyljami mszalnymi stała na rynku, po którym ustawicznie kręcili się policjanci. Wstąpiłem i do wikarego Ks. Olędzkiego, by mu powierzyć trochę pieniędzy mszalnych i przy okazji posilić się czemś przyzwoitszem. Struchlał na pierwsze moje przedstawienie się, lecz potem uspokojony serdecznie mnie ugościł. Jest to ksiądz pełen zapału dla sprawy Bożej. W samem gnieździe policji, wysłuchuje unitów spowiedzi i załatwia im inne sprawy. Cały rok codziennie od świtu do obiadu siedzi w konfesjonale. Rad był moim odwiedzinom, albowiem mógł się porozumieć i umówić co do sposobu kierowania tercjarzami unitami, którymi w braku misjonarza sam się opiekuje, i co do sposobu katechizacji dzieci unickich, zawierania ich małżeństw etc. Uskarżał się na niektóre pisma galicyjskie, szkalujące biednego dziekana, jakoby był księdzem rządowi oddanym, podczas gdy w istocie kapłan ten oddany zupełnie sprawie Bożej i dla niej jedynie zręcznie z rządem stara się politykować. Zachwycił się cierpliwością Ks. Pydynkowskiego we więzieniu. O wszystkim księża wiedzieli, lecz dowiedziawszy się z boku, że nic niebezpiecznego więźniowi nie grozi, nie przedsiębiorali żadnych kroków co do wyzwolenia go, by sprawy raczej nie pogorszyć.

Z Białej br. Marjan poszedł pieszo do Terebeli,

by miejsce na moje przyjęcie przygotować. Ja z rzeczami wyjechałem przed wieczorem. Minąłem siedzibę sióstr z Leśny, które widać z braku w Białej zajęć odpowiedniejszych swemu powołaniu, trudnią się sprzedawą biletów na loteryję. Tak głosi napis na ich domu: »Kantor sprzedaży biletów na loteryję klasyczną Królestwa Polskiego, utrzymywany przez zakonnice z Leśny«. Oby wszędzie chciały na tem zajęciu poprzestać. Niestety, więcej one wyrządzą szkody Kościołowi katolickiemu przez lat parę, aniżeli popi przez lat trzydzieści. Uznał to i sam cesarz podczas ostatniej swej bytności na Podlasiu w r. 1900. Gdym przybył do Terebeli, już na mnie oczekiwali ludzie przybyli do spowiedzi. Praca zwykła przez wieczór i następny poranek, msza święta, a po niej chrzty dzieci aż do południa.

Sobota, 2 sierpnia. — Po południu zostawiwszy w Terebeli część rzeczy mniej w drodze potrzebnych, wyruszyliśmy na nadprogramową wycieczkę pod Janów, by zbadać stosunki tamtejsze, ażali nie da się coś zrobić w tamtych stronach. Po drodze mijaliśmy Leśnę, przejechali Witulin, wszędzie znać postępy schizmy, za przyczyną zakonnic z Leśny i z powodu, że okolica ta nigdy misjonarza nie miała.

Stanęliśmy na noc w Komarnie u młynarza Sawczuka, którego znał br. Marjan. Ten nieprzygotowany na takie odwiedziny, nie miał odwagi zalecić mi jakkolwiek we wsi działalność. Obawiał się swego służącego schizmatyka i nawet rodzonego ojca, również niezbyt silnego we wierze. Cała wieś bliską była odstępstwa, tylko gorliwość jednego wieśniaka, imie-

niem Teodora, powstrzymała ją od zguby; ale znowu burza zawisła nad nią z powodu otwarcia szkoły cerkiewnej.

Niedziela, 3 sierpnia. — Przenocowaliśmy w stodole Sawczuka, uchodząc wobec domowników za kupców, chcących nabyć od niego wiatrak; na drugi dzień raniutko wyprawił gospodarz swego parobka z końmi w pole, zaprosił swego brata, bratową i owego Teodora, wobec których odprawiłem w alkierzu mszę św. Chciałem kilka słów przemówić, lecz jakieś natchnienie wstrzymało mnie od tego. I dobrze się stało. Za ledwieśmy uprzątnęli ołtarz i szaty liturgiczne, powrócił z pola służący.

Pod pozorem obejrzenia wiatraka wyszliśmy obaj z gospodarzem i wtedy sam na sam opowiedziałem mu, co się robi dla wiary św. w wielu innych miejscach i co by się dało zrobić w Komarnie, gdyby lepsi gospodarze ze sobą się porozumieli i odpowiednie kroki poczynili. Otworzyłem mu oczy na niebezpieczeństwa, grożące młodszemu pokoleniu ze strony szkoły i pouczyłem, jak się należy zapatrywać na nią z punktu widzenia katolickiego, stawiając za przykład (co wszędzie czyniłem) bohaterski czyn biskupa Zwierowicza, który wolał iść na wygnanie, niż patrzeć na zgubę powierzonych sobie owieczek. Rozczulił się mój młynarz, wyznał ze łzami, że już prawie do rozpaczyny dochodzi z powodu swego opuszczenia religijnego, ale obiecał, że odtąd już swych synów więcej do szkoły cerkiewnej nie pośle i że użyje swego wpływu we wsi, aby pole pracy dla misjonarza na przyszłość przygotować.

Ciekawy zbieg okoliczności. Wjeżdżając do Komarna, mineliśmy wyjeżdżającego nauczyciela miejscowej szkoły. Jechał do jakiegoś klasztoru, gdzie się miała odbyć wspólna narada nauczycieli nad sposobami przeciągania unickich dzieci do schizmy. Może Pan Bóg raczy pokrzyżować ich wrogie plany. Dla mnie dobrze, że wyjechał, bo zaprzyjaźniony z młynarzem, mógłby być go odwiedzić w czasie mego pobytu i domyślić się, co się dzieje.

Nie kupiwszy wiatraka, namówiłem młynarza, by pojechał ze mną na sumę do Janowa. Marjan został w domu. W drodze mogliśmy się wygadać do woli, czem młynarz był bardzo uszczęśliwiony. Janów, niegdyś stolica biskupa podlaskiego, jest miejsciną nędzną i brudną. Posiadał niegdyś katedrę biskupią i seminarjum duchowne, kościół i klasztor ojców Dominikanów i cerkiew unicką. Duchowieńswa, nie licząc młodzieży seminaryjnej, znajdowało się za dobrych czasów około 30 księży. Dobroczynne skutki pracy tamtejszego ostatniego biskupa Szymańskiego i duchowieństwa łacińskiego, jeszcze dzisiaj oglądać można w żywej wierze i szczerzej pobożności ludu. Gospodarka rosyjska skasowała diecezję, kościół katedralny zamieniając na parafjalny, cerkiew unicką do szczytu zniosła, a z kościoła dominikańskiego uczyniła cerkiew schizmatycką, nie tylko wewnątrz przystrajając ją po swojemu, ale i zewnątrz na szczycie i dachu przylepiając charakterystyczne bizantyjsko-ruskie cebule. Gmach seminaryjski przytykający do katedry, w części obrócono na biura zarządu powiatowego, w części zaś

wnie jak i dla złodziei, przedstawiają rosyjskie szosy strategiczne. Wymijają one starannie wioski i miasteczka, rozgałęziają się zwykle w polu; stąd jadąc niemi łatwo się uchylić od widoku ludzi. Taka dogodna sytuacja i ranna pora dawały nam i w tym wypadku rękojmię, że z nikim niepotrzebnym nie spotkamy się w Wisznicach.

Gdyśmy wjeżdżali do Dawidów, lud wybierał się w pole do żniwa, stąd też zauważono łatwo nasze przybycie i wielu ciekawych zbiegło się na powitanie. Niezmiernie radowali się, że jeszcze moskale nie pochwycili »ojczulka«.

»Co u was słyhać po mojej wizycie« — zapytałem ich.

»Wszystko dobrze« — odpowiadają — »tylko, że w parę dni po odjeździe ojca przybyło do nas aż czterech strażników, ale mało kogo spotkali w domu, bo ludzie byli u roboty. Pospisywali więc świeżo wystawione krzyże i napadli żydówkę, aby im powiedziała, w którym domu ubierano niedawno kościół dla »świaszczennika«, lecz ta, nie w ciemę bita, odrzekła, że ona jest żydówka i wcale nie wie, co to jest kościół i co to jest »świaszczennik«. Żadnych więcej badań nie było i wszystko ucichło«.

Czy czasem ów dziad nie zdradził? Ale w takim razie nie trudnoby mu było i dom wskazać. Zdaje się więc, że strażnicy na chybił-trafił pytali, czy czasem nie da się im co ułować, a może doszły do nich jakie głuche wieści o wizycie księdza w tych stronach, lecz gdy obszedłszy swoje terytorjum wszędzie spokój znaleźli, zwątpili o ich prawdziwości. Chwalić się przed

władzą z takich niewczesnych pogłosek ruski policjant nie będzie, bo wie, że otrzymałby nagane, iż nie dobrze pilnuje i o wszystkim wie, ale po czasie.

Odesławszy ludzi do roboty, sam spać poszedłem. Od południa zacząłem słuchać spowiedzi i chrzcic dzieci.

Sobota, 9 sierpnia. — Mszę na drugi dzień miałem dopiero około południa, by jaknajwiększą liczbę ludzi uszczęśliwić komunją świętą, poczem znowu zabrałem się do udzielania sakramentów. Co tylko było we wsi dzieci niechrzczonych (a właściwie ochrzczonych z wody), wszystko tego dnia się uporządkowało i do metryk wpisało. Wieczorem zajechaliśmy do wsi *W o r o n c a*, w pobliżu Wisiek. Skierowano mnie odrazu do stodoły przełożonego tercjarzy, Mikitiuka, bo dom znajdował się w zbyt otwartym miejscu.

Niedziela, 10 sierpnia. — Tego dnia, jako w dzień św. Wawrzyńca, przypadał odpust w najbliższym kościele Komarówce. My urządziliśmy swój odpust w śpichrzu, gdzie po mszy powiedziałem naukę o św. Wawrzyńcu, jako wzorze stałości we wierze świętej, przywiązania do kapłanów, gotowości na wszystkie cierpienia i innych cnót unitom najbardziej potrzebnych. Proboszcz ani się domyślał, że jednego dnia ma w swej parafji odpust z kazaniem na dwóch miejscach.

Skończyło się nasze nabożeństwo na południe; po obiedzie jeszcze słuchanie spowiedzi i chrzty (tutaj konieczne, bo wszystkie udzielone przez babkę okazały się nieważnemi), zajęły mi czas do samej nocy. Miałem pociechę z przyjęcia na łono Kościoła dwojga dziewcząt, pochodzących z rodziców jawnych schizma-

tyków, którzy jednak córkom pozwolili zostać katoliczkami.

Miałem szczerą chęć nauczania babki, odbierającej dzieci, formy chrztu świętego, lecz po długich powtarzaniach słów sakramentalnych, gdym powołał ją do egzaminu, odrzekła, że to za trudne na jej starą głowę i obiecała dalej chrzczyć po swojemu, a chrztu udzielała jak gdzieś w Małej Azji za pierwotnych czasów, w imię świętego Jana!! Zgromiłem ją wobec innych za upór i surowo poleciłem obecnym, aby nigdy nie pozwalali jej chrzczyć nowonarodzone dzieci. Ale co to pomoże! Ludziska, jakkolwiek niedowierzają babce, jednak uważają, że i jej »zlewanie«, albo »przeżegnanie«, jak taki chrzest nazywają, choć trochę dziecku pomoże, a »lepszy rydz, niż nic«. Mężczyźni tutaj z obawy jedni przed drugimi i przed zemstą babki, nie chcą się podjąć chrzcielskiego urzędu... Ilu tam już umarło poganami od początku prześladowania! A ile na Podlasiu takich wsi, jak Woroniec!...

Późnym wieczorem w niedzielę stanęliśmy w W a l i n n i e. Wieś tę zamieszkują ludzie, mogący rywalizować z Dawidami swoją uczciwością i pobożnością. Tam od paru lat wielu pragnęło przyjąć habit pokutny św. Franciszka, lecz okazja się nie nadarzała; mnie przypadło w udziale zadosyćuczynienie temu ich pragnieniu.

Poniedziałek, 11 sierpnia. — Rano odprawiłem mszę świętą po cichu, tylko dla domowników. Potem wziąłem się do porządkowania nowo-zawiązanej kongregacji, wyboru przełożonych, pouczenia reguł i celu jej istnienia etc. Spowiedzi było kilkadziesiąt. Wreszcie

wieczorem proszono o chrzest dzieci. Ktoś, nie zapytawszy mnie o pozwolenie, dał znać do innej wsi Żelizny swemu krewnemu, inny zawiadomił przyjaciela w Komarówce. Wszystko to działo się niby w ścisłym sekrecie, a rezultat z tego był ten, że zjechało się kilka fur pełnych większych i mniejszych dzieci. Okazałem swoje niezadowolenie, ale pochrzcć wszystkich musiałem, bo i tu wszystkie chrzty, po wybadaniu używanej przez babkę formy, okazały się co najmniej wątpliwymi. Niektóre z tak ochrzczonych dzieci chodzą już do spowiedzi, na innych czas że-niaczki nadchodzi, a tu poważna wątpliwość albo i pewność, o nieważności chrztu! Takie stosunki.

Jakkolwiek zwijałem się z robotą, nie mogłem podołać nadchodzącym coraz nowym zastępom kobiet; wiele więc z nich odesłałem do przyszłej wizyty misjonarza... Mszę świętą w nocy celebrowałem z pewną bojaźnią, ażali policja z Komarówki nie jest już »ante portas«, bo tyle ruchu, trudno by nie zwróciło niczyjej uwagi. Pan Jezus przyszedł ze swą opieką: spuścił z nieba taką chlapaninę i takie ciemności, że najgorliwszy żandarm moskiewski nie ośmieliłby się wychylić głowy z domu, chyba, że na pewną »gratkę«.

Wtorek, 12 sierpnia. — Pod osłoną deszczu i ciemności, drogą, która wcale nie była najkrótsza, przybyliśmy rano do wsi *D e r e w i c z n y*, leżącej w pobliżu Walinny, ale z drugiej strony Komarówki, posterunku policji, którą też wielkim nakładem drogi wyminęliśmy i z przeciwnego końca do wsi zajechali. Ostatnia to miała być stacja, w dodatku niezbyt pracowita. Oprócz obsługi tercjarstwa i bierzmowania

kilkorga dzieci, nie miałem więcej roboty. Chrztys wszystkie okazały się w porządku, dzięki jednemu z tercjarzy, który ich udziela i staranne notatki metryczne spisuje. On też pierwszy w tamtych stronach począł kojarzyć małżeństwa bez księdza.

We wsi tej przyjąłem na łono Kościoła jednego młodzieńca, 21 lat liczącego, który choć wychowany przez rodziców schizmatyckich, zawsze się schizmą brzydził i do cerkwi chodzić nie chciał; bolał z tego powodu, że go sąsiedzi unicy prawosławnym nazywali i stronili od niego. Teraz w sekrecie przed rodzicami wypowiadał się pierwszy raz w życiu i przyjął komunję św. Zapowiedziałem obecnym, by odtąd nikt go za schizmatyka nie uważał, on zaś przyrzekł dołożyć starań, by i rodzice jego, niegdyś unicy, znowu do wiary ojców się nawrócili. — Wielu jest na Podlasiu takich prawosławnych, którzy przyjąwszy schizmę w rozpacz z powodu niedowierzania w skuteczność oporu, dziśby do katolicyzmu z chęcią powrócili, gdyby im kto rękę podał, a sąsiedzi gdyby ich upadku zapomnieć chcieli. ¹⁾

Środa, 13 sierpnia. — Dnia tego przed wieczorem już byłem wolny od roboty. Wszystkie wioski, gdzie być miałem, już zwiedziłem; pozostała tylko wieś Czeberaki, do której jednak z powodu panujących tam niezgód nie radzono mi jechać. Wracamy więc do K o s t r ó w, od których pracę rozpoczęliśmy, aby tam zostawić do przyszłej, da Bóg, misji, utensylja mszalne

¹⁾ Pisałem te słowa przed ukazem tolerancyjnym r. 1905. Po ogłoszeniu wolności wszyscy tacy »schizmatycy« rzeczywiście zgłosili się jako katolicy.

i złożyć ze siebie sukmany chłopskie, a przywdziać ubrania przyzwoitsze na odwrotną podróż.

Czwartek, 14 sierpnia. — Kostry jednak umiały wyzyskać i tę powtórna księdza wizytę. Dzień cały prawie zeszedł na słuchaniu spowiedzi, gdyż wiele osób chciało w święto Wniebowzięcia przyjąć komunję św. Nadto mieli jeszcze przybyć tercjarze z Czeberak. W nocy zaraz po naszym przyjeździe do Kostr, zjawiły się panny pielęgniarki z milanowskiego szpitala; by oddać przechowywane u siebie nasze palta, a zabrać bieliznę mszalną do prania i reparacji. Koniecznie błagały, aby nazajutrz, w święto Matki Boskiej, odprawić mszę świętą w szpitalu; ledwie że dały się przekonać, iż to rzecz bardzo niebezpieczna.

Tegoż zdania była i właścicielka zakładu, księżna Cz., która uradowana obecnością księdza w swych włościach, a obawiając się przyjąć mnie w pałacu, prosiła, abym widział się z nią w lesie, w umówionem miejscu, dokąd sama jedna, bez woźnicy, przybyła. Opowiadała, ile zachodu i starań u rządu kosztowało ją otwarcie szpitala i utrzymanie własnej obsługi, zamiast narzucanych przez rząd sióstr Czerwonego Krzyża. Dziękowała Bogu, że dotąd żaden unita u niej nie umarł. W razie śmiertelnej choroby jakiego unity położenie byłoby bez wyjścia: albo zawezwać do łoża umierającego schizmatyckiego popa i pogrzeb wyprawić schizmatycki, na co sumienie nie pozwala, albo w razie opuszczenia tego narazić Zakład na zamknięcie lub obsadzenie prawosławnymi zakonnikami. A szkoda wielka przez to by się stała, bo szpital ten wiele ludowi ulgi niesie i dobry wpływ wywiera na

całą okolicę. W istocie lud z miłością i czcią wymawia imię »naszej księżnej-pani«.

Piątek, 15 sierpnia. — Wieczorem jeszcze ochrzciłem kilkanaścioro dzieci, załatwiłem się z przybyłymi tercjarzami z Czeberak, a na drugi dzień rano, w uroczystość Wniebowzięcia odprawiłem pożegnalną mszę świętą i przemówiłem parę słów odpowiednich do święta. O godzinie jedenastej rano odjazd.

Do przystanku kolejowego w Milanowie tylko wiorst trzy, podczas gdy do stacji w Parczewie miałem wiorst osiem. Obrałem więc Milanów, tembardziej, że spodziewałem się uniknąć widoku policji, która jako w dzień świąteczny zgromadzić się musiała przy kościele w Parczewie. Na samym jednak końcu miałem połknąć kilka łokci strachu. Dojeżdżając do kolei spostrzegam stojącego na torze kolejowym strażnika z Milanowa. Był to napewno jeden z tych, którzy w Dawidach żydówkę o księdza pytali. Jednocześnie z moim przyjazdem, zbliżał się do linii kolejowej z przeciwnej strony brat Marjan w towarzystwie dwóch gospodarzy z Kostrów.

Ujrzawszy strażnika, pieszcikli obydwu między kopy żyta; tylko ja i brat Marjan znaleźliśmy się oko w oko ze strażnikiem. Mój woźnica również oddalił się coprędzej. Zaniósłem swój kuferek na tor kolejowy i postawiłem przed samym strażnikiem. Nikogo więcej na przystanku nie było, zegarek opiewał, że pociąg przyjdzie dopiero za pół godziny, sytuacja więc nasza była wcale nie wesoła. Gdyby strażnikowi przyszła chętka zaznajomienia się z nami, wtedy i nasze paszporty zagraniczne nicby nam nie pomogły, owszem

utwierdziłyby podejrzenie, bo z całego miesiąca czasu od ostatniej wizy policyjnej nie umielibyśmy się zadowalniając wylegitymować. »Deus in adiutorium«, westchnąłem i począłem się przechadzać; względem br. Marjana takem się zachowywał, jakbym go wcale nie znał; podobieństwo jednak naszych palt i równoczesność przybycia mogłaby domyślnemu dostarczyć pewnych podejrzeń. Brat Marjan, jako niby mniej śmiały wieśniak, tulił się przy płocie, aby w razie ostateczności wrzucić gdzieś w zboże notatki metryczne, które miał przy sobie.

Zdobyłem się na najwięcej, jak mogłem, bezczelności i nuże maszerować tam i napowrót po torze kolejowym, gestykulując i mruczając, jakbym robił w głowie jakieś obrachunki. Strażak również spacerował, zwracając od czasu do czasu na mnie swe oczy. Począłem nabierać przekonania, że jestem zdradzony; dziwiło mnie tylko, dlaczego strażnik nie przystępuje do rzeczy. Może czeka na pomoc drugiego.

Po kwadransie tak dwuznacznej sytuacji widzę zbliżający się powóz księżnej Cz.: zabłysła mi nadzieja ratunku, w razie uwięzienia przynajmniej będzie ktoś obecny, z osób mi nieobojętnych. Z powozu wyszli oboje księstwo w towarzystwie młodego kuzyna, czy zięcia i usiedli na ławce. Nie oddawałem najmniejszych rewerencji księżnej, aby nie wpłatać w kabałę niewinnych ludzi. Księżna pani oznajmiła swemu małżonkowi po francusku, kim jestem, obaj panowie dobrotliwie ku mnie się uśmiechnęli. Niebawem księżna udając, że sprzykrzyło jej się siedzieć, przespacerowała się około mnie i nieznacznie dała mi poznać, iż współczuje

z mojem położeniem. Byłem na tyle niegrzeczny, że nie podniósł nawet ręki do czapki, by się odklonić.

Gra w nieznanego udała się nam znakomicie. Gdy nadchodzi pociąg, obserwuję zachowanie się strażnika. Ten wydobywa ze swej czapki jakiś zwinięty papier: ej, czy tylko nie upoważnienie do zatrzymania mnie; może wsiąść ze mną do wagonu i tak łatwo dowiezie mnie do miasta powiatowego Radzyna. Księstwo się żegnają ze sobą, znać jedno z nich pozostaje. Pociąg staje, strażnik się zbliża... ale nie do mnie, lecz do wagonu pocztowego, by wrzucić doń wyjęty z czapki pakiet. Odetchnąłem swobodnie, wskoczyłem do wagonu, brat Marjan za mną... odezwał się świst lokomotywy i niebezpieczeństwo minęło. Zamiast strażnika mieliśmy za chwilę przed sobą konduktora grzecznego, który nas przekonywał, że do samego Łukowa bilet nam niepotrzebny. Myśmy mu na przekór, kupili bilety zaraz w Radzynie...

* *

Tak się skończyła misja na Podlasiu. Przy wolnej chwili w wagonie zrobiłem obrachunek swej pracy. W przeciągu czterech tygodni zwiedziłem następujące miejscowości: Kostry, Gęs, Dawidy, Wiski, Woroniec, Walinnę i Derewiczną w powiecie Radzyńskim; Kozły, Terebełę, Cicibor, Kopytnik i Stasiówkę w powiecie Białskim; Hrud i Komarno w powiecie Konstantynowskim; Łyniewo, Horodyszcze, Dubicę i Polubicze w powiecie Włodawskim.

Spowiedzi wysłuchałem 723, w tej liczbie 23 spowiedzi pierwszych, 110 generalnych, reszta zwykłe.

Komunji świętych rozdałem 604. Znaczna różnica między liczbami spowiedzi i komunji tem się tłumaczy, że często spowiadałem już po mszy przed swoim wyjazdem, pozwalając tego rodzaju penitentom przyjąć komunię świętą w kościele. — Chrztu świętego udzieliłem 147 osobom, po większej części sub conditione, i wiele w tej liczbie osób dorosłych. Samych ceremonji na ważnie ochrzczonych z wody dopełniłem 225; bierzmowanie otrzymało 328 osób. Ze schizmy na łono Kościoła przyjęte zostały 3 osoby, jedno małżeństwo prywatnie zawarte pobłogosławiłem, jedno nielegalne rewalidowałem, jedną osobę na śmierć wydysponowałem. Do tercjarstwa św. Franciszka na nowo przyjąłem 115 osób, kilkadziesiąt zaś z poprzednio przyjętych dopuszczonych zostało do profesji zakonnej.

Tercjarstwo, zorganizowane przez O. Pydyńkowskiego, a przeze mnie zwizytowane i dopełnione, liczy obecnie razem 409 osób, w tej liczbie: mężczyzn 189, kobiet 220. Po profesji jest braci 139, sióstr 153, razem 292; nowicjuszków braci 50, sióstr 67, razem 117. Zgromadzeń męskich jest 17, żeńskich 14, razem 31; w tej liczbie nowo założonych: męskich 4 i żeńskich 2, razem 6.

Ad maiorem Dei gloriam.

Nowy Sącz, dnia 8 grudnia 1902 r.

WYCIECZKA MISYJNA W R. 1903.

Piątek, 17 lipca. — Przebrany na kuso i ogolony, raniutko, gdy jeszcze wszyscy spali, opuściłem gościnne progi hr. Łubieńskich w Jastrzębce. Wyjeżdżam ze wsi, w której w nowym kościółku przez dwa blisko tygodnie pełniłem quasi-parafialne obowiązki. Lud, idący w pole do roboty, widocznie nie poznaje mnie w nowem przebraniu, gdyż nikt mi się nie kłania, chociaż wczoraj jeszcze honory mi robiono. Tem lepiej. — Po drodze do Tarnowa zgubiłem pudełko z księżym kapeluszem. — Każę woźnicy, aby tytułował mnie panem, lecz mu ten tytuł jakoś przez gardło przeleźć nie chce.

Pomiędzy Tarnowem a Krakowem począłem w pociągu bawić się w agenta handlowego; przegłądałem z udanem zajęciem cenniki, bazgrałem coś na nich i w notesie, kręciłem głową i sadzałem ołówkę za uszy. Dziwiło mnie, że ubranie w życiu człowieka gra tak wielką rolę. Konduktor z lekceważeniem odpędził mnie od bliższego wagonu, wskazując dalszy.

W Krakowie najpierwszą rzeczą było odesłać rzeczy zakonne do kolegum. Uskutecznił to br. Marjan (ze zgrom. Braci Albertynów), z którym się tu-

taj spotkałem, ja zaś zająłem się nabyciem biletów i wymianą pieniędzy, przy której żyd mnie trochę naciągnął, jak się później doliczyłem.

Na peronie spotkałem Ks. Bornika z diecezji płockiej, swego kolegę z seminarjum, który mnie jednak wcale nie poznał; ja też nie widziałem potrzeby dawać mu się poznać. Ruszyliśmy. Siedzący w jednym z nami przedziale jegomość, skoro poznał, że nie ma potrzeby bać się swych najbliższych sąsiadów, począł okładać się rozmaitemi książkami niecenzuralnemi, pragnąc przewieźć je przez granicę.

Na st. Granica odbyła się zwykła rewizja celna i odebranie paszportów, poczem wpuszczono pasażerów do bufetu. Podczas rewizji celnej stałem tuż przy Ks. Borniku, którego rewidowano z bezczelnością, bo grzebano nawet po kieszeniach i do notesu zaglądano. Mnie i br. Marjana wzięto za porządnych ludzi, bo bardzo łagodnie rewidowali. A w kieszeniach mieliśmy oleje święte i rytualik misyjny.

Droga do Warszawy odbyła się wśród zwykłych w takich razach nudów, z tym tylko dodatkiem, że wskutek zepsutego przez powódź mostu około stacji Płyćwia, przybyliśmy do Warszawy o pięć kwadransów później, aniżeli rozkład jazdy zapowiadał. Stanęliśmy w europejskim hotelu na III piętrze; br. Marjanowi niespodziankę i zdziwienie sprawiła winda, którąśmy jechali do góry. Paszporty zaraz zabrano od nas i numer wyznaczono. Jeżeli sądzić z naszej powierzchności, musiała się dziwić służba hotelowa, że tacy niepokazni goście, coś w rodzaju szewskich czeladników, zatrzymują się w pierwszorzędnym ho-

telu.¹ Ja go wybrałem z powodu wygodnej sytuacji w pośród miasta.

Sobota, 18 lipca. — Po wysłuchaniu mszy św. i spożyciu w kawiarni śniadania, puściłem się na miasto za różnemi interesami. Chciałem nabyć lekki i wygodny kielich, lecz nie znalazłem takiego, jakiemu poszukiwałem. Obiad miałem u Ks. prałata Z. Łubieńskiego na Woli; odwiedziłem swego niegdyś zwierchnika, p. Szychowskiego, urzędnika magistratu; wieczorem odwiedziłem Ks. Skimborowicza, redaktora »Kroniki Rodzinnej«; od niego wziąłem potrzebnych do rozdawania ludowi książeczek, przedewszystkiem instrukcji: »Jak chrzczyć w potrzebie«. — Br. Marjana wyprawilem wieczorem koleją do Białej, aby przygotować pracę na pierwszej stacji, sam zaś zatrzymałem się na niedzielę w Warszawie, aby odprawić mszę świętą na wolskiej plebanji.

Niedziela, 19 lipca. — O naznaczonej przez ks. prałata godzinie, mianowicie o pół do dziesiątej byłem na Woli wraz ze swym »kitlem«, który mi w razie potrzeby sutannę zastępował. Stary typowy sługa wpuścił mnie do pokoju, służącego za gabinet prałata.

¹⁾ Ponieważ kantor hotelu wyciska swą pieczęć na paszporcie gościa, stąd br. Marjanowi trafił się później zabawny incydens. Oto w jesieni tegoż roku, kiedy przygotowywał w lubelskiem pracę dla O. Kraupy, zaprowadzono do chaty, w której spał, policjanta, by go aresztował. Policjant zażądał paszportu. Zobaczywszy pieczęć Europejskiego Hotelu, zadziwił się niezmiernie. Ot, jaki włóczęga! Tutaj włóczy się po wsiach bez zajęcia, bałamuci ludzi i obdziera ich i udaje prostaka, a w Warszawie staje w Europejskim i może zjada obiad za 100 rubli (!). Wot, kakoj brodiaga!... Nje aresztował jednak,

Tam już zastałem ampulki i świece przygotowane do mszy. Prałat miał poranne kazanie, więc spóźnił się nieco. O dziesiątej wprost z ambony wpadł spocony i zdyszany do gabinetu, aby mi do mszy służyć. Rozłożyliśmy podróżny ołtarzyk ks. prałata i zaczęła się msza przy zamkniętych na klucz drzwiach i zasłoniętych oknach. Służył do mszy sam ks. prałat, ustawicznie ocierając pot z czoła i twarzy. Kiedym po mszy robił dziękczynienie, ks. prałat zwinął ołtarzyk, aby żadnego śladu nie zostało. Zaprosił mnie i na obiad, więc w oczekiwaniu nań poszedłem do kościoła na sumę. Na 80 tysięcy parafjan Wola posiada kościółek, mogący pomieścić zaledwie 1500 ludzi. Nowy jednak obszerny kościół św. Stanisława jest już na ukończeniu. Tymczasem stałem w ciasnocie w zakrystji nabytej ludem; parę razy dostałem szturchańca od zakrystjana, który, chcąc wyjść do ołtarza, musiał w ten sposób torować sobie drogę. Odmówiłem cały różaniec zamiast brewjarza.

Po obiedzie, spożytym w towarzystwie miejscowych księży (jest wikarych na Woli czterech), którzy jednak nie byli wtajemniczeni, co się tyczy mej osoby, wsiadłem na tramwaj, by odjechać do hotelu, a stamtąd na kolej. Po drodze miałem kupić u Lesisza mszalnego wina. Tymczasem spostrzegłem, że sklepy z powodu niedzieli były zamknięte. Ledwie z pomocą służby hotelowej dopytałem się, gdzieby pomimo niedzieli można było dostać czystego wina, co też skuteczniałem w jednym z podrzędniejszych handlow na Krak. Przedmieściu. Subjekt zaręczał, że wino na-

turalne węgierskie po rublu butelka. Wziąłem dwie butelki.

Na kolei terespolskiej, przechrzczonej niedawnemi czasy na warszawsko-brzeską, przyszła mi chętka zabawić się w moskala. Krzyczę więc na tragarza: *No-silszczyk! bieri wieszczy i paskareje poiszczy mnie udóbnyj wagón!* Ten widząc, że ma przed sobą *radnawo ziemiaka*, kupił mi bilet i zaprowadził do wagonu, gdzie, jak się zdawało, towarzystwo było czysto ruskie. Mianowicie siedziało w przedziale już pięciu moskali, niewybrednie odzianych, którzy zapewne przyjechali byli do Warszawy szukać chleba i *lubownic* ładnych, a teraz, zdaje się, odjeżdżali rozczarowani niepowodzeniem w syrenim grodzie. Z Lejkina wiadomo, ile to czasu trzeba czekać na rosyjskich kolejach na ruszenie pociągu, ile to ma być dzkonków, ile razy krewni i przyjaciele zdążą wejść do wagonu na pożegnanie się z odjeżdżającym kuzynkiem, ile razy ten ostatni może jeszcze wskoczyć do bufetu na »strze-miennego«. Więc i moje kacapskie towarzystwo żegnało się, całowało, płakało, to znowu siadało i zaczynało spokojniejsze pogadanki, w których nawet religja i filozofja nie były pominięte. Jeden z nich chwalił się, że czytał ewangelje Tołstoja i że podobają się mu jego zapatrywania. Wkrótce przekonałem się, że z całego wesołego towarzystwa tylko jeden miał jechać: wszyscy inni odprowadzali go tylko do wagonu. Wyszło kilka osób, polaków i polek, i towarzystwo stało się bardziej swojskiem.

Pojechaliśmy. Nastaly zwykłe kolejowe nudy. Oknem niema na co patrzeć: smętna jednostajna po-

dlaska i mazowiecka równia. Za laskiem piasek, a za piaskiem znowu lassek itd. Czytać nie ma co. Rozmawiać wiele nie można, by nie być zmuszonym do wykręcania się sianem wobec chcących zawrzeć bliższe znajomości. Mijamy znajome miasta: Nowomińsk, Siedlce, Łuków. Ja mam jechać do Białej; wieczór się już zbliża.

Poza Międzyrzeczem trzeba było przejść małą metamorfozę. Pakuję swój popielaty kapelusz do walizy, a na głowę biorę »furażkę«, tj. czapkę miejscowego kroju, aby po wyjściu z wagonu nie tak rzucać się w oczy.

Po zachodzie słońca byliśmy w Białej. Na peronie, według umowy, miał czekać na mnie br. Marjan, lub ktoś ze znajomych. Tymczasem oczy wypatruję, a nikogo nie widzę. Dźwigam więc sam pakunki, roztrącam ludzi i nie wiem co ze sobą zrobić. Żydzi nastroczają mi swoje bryczki; ja zaś muszę się przed nimi tłumaczyć, że mam swoje konie, a tymczasem tych »swoich« nigdzie nie widzę. Najprzykrzejszą rzeczą są te oczekiwania na stacjach pod okiem policji, która w takich razach lubi zawierać znajomość z zambarasowanym podróżnym. Wybiegłem na plac, szukam przez kilka minut, a nikt mnie nie zaczepia. Wreszcie zbliża się młody mężczyzna i pochwaliwszy Pana Jezusa, powiada: »to ja jestem«. — »A to dobrze, bierzcie ze sali pakunki i w drogę... ja pójdę naprzód ulicą«.

Był to dobry znajomy z roku zeszłego, Antoni Ceniuk z Cicibora, jeden z ośmiu sołtysów, których sprawa nabrała rozgłosu w ostatnim roku. Wybrani

na sołtysów, nie chcieli oni składać przysięgi wobec popa. Ukarani przez sąd na grzywnę za nieposłuszeństwo władzy, apelowali do Petersburga i tam sprawę wygrali. Dzisiaj ten przedstawiciel swojej wsi wyjechał sam po misjonarza na stację, nie licząc się nawet z tą okolicznością, że jest urzędnikiem państwowym, a jako taki dobrze znanym policji. W drodze na stację koło spadło mu u woza i dlatego spóźnił się nieco, nabawiając mnie chwilowego niepokoju. Po drodze do miasta opowiedział mi całą historję zeszłorocznego zajścia z sądem, naczelnikiem etc. Między »opornymi« on rej wodzi, wybrali go więc na swego sołtysa. Dopiął swego, bo przysięgę złożył wraz ze swoimi towarzyszami bez popa, w obecności tylko naczelnika powiatu. Jest to zdaje się pierwszy wypadek ze strony sołtysów unitów. Ceniuk to zuch nie lada. Razu pewnego pobił w swym domu czterech strażników, przybyłych doń na rewizję, a zachowujących się nielegalnie. Podczas kiedy wyrzucał ich na ulicę, żona zdążyła wynieść niebezpieczne książki. Oznajmił mi, że Ks. Olędzki, wikarjusz w Białej, już wie o moim przyjeździe i zaprasza do siebie na chwilę czasu. U niego przez pewien czas przechowywały się paramenta naszej misji; postarał się o wypranie mszalnej bielizny i dzisiaj zabrano wszystko już do Cicibora. Wstąpiłem do księdza z ochotą, aby mu podziękować za pomoc wszelką, pogawędzić o miejscowych sprawach i stosunkach.

Około dziesiątej godziny wieczorem pożegnałem gościnnego konfratra i puściłem się dalej, gawędząc znowu z Antonim, zdającym mi szczegółową relację

ze stanu wiary i moralności w ciciborskiej ruskiej parafji. Na cztery wioski, należące do tej parafji, tylko pięciu gospodarzy bywa w cerkwi; wszyscy zaś inni są »upornymi«. Antoni w ciągu tego roku nawrócił jednego schizmatyka i ma przyprowadzić go dzisiaj do spowiedzi. O jedenastej byłem w Ciciborze, gdzie już kilkanaście osób oczekiwało na moje przybycie. Zasiadłem też niebawem do słuchania spowiedzi, podczas gdy sołtys wraz ze swym pomocnikiem i inni rozbiegli się po wsi, aby więcej ludzi zgromadzić.

Poniedziałek, 20 lipca. — Noc zeszła na słuchaniu spowiedzi. Nad ranem odprawiłem mszę świętą, dałem komunię i powiedziałem krótką naukę. Tak zakończywszy nabożeństwo, udałem się do stodoły na krótki spoczynek. Niebawem na klepisku stodoły, w której odpoczywałem, urządzono stolik przykryty obrusem, postawiono na nim krzyż. Tam również przyniesiono mi śniadanie, gdyż w Ciciborze nie można wśród dnia pokazać się na ulicy bez niebezpieczeństwa być zauważonym przez kogoś ze schizmatyckiej plebanji.

Do stodoły około południa zeszło się wielu gospodarzy, znających mię już z roku zeszłego. Rozpoczęła się pogadanka na temat miejscowych stosunków. Pewien staruszek przyniósł we worku na plecach wielką książkę pokazać, czy dobra. Przechowuje ją oddawna jako relikwję. Jest to jakaś książka do nabożeństwa mniej więcej z XVII wieku, bez tytułu, początku i końca. Właściciel tej książki sądzi, że lepszej nad nią niema na świecie. Nie pozostawało mi nic innego,

jak utwierdzić go w tem zdaniu. Kazałem mu tylko zniszczyć małą broszurkę, którą znalazłem między jej kartami — o lampie cudownej, czy coś w tym rodzaju, co stało się powodem małego zawstydzenia właściciela, a uciechy wielkiej sąsiadów, wobec których on uchodzi za znawcę drukowanej bibuły. Powiadają o nim, że żadnej książki nie weźmie do ręki, jeśli jest na niej cenzura rosyjska.

Przed wieczorem udzieliłem ceremonji chrzestnych i sakramentu bierzmowania dzieciom, poprzednio ochrzczonym przez braci Ceniuków, a nadto ochrzciłem kilkoro innych dzieci, przyniesionych z sąsiedniej wioski Jagodnicy.

Wieczorem pożyczyłem od Ceniuka sukmany chłopskiej, a w zamian zostawiłem mu do przechowania część swoich rzeczy, niepotrzebnych w podróży po wsiach unickich. Potem pożegnałem obecnych i odjechałem wraz z br. Marjanem do poblizkiej wioski Terebeli. Pogoda psuć się zaczynała, deszczyk pokropywał. W Terebeli stanęliśmy na końcu wsi w umówionem miejscu, lecz niebawem mędrsi z wioski po przybyciu do mnie oświadczyli, że jest to miejsce niefortunnie wybrane ze względu na to, że rano tędy wszyscy idą w pole do pracy, więc i prawosławny (jedyny) sąsiad, przechodząc tędy, mógłby coś zobaczyć i domyśleć się. Przenieśliśmy się więc gdzieindziej, mianowicie do tegoż samego domu, w którym pracowałem roku przeszłego. Czułem się jednak zmęczonym, więc odłożywszy pracę na jutro, udałem się na siano na spoczynek.

Wtorek, 21 lipca. — Praca dnia tego odbyła się

w zwykłym porządku: najprzód słuchanie spowiedzi, potem msza święta z nauką, wreszcie chrzty dzieci, których było niewiele z powodu, że w roku zeszłym pewna ich liczba została ochrzczone. Na nabożeństwie byli dwaj gospodarze z dalszych stron, mianowicie z powiatu konstantynowskiego, których br. Marjan umyślnie na ten dzień sprowadził, aby się misjonarzowi przypatrzyli i po przekonaniu się o »autentyczności« księdza zabrali do siebie, gdzie jeszcze podobno noga »zagranicznego« misjonarza nigdy nie powstała. Tak się stało. Uważali pilnie podczas mszy św., na nauce znać jeszcze było rozczulenie, a po skończonem nabożeństwie zaprosili, aby stąd udać się do nich. Zanim odjechałem z Terebeli, miałem wielką pociechę. Doniesiono mi o dziewczynie 16-letniej, od kilku miesięcy obłożnie chorej i proszono, abym ją wyspowiadał. Bojaźliwi odradzali mi chodzić po wsi wśród białego dnia, tegoż zdania był i br. Marjan. Mimo to dałem jednej kobiecie do fartucha komżę i stułę i kazałem się prowadzić do chorej. Było to już po mszy, a SS-um nie zostawiłem, nie wiedząc wpierw o chorej, więc miałem tylko spowiedzi wysłuchać i udzielić w razie potrzeby Olejem św. Namaszczenia. Chora przyjęła mnie z radością nie do opisania i wyspowiadała się pobożnie. Od kilku miesięcy porobiły się jej rany na jednej nodze, tak że wcale ruszyć się nie mogła, leży na jednym boku, a od leżenia potworzyły się nowe rany. Podobna do Łazarza, a mimo to nie skarży się na swój los, lecz owszem dziękuje Bogu ustawicznie za to zmartwienie. Rodzice zapewniają, że nie słyszeli z jej ust żadnej skargi ani narzekania.

Tak świętą duszę trudno spotkać między ludem. Udzieliłem jej Olejem św.. Namaszczenia, lecz wielce przykrą rzeczą było dla biedaczki, że nie mogła przyjąć Komunii św., ale i tę przykrość ofiarowała P. Jezusowi. Z rozrzewnieniem odszedłem z jej chaty.

Po obiedzie odjazd. Wyszliśmy ogrodami poza wieś i tam wsiedliśmy na furmankę przybyłych z Konstantynowskiego gospodarzy. Jazdy było 4 mile, jeśli nie więcej; droga prowadziła na Leśną, Bukowice, Kornicę, Szpaki do Ostromęcina. Br. Marjan, szczególnie nieprzyjaciel przejazdów wśród białego dnia, ustawicznie zadawał sobie pytanie, jak my wjedziemy tak uroczyście do wsi... Ja mu odpowiadałem, że wjedziemy, jak jedziemy, wcale możliwemi trudnościami głowy zaprzętać sobie nie miałem ochoty. Rad byłem, że przy świetle słonecznem mogłem poznać kawał nieznajomej mi okolicy. Naprzód więc Leśna z klasztorem niegdyś OO. Paulinów, a teraz schizmatyckich mniszek, w którym znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej. Do dwóch wież kościelnych dodali popi pięć swoich bań i teraz kościół wygląda ni po katolicku, ni po schizmatycku. Leśna miała się stać rozsądnikiem rusyfikacji i prawosławia. Na szczęście Unici zupełnie się od niej odstręczyli i na żadne odpusty nie chodzą. Tylko z za Buga, niestety, nadciągają niekiedy garstki nawet katolików... Co to znaczy przyzwyczajenie!... W samej Leśnej rząd postarał się o wykupienie od katolików ich gruntów i domostw, na których poosadzał schizmatyków, rozszerzył klasztor, tak że w nim jest około 200 mniszek. Spotkaliśmy kilkanaście ich przy żniwie żyta i są to zwykłe tłuste

moskiewki, na których niema śladu jakiejś ascezy lub czegoś podobnego... Dalej napotkaliśmy kilku popów. Mijając klasztor, mogliśmy westchnąć tylko do N. Marii P., znajdującej się pod strażą nieprzyjaciół Kościoła. Niedaleko jest wieś Bordziłówka, gdzie był również katolicki kościół, teraz podobnie jak w Łęśnej skasowany. Osiedli tam mnisi schizmatycy. Do klasztorów tych należą obecnie majątki ziemskie.¹⁾

Poza Łęsną przejeżdżaliśmy przez wieś Bukowice. Wszyscy mieszkańcy tej wsi pogodzili się ze schizmą; cerkiewka dość schludnie wygląda. Następne duże wsie Kornica i Szpaki odznaczały się wytrwałością we wierze i dlatego bardzo dużo ucierpiały, dziś już podobno nagnieździło się mnóstwo schizmatyków, którzy też utrudniają wstęp misjonarzowi, zwłaszcza w Kornicy (długa na 4 klm). W środku wsi cerkiew, dwie szkoły, monopolowy sklep, mieszkanie popa, starosty etc., porozrzucane między Unitami, utrudniają misję. Trzeba jednak będzie kiedyś koniecznie do tej wsi zawitać. W Szpakach będzie łatwiej. Stąd na północ są wsi z ludnością oporną unicką, odstępców coraz mniej, im dalej ku północy.

Do Ostrómcina (wsi o 50 domach), wjechaliśmy jeszcze przed wieczorem, w istocie bardzo uroczyście, bo bez żadnego skradania się po opłotkach. Lud tutejszy takiej wizyty się nie spodziewał, bo nigdy misjonarza z zagranicy nie widział. Od czasu do czasu

¹⁾ Łeśna po wojnie wróciła do swoich dawnych właścicieli, OO. Paulinów; mniszki schizmatyckie, uchodząc z niej wraz z wojskami carskimi, zabrały ze sobą cudowny obraz M. Bożej.

gospodarz, który mnie przywiózł do swojego domu (Kordaczuk), sprowadza do wsi jednego z krajowych księży, który chrzci dzieci, ale o innych posługach, jak spowiedzi, staraniu się o metryki, niema mowy. Drugi gospodarz, który jechał z nami, Benedykt z Mieszków, zaraz pobiegł do domu, aby na jutro u siebie pracę przygotować. Bardzo to mądry i reżolutny człowiek. Czyta mnóstwo gazet i książek, zna doskonale Sienkiewicza, szczególnie rozmiłowany w Wołodyjowskim i powiada, że gdyby miał 20 Wołodyjowskich, toby dzisiaj rzucił się na Moskali. Wogóle lud w tej stronie Podlasia i dalej na północ w Sokołowskim powiecie jest więcej spolszczony, tak że nawet w domowym użyciu coraz bardziej prze-waża język polski. Patrjotyczne pisma i odezwy znajdu-ją tu łatwy wstęp, ale i niebezpieczeństwa socja-lizmu i powodzenia partyj przewrotnych trzeba się tu więcej obawiać. Co się tyczy wiary, to odstępców bardzo mało, lecz u trwających przy wierze, mało wi-dać otwartej szczerości i gotowości do ofiar. Prze-waża pewien rodzaj dyplomacji z popami, zmuszają-cej do uznawania ich w niektórych okolicznościach, mianowicie przy pogrzebach. Spisują tedy u popa akt, a niektórzy nawet pozwalają mu kropić trupa lub eksportować. Poza tem nie chcą go znać. Wie-czorem miałem rozpocząć pracę, mianowicie słuchania spowiedzi. Chrtów było mało, to więc naprzód usku-teczniłem. Gdy się wieść po wsi rozeszła o przyjeź-dzie księdza, zebrało się kilkanaście osób, lecz do spo-wiedzi jakoś nikt nie miał chęci przystąpić. Wido-cznie podejrzrywano mnie. Jedna kobieta, skoro innie

zobaczyła, że mam wąsy, w tej chwili się cofnęła i żegnając się, odleciała do domu jak oparzona. Dopiero na zapewnienia i klątwy gospodarza, zaczęli powoli nabierać do mnie zaufania i zbliżać się do spowiedzi, wróciła i owa kobieta, którą moje wąsy przestraszyły. Kazałem pościągąć z łóżek i przywołać do spowiedzi tych zaniedbanych, którzy długi czas albo i od początku kasaty Unji jeszcze się nie spowiadali. Znalazło się takich kilku. Dwóch takich uchodziło nawet za odstępców od wiary, bo w samym najgorszym czasie prześladowań jeden był wójtem, drugi sołtysem i często rękę do złego przykładali, choć robili to z musu. Owego ex-wójta przyprowadziła do spowiedzi jego żona przeze mnie do tego zachęcona, gdyż on sam był w rozpacz i nie spodziewał się, aby jaki ksiądz chciał go wyspowiadać i z Kościołem pojednać. Zachęciłem go do spowiedzi generalnej, którą odbył ku wielkiemu zbudowaniu całej wsi. Najgorsze nieszczęście tego człowieka, że ma syna pisarzem gminnym, a wskutek tego schizmatykiem. Obiecał wpływać nań, aby i posadę i wiarę fałszywą razem porzucił. Kilka osób wpisało się w tej wsi do III. Zakonu św. Franciszka, wszyscy zaś złożyli po mszy uroczyste przyrzeczenie, że wiary św. nigdy nie odstąpią.

Środa, 22 lipca. — Msza była już rano 22 lipca, potem jeszcze kilka chrztów i kilka spowiedzi tych osób, które przed mszą wyspowiadać się nie zdążyły. Trzeba im było obmyśleć sposób przyjęcia Komunii św. Posłałem tedy Kordaczuka do ks. proboszcza w Górkach (odległych od Ostromęcina 2 wiorsty),

z prośbą, aby na drugi dzień dał Komunię św. wy-
spowiadany przeze mnie kilku osobom, a zarazem
aby dał znać, czy nie mógłbym się sam z nim widzieć.
Chętnie podjął się Kordaczuk tej misji, jako dobrze
Ks. Szulcowi (takie nazwisko proboszcza) znajomy.
Gdy oczekuję pomyślnej odpowiedzi, wraca mój go-
spodarz ze smutną miną. Co się stało? — pytam.
»Skrzyczał mnie ksiądz strasznie i nawymyślał, że go
narażam na niebezpieczeństwa, komunji św. stanow-
czo odmówił, widzieć się z Ojcem chce wieczorem,
ale nie na plebanji, lecz w polu około cmentarza grze-
balnego, dokąd wyjdzie na przechadzkę«. Reszta czasu
zeszła mi na rozmowach z Kordaczukiem i z nieja-
kim Teodorem Kornilukiem z Chłopkowa, który jako
agitator katolicki dostąpił zaszczytu być przedsta-
wionym cesarzowi w sprawozdaniu Pobiedonoscewa za
r. 1896-7 i opisanym następnie w gazetach. Kary-
godna jego działalność polega na tem, że organizuje
kółka żywego różańca, nie przyjmując jednak lub wy-
dalając tych rodziców, którzy posyłają dzieci do szkół
cerkiewnych. Czytałem o nim już kilka lat temu, dziś
go poznałem i przekonałem się z rozmowy, że to czło-
wiek wielkich zalet i bardzo przydatnym być może
dla sprawy katolickiej. Ale i ten wdaje się w politykę
z popem, biorąc nawet od niego książki do czytania.

Wieczorem Kordaczuk poprowadził mnie przez
pola na wskazane przez Ks. Szulca miejsce spotka-
nia. W tejże chwili ksiądz w towarzystwie swego
brata gimnazjasty dochodził ze strony przeciwnej.
Gdyśmy się spotkali, Kordaczuk na rozkaz proboszcza
odszedł z jego bratem w stronę, myśmy pozostali

sami. Nastąpiły zwykłe przedstawienia. Tłómaczył mi się następnie ksiądz, dlaczego ostro przyjął mego posłańca, »mianowicie — powiada — chcę uchodzić za nieprzystępnego dla Unitów, (być może, iż ta nieprzystępność zjednała Ks. Szulcowi rządową odznakę krzyża na piersi), aby popi wiedząc o tem i mając tego dowody, nie mogli mnie oskarżać, że daję im jakąś pomoc«. Pop z Chłopkova, dodał Ks. Szulc, jest moim najzawziętym i nieprzejednanym wrogiem. Nazywa się Jaworski, jest synem katolika-łacinika i matki unitki. Poszedł do szkół i stracił wiarę. Dziś zaprzysiągł, że nie spocznie, aż kościół w Górkach zostanie cerkwią schizmatycką i ustawicznie kopie pode mną dołki. Stąd muszę się wystrzegać wszelkiego śladu podejrzenia, abym kościoła nie stracił i nie oddał go we wraże ręce. Tłómaczył się, że z powodu obecności kilkorga krewnych na plebanji, bał się mnie do siebie zapraszać, lecz z zapoznania się ze mną bardzo się cieszy. Ja znowu zręcznie starałem się dać mu poznać, że misja moja nie ma na celu zarobku, lecz ratowanie dusz i że księża niechętni naszej pracy nie mają podstawy do swoich obaw... Cała rozmowa z początku bardzo sucha i konwencjonalna, przeszła powoli w serdeczniejszą pogawędkę. Zapytał nawet, czybym nie chciał, aby mnie do dworu hr. Platerowej, Ruszlew na noc zaprotegował, na co mu odpowiedziałem, że noc spędzę na pracy. Na ponowioną prośbę o danie Komunii kilku osobom, otrzymałem i teraz odmowną odpowiedź. Nie zostało nic innego, jak sprowadzić do Meszek do komunji przynajmniej jednego staruszka, który nie przystępował do Stołu Pańskiego

już lat kilkanaście. Poznałem więc, że Ks. Szulc nie jest wielkim przyjacielem Unitów i że w całym jego zachowaniu znać pewną przesadzoną lękliwość, której co chwila dawał dowody, oglądając się na każdy szmer drzew. Chodziliśmy tak pomiędzy wysokimi zbożami o zmierzchu przeszło godzinę, gdy tymczasem Benedykt z Meszek (któremu i ks. Szulc nie szczędził pochwał), tąż drogą pojechał do Ostromećcina po moje rzeczy i br. Marjana. Wracając z nim zabrał mnie po drodze i w nocy najgorszymi w świecie drogami dowiózł nas do swojej wioski, liczącej tylko kilkanaście domów. Tam już oczekiwali zebrani Unici. Chociaż wieś mała, było jednak co robić przez całą noc, kto żyw, cisnął się do spowiedzi, które w rzeczywistości były nagle potrzebne, gdyż po kilkanaście lat niektórzy wcale do sakramentów św. nie przystępowali. Z pierwszą spowiedzią zgłosiło się kilkoro młodzieży, sam gospodarz egzaminował ich z katechizmu, a na sądzie jego musiałem poprzestać, nie mając czasu pytać osobiście. Od godz. 10 do 2 w nocy trzeba było wysłuchać około 50 osób, ochrzcić 20 dzieci, zapisać i przyjąć kilkoro do tercjarstwa. Następnie odbyła się o drugiej msza, zakończona nauką i przysięgą obecnych, że wiary ojców nigdy nie odstąpią. Najtrudniej było przekonać ich, że pozwalanie popu (owemu Jaworskiemu) kropić umarłych równa się zdradzie wiary św. Po prostu są steroryzowani przez tego człowieka, a niektórzy to otwarcie mówili, że gdyby go kto ze świata zgładził, tenby im wielkie dobrodziejstwo wyświadczył. On zaś zadawała się temi pogrzebami i robieniem metryk o umarłych, gdyż to

mu wystarcza na podstawę do pisanja do konsystorza, że w jego parafji wszyscy są pokorni i posłuszni prawosławnej cerkwi.

Czwartek, 23 lipca. — Z Meszek zaraz po mszy mieliśmy zamiar jechać do niedalekich Litewnik, gdy tymczasem zjawili się dwaj młodzi ludzie z sąsiedniej wsi *F a l a t y c z e* z prośbą, abym ich nie pomijał. Pieszko udałem się do ich wsi. Słońce wschodziło. Ja już 24 godzin jak nie spałem, więc zaraz w stodole zakopałem się w siano. Około południa przebudziłem się. Podczas śniadania zacząłem rozpytywać o miejscowe stosunki. Jest to wieś, która w całości przeszła była na schizmę i przez lat 20 zgórą załatwiała wszystkie swe religijne obrzędy w cerkwi. Dopiero ostatni jubileusz nastroczył im okazję porzucenia odszczerpienia i zwrócenia się do Kościoła. Zaprzestali chodzić do cerkwi, a poczęli bywać w kościele, wielu z nich w Częstochowie i innych dalszych miejscach przystąpiło do spowiedzi i otrzymało rozgrzeszenie, inni czekali na okazję pogodzenia się z Panem Bogiem i Kościołem. Miałem więc bardzo pocieszającą pracę. Spowiedzi kilkadziesiąt, przeważnie generalnych. Chrztałów nie zbyt wiele, bo starsza dziatwa była ochrzczona po schizmatycku. Niektórzy prosili mnie, abym ich na nowo po katolicku ochrzczył i tak zmył chrzest schizmatycki; ledwie im wytłómaczyłem, że chrzest cerkiewny jest ważny i powtarzać go nie godzi się. Tutaj miałem trudności z wymuszeniem obietnicy, że dzieci do szkoły nie będą posyłali; pod tym względem bowiem było wielkie zaniedbanie. Zesłał na mnie Pan Bóg i chwilę strachu. Oto około wieczora, gdy słu-

cham spowiedzi, robi się szmer, potem szturm do drzwi z wewnątrz zamkniętych. Wpada innemi drzwiami gospodarz domu czy syn jego i mówi, że chwili czasu do stracenia niema. Przerywam spowiedź, zrzucam komżę i swoją quasi-sutanę, narzucają na mnie stary kożuch i dziurawą czapkę i wskazują na otwarte okno. W mgnieniu oka byłem w ogrodzie, a potem w stodole. Lud zgromadzony potracił głowy, ale zachował tyle przytomności, że z domu nie wychodził. Po chwili strach przeszedł, okazało się, że do wsi przybył dworski ekonom, którego z daleka ktoś wziął za policjanta i rwetesu takiego narobił. Gdy mi o tem doniesiono, powróciłem do chaty i zacząłem w dalszym ciągu słuchać spowiedzi tejże kobiety. Prawie bez przerwy pracowałem od południa aż do godziny 3 w nocy. Zakończyłem mszą św., podczas której przystąpiło 60 osób do Stołu Pańskiego. Odjeżdżałem stąd z wielką radością i przekonaniem, że te pierwiastki pracy misjonarskiej na tej świeżej ziemi przy błogosławieństwie Bożem piękne z czasem mogą wydać owoce.

Piątek, 24 lipca. — Wyjeżdżaliśmy już rano do Litewnik, odległych 8 wiorst. W połowie drogi w lesie miał ktoś na nas oczekiwać, tymczasem lasek przejechaliśmy, nikogo nie widząc. Tylko parę lisów przebiegło nam przez drogę. Nasz woźnica nawet drogi nie znał, dlatego pojechał z nami fałszywie, przez co nadłożyliśmy kawał drogi i przybłąkali się do innej wsi, o temże nazwisku, ale zamieszkałej w połowie przez schizmatyków. Na szczęście spotkaliśmy wieśniaka, znajomego brata Marjana i ten porzuciwszy

kosę, z którą szedł w pole, przysiadł się do nas i prowadził jeszcze kilka wiorst do wsi umówionej. Okazało się, że, z powodu niedokładnego porozumienia się z br. Marjanem, mieli tam na nas oczekiwać dopiero nazajutrz. — Zaraz po przyjeździe udaliśmy się spać do jakiejś opuszczonej i nawpół rozwalonej stodoły. Zauważyłem, że lud tej wioski, jakkolwiek bogatej w przestrzeń, będzie jednak klepie z powodu nieurodzajności piaszczystej ziemi. — Po południu rozpoczęła się praca zwykłym trybem. Spowiadałem w ciemnej i ciemnej komórce, gdyż w samej chacie gospodyni piekła chleb i dlatego było gorąco nie do wytrzymania. I tutaj największe, jakie znalazłem, zaniechanie pod względem religijnym, to pewnego rodzaju kompromis z popem, do którego zawożono nieboszczyków do pokropienia. Zresztą lud potulny i dobry.

Wieczorem, podczas kiedym kontynuował swą pracę, br. Marjan udał się do Chłopkowa, aby sprowadzić stamtąd jakiegoś wieśniaka bardzo uczciwego i sympatycznego, który jednak od lat 20-tu nie chciał się spowiadać dla niewiadomej przyczyny i wszystkie do tego namowy sąsiadów i krewnych stale odrzucał. Br. Marjan ślubował coś za jego nawrócenie i rzeczywiście udało się mu sprowadzić go do Litewnik w nocy, gdzie też przystąpił do świętych sakramentów.

Sobota, 25 lipca. — Mszę świętą, jak zwykle, odprawilem już nad ranem, a po niej znowu udałem się na spoczynek, ale już do stodoły innego gospodarza.

Chociaż w tej okolicy pozostało dużo jeszcze miejscowości, potrzebujących misyjnej posługi, uradziliśmy jednak z br. M. odjechać stąd, aby dłuższem krę-

cenieniem się w ciasnem kółku nie zwrócić na siebie uwagi policji lub gorszego od niej popa Jaworskiego z Chłopkowa. Mam nadzieję, że i tak mu się niemało psoty zrobiło. Pierwsza to była wizyta misjonarza w jego parafji, a oderwała mu kilkadziesiąt przynajmniej osób z tych, które poczytywał za swoje. Sta-
nęło więc na tem, że na niedzielę udamy się do Zaczopek, wsi znajdującej się w tymże powiecie, ale na drugim jego końcu. — Dotąd służyła nam pogoda, lecz gdyśmy o godzinie 11 rano wyjeżdżali z Litewnik, rozpoczęła się ślota, która porządnie dała się nam we znaki. Mijaliśmy po drodze większe i mniejsze wsie: Horoszki, Hołowczyce etc., gdzie nigdy misjonarza noga nie postała; przejechaliśmy miasteczko Konstantynów i wśród deszczu przybyliśmy do powiatowego miasta Janowa. Tutaj chciałem się zobaczyć z księdzem dziekanem dla zaopatrzenia podróźnej swej kaplicy w nowe hostje i wino, gdyż wzięte w Warszawie komunikanty już były na wyczerpaniu. Ani ja, ani br. Marjan, ani nasz woźnica nie wiedział, gdzie plebanja; przejechaliśmy około niej i stanęli na uboczu na jakimś placu, aby być opodal od oczu policji. — Br. Marjan miał załatwić niektóre sprawunki, ja zaś puściłem się na poszukiwanie plebanji. Jakiś chłopiec wskazał mi ją i za chwilę ks. dziekan przyjął mię z otwartemi rękami. Jest nim Ks. Stypułkowski, uczeń z Gregorjanum; więc cieszył się, że ma u siebie jezuیتę; wypytywał o stosunki zakonne, pokazywał dyplom doktorski z podpisem Ojca De Maria. Nakarmił mię, zaopatrzył w opłatki i wino mszalne i nagadał się dowoli. I on, jak ksiądz Szulc

w Górkach, pracę nad unitami ogranicza do minimum z obawy, aby kościół nigdy katedralnego nie zamknięto przez zemstę. Do katedry przytyka gmach niegdyś seminaryjski i pałac biskupi, obrócony obecnie na biura zarządu powiatowego. Istotnie trudno postępować sobie śmiało w takim sąsiedztwie.

Gdym pożegnał gościnnego dziekana i przybył na plac, gdzieśmy stanęli, nie zastałem koni. Przebiegłem parę ulic, rynek i wreszcie znalazłem konie przy bóżnicy żydowskiej. Furmanowi naszemu uprzykrzyło się bowiem stać na jednym miejscu pod ulewnym deszczem przez parę godzin, tembardziej, że przechodziło już tamtędy kilku strażników i zachodziła obawa, że mogą zapytać, co zacz i skąd i dokąd jedzie. Powoli znalazł się przy wozie i br. Marjan, który znowu mnie szukał; przybył i sam woźnica i ruszyliśmy w dalszą drogę, której pozostawało jeszcze wiorst 12. Deszcz nie ustawał. Na sam wieczór przemoknięci do ostatniej nitki, stanęliśmy w Z a c z o p k a c h. Zacząłem robić znajomości. Jest to wieś duża, bo około 100 numerów licząca. Położona w pobliżu sławnego Pratulina, gdzie podczas prześladowania 1874 roku padło od kul karabinowych kilkunastu Unitów. Było między nimi kilku z samych Zaczopek. Pomimo krwawej łaźni i licznych kontrybucyj i zsyłek nie znalazł się w tej wsi żaden dotąd odstępca. Chrzcić dzieci umięją dobrze sami, z popem żadnych stanowczo stosunków nie mają. Grupa wiosek około Zaczopek stanowi okolicę bardzo stałą w wierze świętej; dużo w tej mierze po Bogu zawdzięczając bogatemu Pikule

z Derła i niejakiemu Teodorowi, który jeszcze Ks. Sozańskiemu ułatwiał misje.

Zeszło się kilku ludzi; starsi poczęli mi opowiadać o pratulieńskiej rzezi, przy której byli obecni, lub nawet coś dostali w niej. »My tu nikogo się nie boimy — powiadają — a nas boi się wójt, strażnicy i sam nawet naczelnik, bo się wszyscy trzymamy za ręce. Kiedy wójt z Bohukał nie zgodził się na nasze żądania, aby zapisać nas, podczas spisu, jako katolików, tośmy druki zabrali, spis sami urządzili, a wójta, żeby nam nie przeszkadzał, wsadziliśmy do gminnego aresztu i klucze do siebie zabrali. Siedział trzy dni, dopóki sam naczelnik nie zjechał i nie wypuścił go na wolność. Niektórzy z naszych musieli odsiedzieć za to po kilka tygodni.. zresztą nic więcej nam się nie stało«. Pochwaliłem ich brawurę i obiecałem odprawić im za to na drugi dzień uroczyste nabożeństwo. Tymczasem osuszywszy się i wypróżniwszy z br. Marianem pudełko kupionych w Janowie sardynek, poszliśmy spać na siano.

Niedziela, 26 lipca. — Rano w niedzielę zaprowadzono mię na mszę do nowiuteńskiego domu, który zarazem miałem poświęcić. Zasiadłem do słuchania spowiedzi, a penitentów było nie mało, gdyż w dzień świąteczny każdy miał czas. Wkrótce też dość duży dom zaledwie pomieścił przybyłych. Gdym szedł przez wieś, zaraz tworzyła się za mną procesja ludzi, których tubalnym głosem wołał towarzyszący mi zuch zaczopski, naśladując sołtysa, zapowiadającego niekiedy krzykiem z ulicy zebranie gminne.

— Kobiety! na schód do Bohukał!

Darł się, że aż dziatwa z ciekawości na ulicę wybiegała. Sołtys wiejski był również czynny w zgromadzeniu pobożnych. Żartując radziłem mu, by na przyszły raz, kiedy jeszcze do nich przyjadę, postarali się o dzwon i nim przyjazd księdza ogłosili. — Przez parę godzin słuchałem spowiedzi, poczem rozpocząłem świętą ofiarę. Od natłoku ludu tak się parno zrobiło, że koszula na mnie była mokra. A tutaj trzeba było powiedzieć jeszcze naukę i kilkanaścioro przyjąć do tercjarstwa. Dano mi również znać o chorej, pragnącej przyjąć Wijatyk, więc, po załatwieniu się z tercjarstwem, zawiązałem N. Sakrament w korporał i nakrywszy się sukmaną udałem się przez wieś do chorej. Oczom moim wierzyć nie chciałem, kiedy, dochodząc do mieszkania chorej, ujrzałem sznur niewiast, klęczących przed domem z zapalonemi świecami w oczekiwaniu na Pana Jezusa. Niczego się tutaj nie boją. Podczas gdym chorą spowiadał, w sieni i na ganku śpiewano: U drzwi twoich stoję, Panie!

Około południa załatwiłem się już z chorą i mogłem zasiąść do śniadania, które wypadło razem z obiadem. Tymczasem Zaczopianie nie odstępowali ode mnie: ustawicznie miałem ich kilkunastu przy sobie. Zdradzali serdeczne szczęście, że mogli tak poufale z księdzem pogawędzić, pochwalić się lub poradzić w wielu rzeczach. Zaledwie na chwilę oderwałem się od nich, aby nieco się po polu przespacerować i założyły różaniec odmówić; skorom wrócił do chaty, już ich znowu miałem przy sobie. Pozostawało jeszcze ochrzcić im dzieci, a właściwie dopełnić ceremonji. Działwę zgromadzono w dwóch punktach: było jej

przeszło 130, lecz tak spokojnie zachowywały się, że żadnego prawie nie było płaczu. Dobre dzieci dobrych rodziców tylko wytrzeszczały na mnie swoje oczy i pozwalały namaszczać się św. olejami. Starsze, począwszy od dwuletnich, same rozpinają swoje koszulki i obracały się wedle potrzeby. — Wieczorem miałem pożegnać Zaczopki, które bardzo pokochałem. Najbliższą stacją miała być Kozawka, leżąca od Zaczopek w 12 wiorstach drogi. Tymczasem ani konie z Kozawki nie nadchodziły, ani posłany po nie nie wracał. Natomiast, nie wiedząc jakim sposobem i przez kogo zawiadomiony, przybył jakiś Józef Kaliszek ze S t a r z y n k i (wioski sąsiadującej z Kozawką), który trudni się młynarstwem i przewodnictwem młodych par do ślubu. Zaprasza nas do siebie; my go nie znamy; nieznana jest br. Marjanowi nawet sama wieś Starzynka, więc wahamy się przez czas pewien. Sami Zaczopianie jakoś nie dowierzali przybyszowi; zakrawało na to, jakoby on chciał zrobić na nas jakiś geszeft. Nie mogąc się jednak doczekać koni zamówionych, nie mieliśmy wyboru i powierzyliśmy się niezanemu człowiekowi. Po drodze minęliśmy wieś Łęgi, gdzie na wiosnę tego roku był O. Wolszlegier, i mieliśmy przed sobą wieś cerkiewną Neple, która jest prawie cała schizmatycką. Było to już późno w nocy, a w Neplach na drodze około cerkwi zawsze czuwa nocna warta, której wyminąć nie podobna, a której Kaliszek bardzo się obawiał. Kazał nam zejść z wozu, wóz z chłopakiem odesłał zwykłą drogą, a nas poprowadził pieszo. Przeszliśmy przez most, poczem, zamiast iść dalej gościńcem, spuściliśmy się po nad

samą wodę rzeki płynącej przez Neple, by przekraść się złodziejską drogą. Noc była ciemna do tego stopnia, że idąc razem nie widzieliśmy się wzajemnie, tylko cicha toń rzeki odbijała kilka gwiazd wyglądających z pomiędzy chmur. W niektórych miejscach trzeba było czepiać się rękami zawieszonych nad wodą wierzb, by nie wpaść do rzeki. Podawaliśmy sobie ręce, by się nie zgubić. Nieznajomość miejsca zwiększała wrażenie, wydawało się, jakoby wciągano nas do jakiejś zdradnej pułapki. Ominęliśmy tym sposobem najniebezpieczniejszy punkt i pieszo przybyliśmy do wioski, podczas gdy jednocześnie nadeszła z drugiej strony furmanka z naszymi kościelnymi rzeczami. Ułożyliśmy się spać w stodole, gdy niedługo na podwórku dał się słyszeć skrzyp wozu, jakieś rozmowy i odjazd. Była to furka z Kozawki, którą przybył ktoś po nas do Zaczopek, a nie zastawszy już nas tamże, podążył za nami pod wskazanym adresem. Kaliszuk jednak odprawił go z niczem, obiecując dopiero na przyszlą noc wypuścić nas do Kozawki.

Poniedziałek, 27 lipca. — Kiedyśmy wstali na drugi dzień rano, zastaliśmy już w mieszkaniu wszystko schludnie przygotowane do świętej ofiary. Gospodarz nasz okazał się dosyć zamożnym właścianinem i właścicielem wiatraka, żona jego niezgrabną i mało-mowną rusinką; przedstawiła się również jakaś krewna Kaliszuka, ubrana »po szlachecku«, która służyła we dworze za kucharkę, czy też żyła tam na łaskawym chlebie. Sporządziła nam śniadanie, a potem obiad z kurcząt i owoców. Do spowiedzi zgłosiło się zaledwie kilka osób: widać Kaliszuk nie chciał ogłosić we

wsí o przyjeździe księdza. Mszę świętą odprawiłem żałobną, za spokój duszy Leona XIII papieża, o którego śmierci dowiedziałem się od Ks. Szulca w Górkach. Po mszy oznajmił mi Kaliszuk, że chce urządzić chrzest wszystkich dzieci ze wsi, ale dopiero przed wieczorem; cały dzień zaś skazany byłem na próżnowanie. Nie mając co robić, wziąłem różaniec do ręki i wyszedłszy po za stodoły, położyłem się w snopach żyta i leżąc wygrzewałem się na słońcu.

O godzinie oznaczonej ochrzciłem i wybierzmowałem wszystkie, jakie się w tej wsi znajdowały niechrzczone dzieci, których jednak nie było więcej jak 35, z tego powodu, że wioska maleńka. O zmierzchu najprzód br. Marjan z utensyljami, a następnie ja w towarzystwie Kaliszuka pieszo udaliśmy się do K o z a w k i, gdzie już zastałem kilka osób zgromadzonych. Zaraz też poczęli się gromadzić i inni, zwłaszcza przygotowujący się do założenia kongregacji III Zakonu. Umówiliśmy się, że przez całą noc będę spowiadał, następnie odprawię mszę i urządzę tercjarstwo, a dopiero na drugą noc urządzi się chrzest dzieci. Ktoś jednak niecierpliwy dał znać swoim krewnym z innej wioski o pobycie księdza i stąd wcale niespodziewanie zjawiają się zaraz pierwszej nocy jakieś obce kobiety ze swemi dziećmi. Ich przybycie zwróciło podobno uwagę sąsiada schizmatyka, który obserwował dlaczego się sąsiedzi z wieczora schodzą do jednego domu. Wskutek tego goszczący mnie gospodarz (nazywa się Tomasz, jeśli nie mylę się), stracił głowę ze strachu i nalegać począł, abym coprędzej związał pracę.

Wtorek, 28 lipca. — Odprawiłem tylko mszę św.,

dałem komunię, urządziłem tercjarstwo i ochrzciłem owe kilkoro obcych dzieci; i nad ranem wsadzono mnie na wóz i kazano ze wsi wyjeżdżać. Miejscowe dzieci pozostały nadal nie ochrzczone. W tej wiosce kapłan gościł pierwszy raz; lud widocznie teroryzowany przez sąsiadów schizmatyków, okazywał wielką lękliwość. Należy nadmienić, że lud zdaje się być bardzo gospodarnym. Przynajmniej, ów Tomasz, u którego byliśmy, trzyma dom bardzo czysto: okna i drzwi malowane, posadzka w głównej izbie zaprawiona olejno, chodniki nawet zastaliśmy własnego wyrobu. Trzyma gazety i zna się z jakimiś panami z Warszawy: zdaje się, że go wciągnięto do partji wszechpolskiej.

Tak więc nadspodziewanie prędko znalazłem się we wsi L e h u t a c h, powiatu Bialskiego, odległej o parę wiorst od Terespoła i Brześcia. Stanęliśmy u gospodę u niejakiego Eljasza, który przed paru laty procesował się z popem i publicznie w sądzie dysputował z nim o wierze świętej. Rzecz się tak miała. Pop z Terespoła wydał jakąś antykatolicką popularną książeczkę, w której ubliżył Niepokalanemu Poczęciu N. Panny. Niektórzy chłopi, nawet z pomiędzy schizmatyków, oburzyli się na bluźniercę, a Eljasz wprost nawymyślał mu publicznie, nazywając go łajdakiem i niegodziwcem. Za obrazę honoru »swego pasterza« pociągnięto Eljasza do odpowiedzialności sądowej i sprawę roztrząsano przy zamkniętych drzwiach. Rozprawa sądowa była triumfem Eljasza; sędziowie, czy to z ciekawości, czy może aby dokuczyć popu, nie przeszkadzali Eljaszowi mówić, co mu się podobało. Wygarnął więc tyle argumentów na obronę praw-

dziwej wiary i tak trafnie niemi operował, że pop nie umiał ust otworzyć; jeśli zaś odezwał się, to tylko dostarczał Eljaszowi materiału do nowego dowodu. Całą swoją dysputę Eljasz mi powtórzył; podziwiałem polemiczne zręczności domorosłego teologa. Nawet odmowna odpowiedź popa na prośbę sądu o darowanie Eljaszowi winy, posłużyła temu ostatniemu za dowód, że wiara popa nie jest prawdziwą. Skończyło się moralną porażką popa. Eljasz odsiedział kilka dni w areszcie za obrazę honoru; ale i pop nie długo cieszył się swem misjonarskiem stanowiskiem: z posady terespolskiej, przynoszącej samej pensji 1200 rubli rocznie, został przeniesionym na cmentarną kapelanję w Warszawie z mniejszą o wiele płacą. Całą tę sprawę opowiadał mi Eljasz, gdyśmy jechali do Brześcia. — Po wyspaniu się bowiem w rannych godzinach, około południa udałem się do tego miasta, aby o tamtejszych stosunkach kościelnych zasięgnąć języka. Dziekana nie zastałem, gdyż wyjechał zagranicę. Ks. Wikary przyjął mnie grzecznie, choć chłodno; zaprosił jednak do familijnego obiadu. Po obiedzie pokazał mi kościół parafialny, pożyczył paru puryfikaterzy. Nie umiał objaśnić, czy są jacy Unici w tamtych stronach, gdyż niedawno przybył do Brześcia. Natomiast dowiedziałem się od niego innej ciekawej rzeczy. W Brześciu, jak wogóle w gubernjach kraju zabranego, nie było wolno przez długie lata urządzać procesji po za kościołem. Kiedy w roku bieżącym ogłoszono z ambon tak zwany tolerancyjny manifest Mikołaja II, dziekan postanowił skorzystać z niego i wyprowadzić procesję z murów kościoła na cmentarz, o czem ogłosił ludowi

z ambony na tydzień przed zamierzoną procesją. Na dzień oznaczony zgromadziło się ludu bardzo wiele z dalekich nawet okolic, gdyż procesja naokoło kościoła należała do niesłyszanych oddawna uroczystości. Przygotowania jednak do tej niewinnej i pospolitej gdzieindziej ceremonji kościelnej zatrwożyły policję brzeską. Gubernator grodzieński, któremu o zamiarze dziekana doniesiono, przysłał zakaz wszelkich procesyj na zewnątrz kościoła i polecił odebrać od proboszczów w dekanacie podpisy, że żadnej procesji urządzać nie będą. Dziekan, obawiając się większych zatargów, zaniechał u siebie zamierzonej procesji, od innych jednak proboszczów żądanych deklaracji odebrać nie chciał, zasłaniając się brakiem instrukcji z konsystorza. Rezultat był taki, że księża w kilku parafjach, nie wiedząc o zakazie gubernatora, wyszli z procesjami na cmentarz, ku wielkiemu zadowoleniu ludu. W Brześciu zaś procesji nie było. Spór z gubernatorem przejął na siebie wileński konsystorz i podobno (?) procesję ma obronić, lecz dziekan brzeski padł ofiarą, najpierw bowiem lub brzeski wytłómaczył sobie cofnięcie procesji w pierwszą niedzielę, jako akt buntu dziekana przeciw Najjaśniejszemu Panu, pozwalającemu na procesje. Grozili nawet, że będą pisali do biskupa, aby dziekana zmienił. Wyręczył ich w tem gubernator, który, mszcząc się za wywołanie nowej sprawy, zażądał od biskupa wyrzucenia dziekana za to, że ten nie wchodzi w widoki rządu i w sprawie procesji oparł się wymaganiom władzy cywilnej, odwołując się do władzy duchownej. Właśnie, gdyśmy jedli obiad, ks. wikary odebrał z poczty

list z wiadomością o grożącym dziekanowi niebezpieczeństwie przeniesienia go na lichszą parafję. Oto przykład tolerancji rosyjskiej!

Powróciwszy z Brześcia zasiadłem na całą noc do pracy. Najprzód pochrzcilem dzieci, potem poczałem słuchać spowiedzi. Lud tutaj ciemniejszy i bardziej zepsuty, niż w wielu innych miejscach. Tłumaczy się to zjawisko bliskością fortecy, obsadzonej licznym garnizonem, przy którym wieśniacy znajdując zarobki, materjalizują się, gnuśnieją w rzeczach duchownych i demoralizują się, patrząc na brudne życie moskali. Lekceważenie, a przynajmniej jakaś obojętność względem rzeczy świętych pokazała się po komunji świętej. Chociaż po mszy zamierzałem przemówić do ludu, wielu jednak przyjąwszy Pana Jezusa, w tejże chwili wynosiło się do swoich chat, nie czekając nawet końca mszy świętej. Zganiłem to publicznie wobec pozostałych, wyrażając swój smutek z powodu braku czci ku N. Sakramentowi i kazałem obecnym, aby moje słowa powtórzyli tym, co uciekli przed czasem.

Środa, 29 lipca. — Z Lehut odjeżdżaliśmy przed wschodem słońca. Celem dzisiejszej drogi miał być Dobryń, dokąd nas zapraszał jakiś przewodnik, imieniem Aleksander, przedstawiony nam przez Kaliszuka w Starzynie. Obiecywał nam żniwo pomiędzy nawracającymi się ze schizmy mieszkańcami Horbowa, czy też jakiejs innej wioski. Pojechalismy więc w stronę Dobrynia, odległego od Lehut o dwie mile drogi. Po drodze przejeżdżamy przez wieś Koroszczyń, którego wielkie i schludne domy zdradzają zamożność i smak mieszkańców. Niestety cała ta wieś jest schizmatycką,

z wyjątkiem jednego chłopca, który niedawno się nawrócił. Był on u mnie u spowiedzi w Lehutach i narzekał, że musi wiele nieprzyjemności znosić z powodu swej religji od sąsiadów, znanych i zawziętych nieprzyjaciół wszystkiego, co katolickie i polskie. Zdaje się, że mieszkańcy Koroszczyzna nie są tutejszego pochodzenia, lecz kolonistami, przybyłymi z Rosji w końcu XVIII stulecia, a może po 1831 r.? Na polach tej osady rozegrała się bitwa polskich wojsk z Suworowem w r. 1794 i na pamiątkę zwycięstwa swoich wystawili moskale pomnik. Obejrzałem go dokładnie jadąc do Dobrynia.

Przez wieś Dobryń przejechaliśmy po wschodzie słońca i skierowaliśmy się ku paru chatom stojącym pod lasem; w jednej z nich mieszkał przewodnik Aleksander. Ja z br. Marjanem zostaliśmy na drodze pod lasem z końmi, a woźnica poszedł szukać owego Aleksandra. Po chwili wraca i oznajmia, że Aleksandra w domu niema: w nocy odjechał, nie wiadomo dokąd. Miał wyjść po nas, chłopak mały. Nie spodobało się nam i miejsce i sama osobistość Aleksandra wydała się coś niepewną, więc kazałem jechać dalej, chociaż bez celu. Gdy się zastanawiamy, dokąd się skierować, woźnica nasz przypomniał sobie, że w poblizkiej wsi, Wólce Dobrzyńskiej, posiada znajomego i obiecuje nas zarekomendować. Zeszliśmy z wozu. Woźnica miał nasze rzeczy odwieźć do swego znajomego, a ten miał wyjść przeciwko nam idącym pieszo, aby nas zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Tak się stało.

Wólka Dobrzyńska rozciąga się przy trakcie bitym z Białej do Brześcia, po obu stronach szosy na

długości trzech wiorst. Domy stoją rzadko, każdy na osobnej kolonii: widać, że ludność zamożna. Byliśmy już w połowie wsi, kiedy nas spotkał młody mężczyzna, kazał wrócić i iść za sobą. Zaprowadził nas do niejakiego Kossakowskiego, a właściwie do jego żony, gdyż sam gospodarz domu, cierpiący na epilepsję, prawie niczem w domu nie zarządza. Kossakowska, młoda, bezdzietna kobieta, ubrana schludniej, niż zwykle baby wiejskie, w chusteczce na głowie i z kolczykami a przynajmniej miejskie pochodzenie. W mieszkaniu zastaliśmy porządek: wszystko utrzymane w tonie miejskim; stoliki i komoda ponakrywane szydełkowymi obrusami, na ścianach fotografie osób rodziny; z sufitu zwieszał się papierowy pajak własnej roboty. Kontent byłem, że się dostałem w porządniejsze jakieś miejsce. — Mieszkańcy tej wsi prawie wszyscy bogaci i przy wierze wytrwale stojący; o sprowadzeniu jednak do siebie misjonarza nigdy nie myśleli, chociaż nie wszystkie chrzty dzieci są niewątpliwe. Kiedym z br. Marjanem udał się do stodoły na spoczynek, zaczęły się narady, co zrobić. Sama bowiem Kossakowska nie dowierzała temu, że jestem kapłanem. Na szczęście przybył do wsi ksiądz wikary bialski z wiatykiem do chorego łacinnika (jest we wsi kilku łacińsk. obrz.). Kossakowska udała się do księdza ze swą wątpliwością, a ksiądz ucieszony tem, że ja bawię w tej wsi, uspokoił moją gospozię i kazał zupełnie mi zaufać.

Nie prędko jednak miałem co robić. Pogoda była prześliczna, więc kto żyw, siedział w polu, przyspie-

szając opóźnioną wskutek deszczów robotę. Zwożono żyto z pola aż do 10 godziny wieczorem. Dopiero więc o 11 zacząłem chrzczyć dziatwę na drugim końcu wsi, dokąd mnie zawieźli furą. Zastałem już zgromadzoną wielką liczbę kobiet z dziećmi w izbie ze szczelnie zamkniętymi okiennicami. Ochrzciłem kilka dziesiątków drobiazgu i podrostków, ale bierzmowania nie życzyli sobie przyjmować z moich rąk, tłumacząc, że wolą przyjąć ten sakrament przy sposobności z rąk biskupa. Wróciłem do Kossakowskich, gdzie znowu kilkoro dzieci było do chrztu i kilkanaście osób do spowiedzi. Pomędzy dziećmi było jedno, mające dopiero kilka godzin życia. Było to dziecko chłopca z Lehut, tego samego, który nas przywiózł do Wólki. Kazali mu jechać z księdzem, to i pojechał bez wymówki, chociaż w domu zostawił oczekującą rozwiązania żonę. Kiedy wrócił do domu, zastał już przybyłego na świat synka, którego kazał zawinąć w poduszki, założył konie i wieczorem pognął z nim za mną, aby nie opuścić sposobności ochrzzczenia swego sukcesora przez misjonarza.

Między spowiadającymi się, była znowu jedna zdobycz pobożnej gorliwości br. Marjana. Rodzony brat owego Tomasza, u którego bawiliśmy w Kozawce, dawno nie był u spowiedzi, do której nie chciał przystąpić nawet podczas naszej bytności u jego brata. Br. Marjan dużo nad nim pracował, ale, zdawało się, napróżno. Po naszym jednak odjeździe począł żałować swego zaniedbania i podążył w ślad za nami najprzód do Lehut, a stamtąd do Wólki, aby odprawić spowiedź świętą.

Czwartek, 30 lipca. — Po wysłuchaniu spowiedzi (niestety nie wszystkich, dla braku czasu), odprawiłem mszę świętą i powiedziałem słów kilka na pożegnanie. Czatował już na mnie Aleksander z Dobrynia, aby pociągnąć za sobą, lecz odmówiłem mu z tego powodu, że przybyli również dwaj gospodarze z Piszczaca, zapraszając do siebie. W takich razach dla misjonarza, chcącego wszystkich obsłużyć, bywa trudny i przykry wybór. Obiecuje się zwykle jednej stronie wizytę na kiedyś później, lecz nie zawsze można słowa dotrzymać. Tak się stało i z owym Aleksandrem i jego klientami.

O świcie wyjeżdżaliśmy z Wólki w kierunku odległego o 2 mile od niej miasteczka P i s z c z a c a. Osada ta posiada ludność przeważnie unicką, jest jednak niemało i odstępców. Przytem pop, urząd gminny, strażnicy, szkoły, żydy etc. — wszystko to bynajmniej nie należy do sprzyjających misjonarzowi okoliczności. Była tu łacińska parafja i kościół, lecz przed kilkunastu laty parafję skasowano i kościół rozebrano. Pomimo tytułu miasteczka, ludność widocznie rozmiłowana w brudach, czego dowód nastęrczył się nam w chałupie, do której nas skierowano. Oprócz kulałego stolika i dwóch pryczy z barłogiem, w którym tarzało się kilkoro brudnych nagich dzieciaków, nic więcej w tem mieszkaniu nie było. Śmieci było pełno we wszystkich kątach i pod pryczami, zaduch nie do wytrzymania. Punkt ten nie nadawał się do pracy nie tylko z powodu brudów. Niefortunną była jego sytuacja wogóle. Chata na skrzyżowaniu dwóch ulic, przy trakcie wiodącym do stacji kolejowej Chotyłowa, nie

osłonięta ani drzewami, ani żadnym parkanem, pozbawiona nawet okiennic. Stodółka przy chacie była nie mniej wystawiona na widok ze wszystkich stron, a nadto nie mająca nawet zamknięcia. Pomimo to dowiedzieliśmy się, że musimy w owej stodółce ulokować się na spanie i to o głodzie, aż do obiadu. Poszliśmy do stodoły. Była w niej pustka, tylko połowa jednego zasieka napelniona była sianem aż pod dach. Nie było drabiny, trzeba było po ścianie, kocim sposobem, wdrapać się na siano. Nie było żadnego zamknięcia, kto chciał, mógł tutaj wchodzić. Utonęliśmy w sianie i pobratali się z Morfeuszem; niezaradny zaś gospodarz tej zagrody ze swą jeszcze mniej zaradną połowicą i dzieciakami udali się do roboty w pole, pozostawiając nas samej tylko Opatrzności boskiej. Około południa, kiedy od głodu cygany śnić się nam poczynają, słyszymy naraz szmer na klepisku. Co to takiego? Czy obiad nam kto przyniósł? Ależ nie, to szmer odrazu kilkunastu ust... Trącam w bok Marjana, aby wychylił głowę i zobaczył, co się dzieje około nas. Wyjrzał i cofnął się z przestachem... — »Zdaje się, że już po nas... klepisko pełne żydówek i żydziaków... pewno coś niedobrego się święci... może strażnicy szukają nas, a żydostwo z ciekawości zbiegło się... Co robić?...« — Dodałem animuszu Marjanowi.

— Niech brat — powiadam — zsunie się na dół, schwyta jaki powróż i rozpędzi hałastę; zobaczymy, co będzie dalej.

Większy niż nasz, był strach żydziaków, kiedy

z góry spadł na ich głowy obcy »goj«, którego obecności nie przeczuwali.

— Czego tu chcecie? Wynoście się, a prędko... Precz ze stodoły!

Szmary ucichły, lecz żydzięta stały jak wryte, błagalnym wzrokiem dając do poznania, że mają chęć dłużej pozostać. Lecz br. Marjan nie miał litości. Schwytał jednego za kołnierz, puścił go w tylne drzwi, potem drugiego. Reszta sama wysunęła się tą samą drogą. Nie poszli jednak zaraz, lecz pokładli się w ogrodzie w bruzdach.

Kiedy się zastanawiamy nad tem zagadkowym ich postępowaniem, naraz słyszymy świst, potem nawoływania z ulicy: Mojsie, kim a her; Ryfke, kim! a na ten sygnał zerwali się wszyscy i pierzchli w stronę gościńca prowadzącego do kolei. Teraz dopiero zaczęliśmy się domyślać, że nie nam, lecz żydziakom groziło jakieś niebezpieczeństwo. Ścigani przez kogoś łobuza-mieszczucha, uciekli do stodoły otwartej i tam chcieli przeczekać groźną chwilę. My z tego epizodu powzięliśmy stanowcze przekonanie, że miejsce to do pracy misyjnej wcale nie odpowiednie. W pół godziny po opisanem zajściu przyszedł do nas mieszczanin, niosąc w koszyku obiad i butelkę piwa. Niezbyt apetycznie się przedstawiała przyniesiona baranina, ale głód najlepszy kucharz. Nasz jadłodawca przedstawił się nam, jako stolarz i świeżo nawrócony ze schizmy Unita, imieniem Paweł. Opowiedział nam, że u niego mieszkanie jest dobre i czyste, ale w dzień nie może nas do siebie zabrać, z obawy przed pracującym u niego czeladnikiem. Po jego odejściu mu-

sieliśmy znowu pokutować w stodole do samego wieczora, dopóki nasi gospodarstwo nie wrócili z pola. Zapytałem, czy dadzą nam co jeść. W odpowiedzi gospodyni się rozplakała, gospodarz ją wyłajał przy nas za niedołęstwo: w końcu dostaliśmy po szklance mleka i to przypalonego. Świadkiem tej gościnności piszczackiej była wczorajsza nasza gosposia Kossakowska, która ku wieczorowi ściągnęła za mną ze swym krewniakiem do chrztu, którego do swojego domu na czas donieść nie zdołała. Zwróciłem jej uwagę, że nie wszędzie mam takie wygody i smaczny obiad jak u niej w Wólce. Pochlebiło jej to widocznie, bo odpowiedziała uśmiechem.

Po mleku przeprowadzono nas z bajecznym strachem na drugą stronę ulicy do mieszkania stolarza Pawła, dokąd wśród nocnych ciemności zgromadzać się poczęli zawiadomieni o moim przyjeździe mieszczanie. Było ich niewielu, gdyż mało kogo wtajemniczono z obawy przed policją i schizmatykami. Do spowiedzi sprowadzili kilkanaście osób, przeważnie starców, chorych i zaniedbanych. Spowiadała się cała rodzina Pawła i ci, co chcieli do tercjarstwa się zapisać. Gospodarz był uszczęśliwiony, że miał u siebie mszę świętą, bo niedawno dopiero, ale stanowczo, porzucił schizmę i z popem, z którym dotąd w dobrej żył komitywie, raz na zawsze wszelkie zerwał stosunki. Dziś jest jednym z najgorliwszych katolików. Obrazy schizmatyczne popalił, katolickich nakupił, w maju otwarł swój dom na odprawianie prywatnego nabożeństwa majowego, a do kościoła w Tucznie spo-

rządził piękny konfesjonał. Poświęciłem mu dom i zapisałem go do tercjarstwa.

Piątek, 31 lipca. — Po mszy świętej, odprawionej jeszcze dodnia, przeprowadzono nas na odpoczynek i dalszą pracę do innego gospodarza na drugi koniec miasteczka. Nasz nowy gospodarz, Karol Charkiewicz, mieszkający na tak zwanem Zamościu, podczas służby wojskowej był pisarzem w pułkowej kancelarji, należał przeto pod pewnym względem do inteligencji piszczańskiej. Brat jego rodzony, podczas kasaty unji był w seminarjum; odstąpił od wiary i został djakonem schizmatyckim. Długi czas niepokoił Karola swemi listami, to namawiając go do odstępstwa, to dopominając się więcej spłaty majątkowej, aniżeli się mu należało, to grożąc sądem za pochowanie przez Karola wspólnego ich ojca bez udziału popa. Dopiero kiedy znierpliwiony natręctwem Karol dał mu taką odpowiedź: »Wlazłeś, świnió, w błoto, to leż, jeśli ci wygodnie, lecz innych za sobą nie wciągaj«, przestał mu się naprzykrzać. Pokazał mi Karol listy swego brata-odstępcy: walczą w nich o pierwszeństwo głupota z chciwością.

Cały dzień, a była to uroczystość św. Ignacego, spędziłem znowu beczynnie, leżąc w stodole Charkiewicza. Wieczorem dopiero ochrzcilem kilkanaścioro dzieci. Bali się sprowadzać ich więcej, gdyż lat temu kilka O. Pydyńkowski chrzcząc ich tutaj wielką naraz liczbę ściągnął podejrzenia i śledztwo, których ofiarą padł gospodarz, goszczący kapłana, deportowany do Rosji. — Przyszedł do mnie na pogawędkę jakiś staruszek, trzymający się unji, ale stroniący od

łacińskich kapłanów i ściśle obserwujący swoje dawne święta i posty. Pozyskałem jego zaufanie, skorom powiedział, że nie jest obowiązany do przyjęcia polskiego kalendarza.

Wieczorem oczekujemy koni z Bokinki. Długo w noc, a ich niema. Już decydowałem się zostać na miejscu i kazać zwołać ludzi do spowiedzi, a potem u Karola mszę odprawić, gdy zjawił się z Bokinki gospodarz, mający nas zabrać ze sobą. Chcąc go nieco ukarać za niesłowność, drożyłem się z początku, lecz wkońcu musiałem ustąpić naleganiom i odjechałem z Piszczaca wśród ulewnego deszczu. Nasz woźnica usprawiedliwiał swe opóźnienie obawą wyjazdu ze wsi przed zmierzchem, aby niczyjej to uwagi nie zwróciło.

Sobota, 1 sierpnia. — Do B o k i n k i przybyliśmy już po północy. Woźnica wysadził nas przed jakimś nowym, jeszcze nie zamieszkałym domem. Spodziewałem się, że podług umowy zastanę już lud zgromadzonym, tymczasem nic z tego. Dom przeznaczony na naszą pracę był zamknięty, kluczy niema, gospodarza ani przy chacie, ani w chacie nie było. To wszystko odebrało mi resztki cierpliwości. Po długich wreszcie tarapatach, które pobudziły psów we wsi, dostaliśmy się do wnętrza nowego domu, a gospodarz pobiegł budzić kobiety z dziećmi do chrztu i spowiedzi. Nasunął się inny kłopot: zgubiliśmy klucz od walizki i trzeba było zamek popsuć, żeby się do niej dostać.

Bokinka, którą nam jeszcze roku zeszłego rekomendował proboszcz z Tuczny, okazała się w wielkiem zaniedbaniu tak pod względem chrztów, jak

i spowiedzi i wogóle życia religijnego. Przez parę godzin miałem pracę co nielada, chrzcząc i słuchając spowiedzi na przemiany i z wielkim pośpiechem, gdyż trzeba było jaknajprędzej stamtąd się wynosić. Wszystkich nie zdążyłem obsłużyć. Odprawiłem natomiast mszę świętą i dałem obecnym surową reprimendę za to, że dzieci posyłają do cerkiewnej szkoły, a nieboszczyków wożą do popa do pokropienia. Następnie kazałem przygotować konie. Br. Marjan był niezdecydowany, dokąd jechać, gdyż nic nie było dalej ułożonem. Sam więc zarządziłem, aby odwieźli nas do Stasiówki, odległej dwie mile drogi. Odjeżdżaliśmy z Bokinki o wschodzie słońca.

Stasiówkę znam z roku przeszłego i mnie nawzajem znają stasiowiacy. Gdym wjeżdżał do wsi (br. M. poszedł pieszo przez pola), wszyscy wychodzili w pole do roboty, cała więc wieś w krótkim czasie mogła wiedzieć o mojem przybyciu. Zajechaliśmy do stodoły przełożonego tercjarzy, Niedźwieckiego, który, swoim zwyczajem, przyjął nas z jakimś przygnębiającem zakłopotaniem, lecz po chwili ochłonął i zaręczał, że do niego zawsze, nawet w ucieczce przed pogonią, można śmiało zajeżdżać. — Niedźwiecki zawsze przy przyjęciu misjonarza okazuje zakłopotanie, wskutek czego br. Marjan nie z wielką ochotą do niego zajeżdża, ja jednak poznawszy go bliżej roku zeszłego, przekonałem się, że jest to człowiek pewny, tylko trzeba umieć go rozruszać.

— Co u was słyhać? — pytam N. jako przełożonego tercjarstwa — czyście się od roku przeszłego poprawili? Czy zabobonów jakich niema między wami?

— E, są jeszcze — odpowiada. — Na wiosnę przyszedł pomór na świnie. Ktoś doradził sprowadzić szeptuna (wróżbitę), żeby czary od świń zażegnał. Zeszła się cała wieś na naradę i uchwalono posłać po niego konie. Przyjechał, poszeptał coś nad spędzonymi z całej wsi świniami, wziął 10 złotych (i rb. 50 kop.) i odjechał napowrót. Ale świnie i tak pozdychały.

— A wy, tercjarze, czy też wypędzaliście swoje świnie?

— A jakże. Ja, z początku, mówiłem, że grzech, ale Kurowski wytłómaczył mi, że trzeba spróbować, może pomoże. I usłuchałem.

Wyśmiałem ich łatwowierność i przykazałem, aby się nie dali na przyszłość łatwowiernie wyzykiwać. Kiedy jednak trafi się jaka sposobność, nie ulega wątpliwości, że powiedzą sobie: »a może pomoże?«

Prawie przez cały sobotni dzień mogłem odpoczywać w stodole, dopiero pod wieczór przybyło kilkanaście osób do spowiedzi. Stasiówka, to właściwie punkt odpoczynku. W nocy nic nie robiłem.

Niedziela, 2 sierpnia. — Doskonale wypawszy się na świeżem sianie, wstałem kiedy słońce już było wysoko na niebie. Wysłuchałem jeszcze kilkadziesiąt spowiedzi i o godzinie ósmej odprawiłem u Niedźwieckiego w alkierzu »sumę«, na której było bardzo dużo modlących się i komunikujących. W nauce, rozumie się, potrafiłem o sprawę szeptuna i świń. Ponieważ chrzty wszystkie są ważne, a z dopełnieniem ceremonji i bierzmowaniem stasiowiacy nie lubią się spieszyć, więc nie było co więcej robić. Rozpatrzyłem

tylko i uporządkowałem sprawy i rachunki tercjarstwa. Kiedy cała wieś udała się do Wisznic na sumę, ja wziąłem różaniec i wybrałem się spacerem do lasu odetchnąć świeżym aromatycznym powietrzem. Sąsiad Niedźwieckiego, Kurowski, dostał polecenie przywieźć wino mszalnego od proboszcza i zamówić po nas konie z Horodyszcza.

Przed wieczorem przyjechał po nas Julian Wętoszka, dobry znajomy, tercjarz z Horodyszcza; z nim też zabraliśmy się, rzeczy odesławszy innemi końmi. Zmierczem przybyliśmy do H o r o d y s z c z a, i wysadziwszy Juliana przed wsią, aby oczekiwał na furmankę z pakunkami, sami z br. Marjanem zajechaliśmy do Dominika Sokołowicza, gdzie już oczekiwała na nas garstka tercjarzy i tercjarek, a na stole masło, miód i jaja na twardo. Posiliwszy się temi specjalami, przeniosłem się do innego domu, gdzie też zaraz rozpoczęła się całonocna robota. Samo tercjarstwo liczy w Horodyszczu przeszło 60 osób; wszystkich trzeba było tej nocy wysłuchać, a oprócz tego kilkanaście osób, proszących o przyjęcie do III Zakonu.

Poniedziałek, 3 sierpnia. — Oprócz słuchania spowiedzi było tej nocy nie mało innych spraw. Trzeba było zarządzić wybory nowej przełożonej, gdyż na starą były liczne szemrania. Po mszy świętej i nauce do tercjarzy specjalnie wygłoszonej, zaczęło się zapisywanie nowych członków i odbieranie profesji od nowicjuszków. Trzem nowicjuszom odmówiłem profesji za karę. Jeden z nich powiózł swą żonę po śmierci do popa do pokropienia, inni znowu dwaj żyli w nie-

zgodzie między sobą. Dla przykładu więc nie zostali przypuszczeni do profesji, całe zaś zgromadzenie dostało nagane, że nie przeszkodziło nowicjuszowi wieść żonę do popa i nie wpłynęło na poważnionych. Kiedym się uporał z tercjarstwem, był już biały dzień. Poszedłem na spoczynek do stodoły, resztę pracy z nie-tercjarzami odkładając na noc następną. Około południa poproszono nas do chaty na śniadanie, gdzie zastaliśmy już kilkunastu tercjarzy, którzy zeszli się na poufną pogawędkę. Kiedym się posilił i pogadał trochę, odszedłem z różańcem do stodoły, moi zaś interlokutorzy również poczęli się rozchodzić. Wtem wpada nagle do mnie br. Marjan z wiadomością, że policja około nas. Bliższych szczegółów nie umiał opowiedzieć. Znowu po chwili zjawia się Dominik i każe nam uciekać za sobą. Przesadziwszy kilka płotów, parę ogrodów, uliczek, zatrzymaliśmy się przed stodołą odosobnioną i niczem nie osłoniętą. Stała zupełnie na rozdrożu. Dominik odemknął ją i wpuściwszy nas zamknął znowu na kłódkę i klucz zabrał. My zaś nie mając drabiny, wdrapaliśmy się po ścianie na »wyżki«, gdzie była wyka. Byliśmy więc jak w więzieniu, nie wiedząc nawet co się dzieje na około nas i jakich rozmiarów niebezpieczeństwo. Wyobrażnia w takich wypadkach maluje wszystko w powiększonych rozmiarach. Po kilku minutach słyszymy rosyjską rozmowę tuż pod ścianą naszego więzienia. Wyjrzałem szczeliną i zobaczyłem strażnika, przy którym stał Dominik i inny tercjarz Hryćko. Niedługo jednak potrzebowaliśmy bać się, gdyż po chwili oddalili się z pod stodoły. Treści ich rozmowy nie dosłyszałem.

Potem od czasu do czasu dochodził do nas gospodarz tej stodoły opowiadając, że Grzegorz oprowadza strażnika po wsi, coby to jednak miało znaczyć, nie umiał nam wyjaśnić. Dopiero przed wieczorem przybył sam Grzegorz i całą historję opowiedział. Rzecz się tak miała. Opuściwszy nasze wspólne posiedzenie, Grzegorz, skoro tylko wyszedł na ulicę, ujrzał strażnika, zmierzającego w tę stronę. Nie tracąc głowy, zbliża się doń Grzegorz, wita się z nim, niby najlepszy przyjaciel, częstuje papierosem i nawiązuje rozmowę, chcąc tym sposobem zatrzymać go chwilę na ulicy, dopóki nie odejdą tercjarze z owego domu, dokąd się byli zgromadzili. Na pytanie, dokąd zmierza, otrzymał Grzegorz odpowiedź strażnika, że idzie do Dominika Sokołowicza. Wydało się to Grzegorzowi bardzo podejrzanem, ze względu na to, że u Dominika wczoraj, a dzisiaj naprzeciwnie jego chaty bawiłem. Nie odstąpił jednak policjanta, lecz narzucił się mu na towarzysza, w braku sołtysa. Przybywszy na podwórko Dominika, spotkali jego dziewczynkę. — Czy jest tatko w domu? — Niema. — A dokąd poszedł? — A tam, w tamtą stronę (wskazała palcem), poprowadził dwóch panów. — A jak te pany wyglądały? Czy z brodą? czy podobni do żydów, czy tak jak ksiądz? — Grzegorza dreszcz przejął. — Tak jak ksiądz, z brodą, bełkotało dziecko, samo nie wiedząc co mówi. — Pójdziemy za nimi, rzekł strażnik do Hryčki. — Ten znowu dobył papierosów. — Idąc we wskazanym przez dziecko kierunku, ujrzeli Dominika właśnie w chwili, kiedy po zamknięciu stodoły z nami, zbierał się odejść w pole, lecz zawołany przez strażnika, zbliżył się do

niego, duszę mając już na ramieniu. Wtedy to nastąpiła rozmowa pod stodołą, którąśmy słyszeli, leżąc na wyżkach. — Na szczęście strażnik nie księdza szukał, lecz dopytywał się o zdechłe ciele, które żyd podobno sprawił i mięso rozsprzedawał chłopom. Dominik miał o tem wiedzieć i dlatego był potrzebny strażnikowi do protokołu. Powiedział, co wiedział; o owych zaś »dwóch panów« policjant wcale go nie pytał. Pomimo to Grzegorz nie dowierzał mu i aby nie dopuścić spotkania się strażnika z jakim prawosławnym mieszczuchem, któryby może coś o nas wiedział, nie opuszczał go ani na chwilę, lecz oprowadzał po całej wsi, gdzie tylko strażnik miał jaki interes; wprowadził go nawet, nie wiem poco, do tego domu, w którym przed kwadranssem byliśmy zebrani, wreszcie zaprosił go do siebie na kawalerski obiad, składający się z wódki, kielbasy i papierosów, poczem wyprawił go do Wisznic. Wtedy dopiero, odetchnąwszy swobodniej, przyszedł nam opowiedzieć o wszystkim.

Opuściwszy owo dobrowolne więzienie, wróciłem na poprzednie miejsce i rozpocząłem drugą serję pracy, mianowicie chrzty i spowiedzi osób, nie należących do tercjarstwa. Praca trwała przez noc całą, aż do mszy świętej, którą nad ranem odprawiłem. Przyjąłem do profesji odsuniętego wczoraj nowicjusza, który ciało żony zawoził do popa, gdyż okazywał wielką skruchę i przeprosił publicznie wszystkich za dane zgorszenie.

Wtorek, 4 sierpnia. — Z Horodyszcza zamierzaliśmy udać się do wsi Łyniewa, skąd przybył po nas

jeden z tercjarzy. Nieprzewidziana jednak okoliczność radziła puścić się w inną stronę. Poprzedniego dnia posłałem swoją brudną bieliznę na plebanję w Wisznicach do wyprania. Gospodyni oddała ją zaufanej praczce i zapewne powiedziała czyja bielizna. Otóż wieczorem razem z wypranemi drobiazgami odebrałem ostrzeżenie, abym się miał na ostrożności, tegoż bowiem dnia wiszniccy strażnicy pożyczili u brata owej praczki i u innego mieszczanina świeckiego palta, jakoby gotując się na jakąś sekretną obławę. Rodziło się podejrzenie, że może usłyszeli co o misjonarzu i w przebraniu świeckiem chcieli nań czatować. Łyniewo więc, leżące w ich służbowym uczątku, odłożyłem na później i kazałem się wieźć do Dawidów. Chciałem na dwa dni przerwać pracę i wpaść tymczasem do Lublina.

Dawidy mogą służyć za bezpieczne miejsce ukrycia w razie niebezpieczeństwa. Tym razem zajechaliśmy do niejakiego Lewczuka Ambrożego, tam wyspaliśmy się w stodole, zjedliśmy obiad, który, jak zwykle w tej wsi, przygotowywało kilka dewotek, poczem ja zostawiłem br. Marjana, aby przygotował którąkolwiek z pobliskich wiosek na nasze przyjęcie, sam zaś odjechałem do kolei w Parczewie. W Parczewie zastaliśmy jarmark, a przytem porozwieszane flagi z powodu galowego dnia. W Lublinie stanąłem o godz. 10 wieczorem. Nie znając miasta, kazałem się wieźć do pierwszego-lepszego hotelu, byleby w środku miasta. Zawiózł mnie dorożkarz do »angielskiego«, brudnej i podejrzanej żydowskiej dziury, która jednak w mniemaniu fiakra wydała się najodpowiedniejszą

dla takiego »pana«. Oddałem paszport do policji, kolację zjadłem w pobliskiej restauracji i wróciwszy do hotelu, położyłem się spać w brudne i zapchlone bety żydowskie. Widać niema tu zwyczaju zmieniania bielizny na łózkach dla każdego gościa. Nie prędko mogłem zasnąć, gdyż oprócz innych niewygód, odpeędzały sen rozlegające się na kurytarzu czy gdzieś w sąsiednim numerze śmiechy i szeptu bardzo podejrzanego charakteru.

Środa, 5 sierpnia. — Wstałem około szóstej godziny i zaraz wybrałem się na mszę. Trafiłem do kościoła po-dominikańskiego, gdzie się już odprawiała msza święta. Drugi kapłan siedział w konfesjonale. Domyśliłem się, że to rektor miejscowy, Ks. Kłopotowski, i pragnąc zawrzeć z nim znajomość poszedłem do niego do spowiedzi. Po komunji more laicorum zaprosił mię Ks. Kł. na śniadanie i na obiad, a przed obiadem kazał służącemu kościelnemu oprowadzić mnie po kościele, kaplicach, grobach, pokazać zakrystję i dość bogaty skarbiec. Księży, z którymi chciałem się widzieć i rozmówić w interesie misji, nie zastałem w domu, wskutek czego podróż moja prawie bezcelową się okazała. Ks. Kł. zajmował się mną cały prawie dzień: objechaliśmy razem dobroczynne zakłady pod jego zarządem będące, przyczem rozwijał przede mną swoje rozległe projekty. Udarował mnie paczką książeczek ludowych własnego pióra, zaznajomił z jakimś starym proboszczem i udzielił wskazówek co do urządzenia misji w zaniedbanej Lubelskiej gubernji, około Chełmu i Krasnegostawu.

Czwartek, 6 sierpnia. — Tego dnia naznaczone

było w katedrze lubelskiej uroczyste dziękczynne nabożeństwo z okazji wyboru nowego papieża Piusa X, nie mogłem jednak być na niem, albowiem rannym pościągami musiałem odjechać z Lublina. Wysłuchałem tylko mszy św. w kościele Ks. Kł., wypilem u niego herbatę i zaopatrzyłem się w wino mszalne i hostje. Opłatków dostałem takie pudło, że mogło ich już do końca misji wystarczyć.

Na stacji Parczewo, dokąd przybyłem w południe, oczekwały na mnie konie ze wsi Buradowa. Ponieważ woźnica nie znał mnie, więc był z nim mój znajomy Feliks Curyło ze wsi Kostry, który też zaraz po wyjściu mojem z wagonu odprowadził mnie do oczekujących koni. — B u r a d ó w jest to wioska nie duża, bo liczy tylko kilkanaście gospodarstw, pracy jednak było dosyć, gdyż trzeba było z gruntu ją przetrząsnąć. Gospodarze wszyscy unicy, tylko jeden odpadł do schizmy, ale i tego rodzina od pewnego czasu poczęła uczęszczać do kościoła. Ochrzcilem i zapisałem do metryk przeszło 60 osób różnego wieku i mniejsze z nich pobierzmowałem. Przybył do wsi na urlop żołnierz aż z nad Amuru, a ponieważ i jego chrzest był wątpliwej wartości, więc dał się ochrzcić sub conditione, chociaż z początku fałszywym wstydem powodowany, uchylał się od tego. Doniesiono mi o kobiecie, która nagle zachorowała i straciła przytomność. Pobiegłem do niej, dałem absolucję i Ostatnie Namaszczenie. Leżała w silnej gorączce, podrzucała się na łóżku i chociaż oczy miała otwarte, zdaje się nic nie wiedziała, co się robi z nią. Kazałem nad ranem zawołać mnie z Panem Jezusem do niej w razie gdyby odży-

skała przytomność. Wieczorem słuchałem spowiedzi, do której wszyscy dorośli pragnęli przystąpić. Skończywszy spowiedź, ponieważ na mszę było jeszcze za wcześnie, poszedłem do stodoły, gdzie rzuciłem się na słomę bez rozbierania się. Przeleżałem niecałą godzinę, ale pchły nie dały mi zasnąć. Moi penitenci w oczekiwaniu mszy świętej również drzemali po kątach. Mszę świętą rozpocząłem o drugiej w nocy. Ponieważ dano mi znać, że chora odzyskała przytomność i prosi o spowiedź, więc poszedłem do niej po mszy z Panem Jezusem. Wyspowiadała się pobożnie i z wielką radością, że zesłał jej Bóg kapłana. Wydysponowawszy chorą, wprost stamtąd odjechałem razem z br. Marjanem do sąsiedniej wsi Laski, dokąd przybyliśmy o wschodzie słońca.

Piątek, 7 sierpnia. — Z Buradowa byłem bardzo zadowolony, ponieważ widziałem, z jaką chęcią gromadzi się wszyscy z zaufaniem do świętych sakramentów. Gorzej miało być w L a s k a c h. Wieś ta, dosyć duża, posiada rozmaitą ludność: są polacy i rusini, tak katolicy, jak schizmatycy. Ponieważ żaden ksiądz tutaj nie wstępował, a dzieci od wielu lat chrzcila jakaś głupia baba, więc dla pewności należało chrzcić wszystkie na nowo. Spodziewałem się ich co najmniej 150. Zapowiedziawszy rozpoczęcie chrztów na południe, a słuchanie spowiedzi i mszę na noc, udałem się tymczasem na spoczynek, gdyż już przeszło 24 godzin nie zmrużyłem oka. Około południa napiłem się mleka i rozpocząłem chrzty. Z samego jednak początku zauważyłem, że wielu z przybyłych patrzy na mnie z nieufnością, niektórzy nawet przybywszy

z dziećmi cofali się nazad i odchodzili. Przy stosunkowo większej, niż gdzieindziej, ogładzie zewnętrznej, mieszkańcy tej wsi zdradzają jakąś głupkowatość, zarozumiałość i lekceważenie. Kiedym już ochrzcił mniej więcej 50 dzieci, robi się zamieszanie w chacie, którą wielu poczęło opuszczać. Wystraszona gospodyni domu szepce mi do ucha, że weszli do izby trzej schizmatycy. Sprowadził ich jakiś niedowierzający memu posłannictwu unita, rachując, że oni, ludzie mądrzy (zwłaszcza jeden z nich apostata-łacinnik) i poznają odrazu, »czy to ksiądz«. Pytam się, którzy to są. Wskazała mi ich palcem. Podchodzę do nich i pytam: Czego chcecie? — Przyszliśmy popatrzeć, odpowiadają. — Tu niema nic dla was ciekawego, mówię im, i powinniście wstydzić się, że wcale nie proszeni wchodzić do cudzych domów. Jeżeli macie dobre zamiary, powinniście byli wejść tu za pozwoleniem gospodarza, wchodząc zaś znienacka, zdradzacie swą złą wolę. Opuścili mieszkanie, lecz na ulicy poczęli naradzać się, czyby nie było dobrą rzeczą zażądać od nas paszportów. Wkrótce odeszli. Bałem się kontynuować pracę, a obawy te podzielał sam gospodarz. Ochrciłem jeszcze kilkoro dzieci; reszta się była rozbiegła. Ktoś doniósł nam, że żona owego apostaty poszła w tej chwili do Parczewa, to znowu, że on sam poszedł gdzieś ze wsi. Zaczęto przebąkiwać, że może po strażników do Parczewa. — Kazałem coprędzej zakładać konie, a sobie na obiad podać jajecznicę z kilku jaj. Obecny kilku gospodarzom wyraziłem niezadowolenie, że u nich lud zarozumiały, niesforny, i że kapłanowi nie ufa, a przez nieostrożność i głupotę naraża

na niebezpieczeństwo. Pogroziłem przytem, że jeśli się nie poprawią i rzeczy w większym sekrecie przed odstępcami nie ułożą, żaden więcej misjonarz ich nie odwiedzi, a oni ciężki rachunek oddadzą Bogu, że wieś tak zaniedbana pod względem chrztów i obyczajów chrześcijańskich.

Około godziny drugiej począł padać rześisty deszcz, lecz pomimo to kazałem zajechać. Nie było dokąd jechać, jak tylko w stronę Parczewa, więc chociaż baliśmy się, aby nie spotkać jadących może po nas strażników, nie mieliśmy jednak wyboru. Tyle tylko można było zrobić dla bezpieczeństwa, że około stacji kolejowej zjechaliśmy z gościńca na dłuższą, ale pewniejszą boczną dróżkę i ominąwszy miasto, udaliśmy się przez Cichostów i Milanów do Kostr, aby tam zmienić konie i odjechać tak, iżby sam nawet woźnica nasz z Łasek nie wiedział, dokąd pojechaliśmy. Nie na rękę był nam przejazd przez Milanów, gdzie mieszka kilku strażników i gdzie w przeszłym roku miałem niemiłe spotkanie z policjantem. Przypuśćmy, że spotkam się znowu z nim, mogę narazić się na zaczepienie, a wieźliśmy ze sobą paramenta mszalne. Kazałem więc woźnicy, aby pojechał sam przez wieś z rzeczami aż do Kostr, my zaś z br. Marjanem przez pola, pieszo, brnąc w błocie po kolana, poszliśmy do szpitala ks. Czetwertyńskiej w Milanowie, stojącego na uboczu. Zakradliśmy się na korytarz szpitalny. Wtem wychodzi z pokoju znajoma pielęgniarka, panna Marja, z jakąś kobietą wiejską, czy służącą. Zoczywszy nas, trochę się zlekła, lecz nie chcąc owej kobiecie dać coś do myślenia, pyta nas obojętnie: — Czego pano-

wie życzą sobie? — Przyszliśmy prosić o lekarstwo na żołądek, odpowiadam i wskazując palcem na br. Marjana, dodaję: — Mój towarzysz zasłabł w drodze... — Zaraz wróce, odrzekła.

Odprowadziwszy kobietę do drzwi, zabrała nas do swego pokoju, sporządziła ciepłej kawy. Marjanowi, który rzeczywiście niedomagał, dała pigułek, namówiła go przytem, aby wypił na rozgrzewkę po przemoknięciu tęgiej śliwowicy. — Oprowadziła nas potem po szpitalu, pokazała opuszczony kościół (dawniej były tu siostry miłosierdzia i kapelan); gdzie ołtarze zrujnowane, ściany od wilgoci pokryte pleśnią, a rząd nie pozwala na restaurację. W tym roku księżna bez pozwolenia pokryła go nowym dachem. — Ze szpitala poszliśmy znowu pieszo do Kostr. Tam zmiana koni, postna kolacja, składająca się z barszczu bu-rakowego u przełożonej tercjarek, i o zachodzie słońca dalej w drogę w kierunku Rudna i Radcza. Przejechaliśmy przez wieś Rudno, do której zawsze mam chęć zajechać, a nigdy się nie daje, potem przez folwark Rudzieniec, wreszcie przybyliśmy do cerkiewnej wsi R a d c z e o 11 w nocy. Ponieważ przybyliśmy niespodziewanie, więc żadnej pracy w nocy rozpoczynać nie było można. Rozbudziliśmy jednego gospodarza, aby nas ulokował na spoczynek w swojej stodole, ten jednak wolał poprowadzić nas do swego sąsiada.

Sobota, 8 sierpnia. — Kiedy mieszkańcy wsi wyruszyli w pole do pracy, ja również miałem rozpocząć swoją robotę. Niewielu jednak było wtajemniczonych co do mego przybycia. Wieś ta bardzo wielu liczy odstępców od wiary, posiada popa z całą czeredą urzę-

dowych nieprzyjaciół Unji, więc br. Marjan na początek pozyskał dla naszej sprawy tylko kilku gospodarzy, którzy mieli zapisać się do tercjarstwa i na przyszłość stworzyć punkt oparcia dla misyjnej działalności. Ja w razach podobnych pragnę tego, aby przynajmniej pod koniec pobytu mojego we wsi ściągnięto więcej ludzi, a zwłaszcza dzieci do chrztu, lecz tutaj, w Radczu, moi przyszli tercjarze bali się zawiadamiać ludność o przybyciu kapłana. Wysłuchałem więc za ledwie kilkanaście spowiedzi, zorganizowałem małe kółko tercjarzkie z mężczyzn i odprawiłem mszę św. Po mszy jeden z obecnych na niej zaprasza mnie do chorej swej żony; wszyscy jednak byli temu przeciwni z obawy, abym nie natknął się na kogo z nieprzyjaciół Unji. W samej bowiem rodzinie chorej nie było jednomyślności i stałości w wierze św. Żałując jednak biednej chorej, oznajmiłem, że obowiązek wspomagania umierających jest tak ważny, że tylko w ostateczności może być zaniechanym. Dałem więc petentowi komżę, stułę i Oleje św. obwinięte w chustkę i udałem się za nim, idąc o jakie 100 kroków, by nikt nie domyślił się, że on prowadzi jakiegoś obcego człowieka. Po przez ogrody doszliśmy takim sposobem do chaty, położonej w pobliżu cerkwi. Wypowiadałem chorą, ucieszoną mojem przybyciem i udzieliłem Ostatniego Namaszczenia. Zaleciłem chorej i jej mężowi, aby o wizycie księdza nie mówili nawet rodzicom, kiedy wrócą z pola. Cało wróciłem, skądem przyszedł. — Pod wieczór było kilka chrztów, dwa małżeństwa dziko dotąd żyjące pobłogosławiłem i na tem koniec! Co to znaczy na wieś liczącą co najmniej 1000 dusz

ludności? Resztę czasu trzeba było spędzić w stodole bezczynnie. Nudy potęgował głód, gdyż nic oprócz mleka i twardego chleba nam nie dano. Gospodyni wprawdzie chciała nam zrobić kawy, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Do wielkiego garnka wody wsypała szczyptę jakiegoś spalonego zboża. Woda nawet się nie zarumieniła i tylko gdzieniegdzie goniły po niej za sobą pojedyncze ździebelka owej palenizny. Nie chciałem taką »kawą« roztwarzać i psuć mleka. Poprosiłem ją o kartofle: odpowiedziała, że nie umie gotować kartofli (sic!). Mąż jej, który jako wygnaniec za wiarę, bywał na szerszym świecie, wstydząc się za swą nieporadną połowicę, przepraszał nas, jak mógł, lecz to rzeczy nie zmieniło: pozostaliśmy głodni do wieczora. Pragnąłem wyjechać jak najprędzej, gdyż wobec takiego usposobienia ludności i takich warunków, nic już nie pozostawało do roboty, lecz i wydostać się stamtąd było trudno, albowiem za dnia nie chciano nam dać koni z obawy, aby kto z prawosławnych nie zauważył odjeżdżających obcych ludzi.

Późnym wieczorem zajechaliśmy do Gęsi, tylną po za stodołami drogą. Stanąwszy naprzeciwko stodoły Lewczuka Stefana, zeszliśmy z furmanki. Wóźnica zawrócił do domu, br. Marjan poszedł naokoło zbudzić śpiących w chacie gospodarzy, a ja oczekiwałem z walizką na ogrodzie po za stodołą, przyczaiwszy się przy kopie siana. Po kilkunastu minutach rozwarły się tylne wierzeje i przede mną stanął Stefan, wpatrując się długo i nie mogąc mnie poznać. Wreszcie dałem się mu poznać ku wielkiej jego radości. Zaprowadził mnie do chaty, zarządził naprędce

coś do wypicia i przekąski i rozesłał po wsi wici z radosną nowiną i zaproszeniem do spowiedzi. Byłem jednak nie w humorze i dlatego wolałem iść spać; nazajutrz miała być niedziela, więc obiecałem odprawić im »sumę« nieco później. Tę jedną noc spałem nie w stodole, lecz w czystym mieszkaniu Lewczuka, na świeżo zasłanem łóżku. Była to satysfakcja po niewygodach Radcza.

Niedziela, 9 sierpnia. — Niedzielne nabożeństwo było przeznaczone przedewszystkiem dla tercjarzy; dla innych miała być msza w następny dzień. Słuchałem więc spowiedzi przeważnie tych, co już należeli do tercjarstwa lub też chcieli doń się wpisać. Po mszy i nauce, wyprawił się br. Marjan na sumę do Parczewa, aby tam spotkać kogoś i dalszą kampanję uplanować, ja zaś zyskałem parę godzin czasu na odpoczynek i swoje prywatne nabożeństwo. Kiedy powrócił br. Marjan z kościoła, dowiedziałem się dalszych szczegółów o nieprzyjemnem zajściu w Łaskach. W rzeczy samej, po wizycie niepożądanych gości w domu, gdzie chrzcili, posłano kogoś do Parczewa, nie do policji jednak, jak się tego obawialiśmy wtedy, lecz do proboszcza po poradę, czy mają wierzyć przybyszom, podającym się za misjonarzy. Proboszcz, wiedząc dobrze o naszej misji, zgromił posłańców za to, że swą nieufnością nieuzasadnioną psują sobie sprawę i kapłana narażają i wybił im z głowy wszelkie wątpliwości co do mojego posłannictwa. Kiedy jednak wrócili do Łasek, mnie już tam nie było; chcieli cofnąć nas z drogi, lecz nikt nie wiedział, dokąd odjechaliśmy, nawet woźnica nie wiedział dokładnie o naszej

następnej stacji. Spotkawszy br. Marjana w Parczewie, niektórzy Łaskowiaczy prosili, aby do nich powrócić, lecz odmowną otrzymali odpowiedź, raz z powodu, żeśmy mieli zamiar kierować się w inną stronę, a po drugie i dlatego, aby przez dłuższe oczekiwanie nauczyli się cenić łaskę przyjazdu misjonarza do wsi.

Około wieczora znowu rozpocząłem słuchać spowiedzi, tym razem każdego, ktokolwiek się zgłaszał. A byli i starcy i dzieci i nowożeńcy, miejscowi i kilkoro obcych. Praca szła śmiało, a chociaż w sąsiedztwie mieszkał schizmatyk, nie kazano mi obawiać się go. Co będzie, to będzie, a tymczasem wykorzystać do ostátka. Słuchałem przeto bez wytchnienia. Tylko o jedenastej wieczorem oderwałem się od tego zajęcia, by pochrzczyć dzieci. Zgromadzono je do innego domu, na drugim końcu wsi, w liczbie około 40-tu. Ochrzciłem je i pobierzmowałem wszystkie, poczem zostawiwszy br. Marjana, aby przynajmniej część z nich zapisał, sam powróciłem w poprzednie miejsce słuchać w dalszym ciągu spowiedzi. Msza odprawioną została pół do trzeciej, poczem nauka, a wreszcie pobłogosławiłem kilka par małżeństw, między którymi był ślub sołtysowego syna dany za dyspensą, udzieloną również przeze mnie od przeszkody pokrewieństwa w 4 stopniu. Do komunji świętej na obu mszach razem przystąpiło w Gęsi 110 osób; był to rezultat, z którego mogłem być zadowolony.

Poniedziałek, 10 sierpnia. — Br. Marjan zamówił był poprzedniego dnia gospodarza ze wsi Kolano, aby po nas przyjechał, lecz ten widocznie cofnął się od zamiaru i nie przybył. Z nowego kłopotu, dokąd

jechać, wywiódł nas sam Lewczuk, proponując nam udać się z nim do Z a h a j e k, gdzie ma szwagra nazwiskiem Rudko. Było to nam na rękę, gdyż tym sposobem zbliżaliśmy się do najtrudniejszych dla pracy misyjnej miejscowości w nadbużnych stronach powiatu Włodawskiego, które jednak za jakąbądź cenę zwiedzić należało, aby przynajmniej gdzieś rozpocząć pracę. Przyjeliśmy tę propozycję i wyjechaliśmy z Gęsi o wschodzie słońca, po całonocnej pracy. Ponieważ dobę całą nie spaliśmy, więc w drodze trudno było powstrzymać się od drzemki. To ja, to moi towarzysze, br. M. i Lewczuk na przemiany i wyścigi zaczęliśmy »żydy wozić«. Drogi mieliśmy kawał, bo cztery mile. Pogoda była ładna, lecz te puste, otwarte w dal okolice, któreśmy przejeżdżali, bardzo usposabiały do melancholji. I lud po drodze trafiał się inny, niż dotąd widzieć przywykłem. W Opolu i Mostach już nie widać było zwykłej podlasianom schludności; kobiety chodzą na półnago, w samych tylko koszulach i fartuchu, dzieci często w stroju adamowym. W domach nawet łóżek nie znają, śpiąc na ławach, piecu lub podłodze wszyscy razem. W Opolu minęliśmy zamknięty kościół łaciński, dosyć piękny, lecz już walący się i nędzną drewnianą cerkiewkę. Ludność tutaj prawie wszystka schizmatycka. Druga taka wieś Mosty, na boku zaś od naszej drogi cerkiewne sióło Hołowno, również w schizmie. Dopiero w ostatnich latach niektóre rodziny poczęły myśleć o powrocie do wiary ojców, lecz dotąd niestety nie było sposobności, by ich kto formalnie z Kościołem pogodził. I ja jeszcze nic nie mogłem dla nich uczynić,

z tego powodu, że br. Marjan nie nawiązał jeszcze w tych stronach bliższych znajomości.

Około godziny ósmej rano stanęliśmy w Zahajkach. Był tam niegdyś folwark, niedawno rozparcelowany, z którego miała część, bo 15 włók, nabył Rudko. Do jednego z 4-ech jego synów, a szwagra Lewczuka, zajechaliśmy teraz. Był on już dawniej z naszą misją w stosunkach, a nawet za przechowanie u siebie kapłana, zdaje się O. Markiewki, siedział rok w więzieniu. Mieszkanie ma urządzone po szlachecku, czyściutkie, w ogródku. Po zapoznaniu się z gospodarzem i jego żoną zostaliśmy uraczeni jajami na miękko, wódką i herbatą. Lecz bardziej się chciało spać, niż jeść, więc też zaraz poszliśmy do stodoły na siano, skąd ściągnięto nas dopiero na obiad o godzinie czwartej.

U samych Rudków nie miałem nic do roboty, we wsi liczono kilkunastu unitów, lecz Rudko nie chciał ich zawiadomić o przyjeździe kapłana, mając po temu ważne powody. Ułożyliśmy więc tak, że wieczorem wyjadę na drugi koniec wsi i stamtąd dopiero dać się znać unitom, aby przynieśli swe dzieci do chrztu. Odwiozł mnie sam Rudko na jakąś osadę po za wsią, zarekomendował nowemu gospodarzowi i ukrył się w stodole, by go nikt nie widział. Zawiadomiono parę rodzin w Zahajkach i na folwarku Ignacowo, przynieśli dzieci, ale bardzo nie wiele. Widać, że mało komu znać dano, a może niektórym wstać się nie chciało ze smacznego spoczynku. Zrobiło się więc nie wiele, jakby na przynętę w przyszłości. Po tej wyścieczce powróciłem znowu na folwark Rudki. Po dro-

dze zapytywał mnie z dobrą wiarą, czy nie byłoby dobrą i zasługującą przed Bogiem rzeczą, znajdujące się we wsi prawosławne krzyże, nazwane u nich »moločami«, poowijać słomą i podpalić? Resztę nocy znowu przespałem.

Wtorek, 11 sierpnia. — Zrana wysłuchałem spowiedzi kilku osób należących do rodziny Rudków i odprawiłem wobec domowników tylko mszę świętą. Po śniadaniu poświęciłem jednemu z braci nowy dom i pojechaliśmy dalej. Wiózł nas Jan Rudko do Żukowa, wsi jeszcze bardziej dzikiej, niż Opole lub Załajki. W Żukowie br. Marjan znał odpustowego przewodnika, mieszkającego w karczemnym niegdyś domu i utrzymującego sklepik spożywczy. Weszliśmy do obszernej karczemnej niegdyś izby, z glinianą podłogą. Powitała nas gospodyni, tłusta i brudna, ale żywa rusinka, średniego wieku, której kostjum składał się z rozchełtanej i podkasanej koszuli i fartucha. Izba przedstawiała obraz nieładu trudny do opisanja. Całe jej umeblowanie składało się ze wspólnej dla wszystkich pryczy do spania, gdzie teraz w barłogu przewracało się kilkoro brudnych dzieciaków, stołu, przy którym goście wiejscy zasiadali, a do którego zbliżyć się nie było można, by się nie przykleić i ławy, obiegającej izbę naokoło. Na piecu suszyły się grzyby, makówki i inne artykuły ogrodowizny. Półki, wprawione w ścianie, tworzyły uniwersalny skład rupieci: obok kawałków chleba leżały brudne »soroczki« i ścierki, z niemi sąsiadowały szklanki i inne naczynia dla gości przychodzących na piwo, jakieś połamane wrzeciono, stara czapka, garnek z resztkami je-

dzenia, fartuchy i wszystko możliwe, oprócz porządku. Brud, susząca się zieleń, zużyte szmaty, nagie dzieciaki, wszystko to wydawało wspólnie taką woń specyficzną a wybitną, że w pierwszej chwili myślałem, że mi nos sparaliżuje. Tłusta gospodyni, dowiedziawszy się, jakich ma gości, pobiegła gdzieś po męża, on zaś przyszedłszy i powitawszy nas, zastawił przed nami misę zimnej a tłustej szynki i parę butelek piwa. Są to przysmaki dla miejscowych gastronomów, nam jednak sam widok »szperki«, a jeszcze więcej panujący wszędzie brud i zaduch odebrał resztki apetytu. Wypiłem jednak parę szklanek piwa i kwasu domowego wyrobu.

Zanim nastąpi porozumienie się Unitów co do pracy misyjnej, nie miałem co robić, jak tylko położyć się spać. Gospodarz poprowadził mnie na strych, gdzie było siano. Druga, tylna połowa murowanego karcz-miska służyła za zajazd dla podróżnych, kiedy zaś ich nie było, zapędzano tam świnie, których zawsze gospodarz po kilka sztuk utrzymuje. Strych rozciągał się zarówno nad mieszkalną, jak i zajazdową stroną domu, więc łatwo wystawić, w jakich zapachach miałem się znajdować przez kilka godzin. Trudna rada...

Wieczorem z bólem głowy wygramoliłem się z tego śmierdzącego legowiska i pytam, czy będzie co do roboty. Proszą, aby ochrzcić czworo dzieci samego właściciela tego domu i dom poświęcić... nic więcej. Na wsi długo debatowano nad tem, czy przyjąć moją posługę kapłańską, czy nie; posłali nawet po radę do gospodarzy innej wsi, Konstantyna, i skończyło się na tem, że kazano mi wyjechać z niczem. Widocznie

niedowierzano mi. Nie pomogły moje perswazje i poręczenie karczmarza, nie chcieli zmienić zdania. Poczciwy ów właściciel karczmy zaprzągnął swego konika i w nocy odjechaliśmy do R ó ż a n k i pod Włodawą.

I tutaj trzeba było łamać pierwsze lody, gdyż unicka mniejszość, steroryzowana przez większość schizmatyczną, a kapłan misjonarz nigdy jeszcze do nich nie zaglądnął, by ich podnieść na duchu. Dwa lata temu miał tam być O. Pydynekowski, ale w drodze do tej właśnie wsi został zatrzymany przez policję. Około północy wjeżdżamy do wsi pełni obawy, aby nie natknąć się na wartę nocną. Natknęliśmy się jednak, lecz na szczęście wartownikiem był nie kto inny, jak ów właśnie człowiek, do którego mieliśmy zajechać, imieniem Michał, zajmujący się pszczelnictwem. Spotkaliśmy go siedzącego pod chlewkiem z pałką wartownicą w ręku. Schował zaraz u siebie nasze rzeczy, a nas samych poprowadził spać do stodoły swego brata; woźnica powrócił do Żukowa.

Środa, 12 sierpnia. — Raniutko zjawia się w stodołę Michał i budzi nas. — Co słyhać? pytam go. — Żle, odpowiada. Strażnicy nocują we wsi i miałem z nimi w nocy kłopot. Wychodząc od Ojca duchownego spotkałem trzech strażników na ulicy przed domem mojego brata. — Kto idzie? spytali. — Wartownik. — A pociąg chodził do tego domu? — Bo to dom mojego brata, a on leży chory, chodziłem go odwiedzić. — A może już umarł i pogrzeb pokryjemu wyprawiacie? Zobaczymy. — Weszli do chaty, w której wszyscy spali. Potem przeszli się po wsi, znaleźli paru wartowników śpiących, więc ich zanotowali,

wreszcie poszli spać w stodole na Stawkach (przytykająca do Różanki wioska). Dzisiaj napewno przyjęła do nas powtórnie.

Kazałem nie rozgłaszać na wsi o mojem przybyciu aż do odjazdu strażników i mszę świętą odprawiłem w śpichlerzyku wobec tylko kilkorga domowników. Z obcych przyniesiono jakąś kobietę sparaliżowaną do spowiedzi. Jakiś krakowianin, przybyły do dworu w Różance w charakterze felczera weterynarji, a teraz mieszkający w budynku szkoły cerkiewnej, zaopiekował się naszymi żołądkami, dostarczając do naszej kryjówki najpierw smaczną kawę, a potem skromny, lecz dobrze sporządzony obiad. Michał tymczasem przyczepił się do strażników, częstował ich wódką, chodził z nimi, gdzie było potrzeba i wreszcie w braku sołtysa sam się postarał o konie, by jaknajprędzej ze wsi odjechali. Nie mając nic jeszcze do roboty, poszedłem w charakterze znajomego do owej cerkiewnej szkoły, obejrzałem ją, dowiadując się, że przed rokiem była tu nauczycielką anarchistka, a i obecna nauczycielka, stołująca się u owego krakowianina, niewiele warta. Przynajmniej wcale nie myśli wpajać w dzieci zbytniego przywiązania do cara i prawosławia. Ze szkoły udałem się do dworu; chciałem zapoznać się z hr. Zamojską. Atoli nie zastałem jej w domu, służba zaś grająca w karty, podejrzewając we mnie jakiegoś kandydata na lokaja lub stangreta, bardzo niegrzecznie się obeszła ze mną, nie robiąc mi nawet nadziei, by hrabina przyjąć mnie chciała. Z powodu braku czasu, nie wracałem więcej do dworu.

Przed wieczorem rozpocząłem chrzczyć, a potem

zasiadłem do słuchania spowiedzi, co trwało przez całą nieledwie noc. Kilku mężczyzn przyjąłem do III Zakonu św. Franciszka, wkładając na nich obowiązki przygotowania misjonarzowi pracy we wsi. Msza święta odprawiona była w chacie; nauką zakończyłem swoją wizytę w Różance. Nie wiele wprowadzić się zrobiło, lecz jak na pierwszą wizytę — to dosyć. Przytem utrudniało mi i tutaj pracę niedowierzanie, które zdradzali zwłaszcza mieszkańcy ze Stawków.

Czwartek, 13 sierpnia. — Przed wschodem słońca odjechaliśmy do Dołhobród, wsi odległej od Różanki o 10 wiorst, położonej nad Bugiem w Bialskim powiecie. Pode wsią pokazano mi miejsce, gdzie był schwytany O. Pydynkowski; radziłem wystawić na tem miejscu krzyż pamiątkowy. Nie dojeżdżając do samej wsi, wysiedliśmy i poszliśmy pieszo, podczas gdy furmanka z rzeczami przystanęła obok stodoły jakiegoś znanego naszym prowodyrom unity. W chacie, do której nas zaprowadził Michał, wszystkich zastaliśmy jeszcze w pościeli, lecz kiedyśmy zapukali do okna, wpuszczono nas do środka. Na obszernych pryczach, ławie i podłodze leżało z 10 osób różnej płci i wieku. Jedna kobieta, synowa gospodarza, była nawet chora na tyfus, pomimo to spała razem ze wszystkimi. Nie mogąc wytrzymać przykrego zaduchu, panującego w chacie, prosiłem, aby poprowadzili mnie gdzieindziej na odpoczynek. Poprowadzono nas obydwoch do stodoły, stojącej jak latarnia na rozdrożu i otwartej na wszystkie strony. Nie było w niej nawet siana, więc musieliśmy rozłożyć się na snopkach prostej słomy, a właściwie na podłodze drewnianej,

mając snopki tylko pod głową. Trudno było zasnąć, tembardziej, że około stodoły ustawiczny ruch pano-
wał, zwożono bowiem zboże z pola. I do naszej sto-
doły coraz otwierały się wierzeje, składano snopy do
sąsiedka, to znowu wchodzili i wychodzili rozmaici
ludzie. Około południa zmęczonych raczej niż wypa-
nionych, poproszono nas do chaty jakiegoś innego go-
spodarza,¹⁾ gdzie jedząc coś w rodzaju obiadu, ga-
wędziliśmy z kilku unitami, którzy zeszli się na na-
radę co do urządzenia misji. Za dnia nie radzili roz-
poczynać roboty, z obawy zdrady sąsiadów schizma-
tyków. Wieczorem znowu ważyły się dwa zdania,
gdzie lepiej będzie urządzić pracę, czy w samej wsi
w domu Czepowskiego, gdzieśmy rano byli, czy też
po za wsią na »łęgach«, u gospodarza, który nas sam
usilnie do siebie zapraszał. Przeważały racje pierw-
szego zdania. Wysłuchałem najpierw spowiedzi cho-
rej na tyfus młodej Czepowskiej, którą przeniesiono
do osobnej komory, potem począłem chrzczyć dzieci,
których miało być bardzo wiele. Lecz zaledwie prze-
szło przez moje ręce kilkoro dzieci, kiedy zrobiła się
wrzawa i zamieszanie, z którego tyle tylko zrozu-
miałem, że trzeba coprędzej czmychać. Uciekaliśmy,
ja, brat Marjan i gospodarz domu, przez płoty, ogro-
dy, łąki, aż znaleźliśmy się u owego gospodarza,
który nas do siebie tak usilnie zapraszał. Przyczyna
popłochu była następująca. Pokazał się we wsi pisa-

¹⁾ Był to Błyskosz, który umarł w Rzymie 1904 r., jako
uczestnik pielgrzymki unickiej, ojciec późniejszego posła do
Dumy, na Sejm Ustawodawczy, a wreszcie senatora Rzeczy-
pospolitej Polskiej.

rek z kancelarji gminnej w Hannie z nauczycielem cerkiewnym. Zobaczywszy kilka osób, zmierzających ku Czepowskiemu, domyślali się, że tam zapewne odbędzie się nabożeństwo różańcowe i odezwali się głośno, ale żartem, że i oni przybędą na nabożeństwo. Jakiś chłopiec, jeden z »naszych policjantów«, usłyszawszy te słowa, zrozumiał, że pisarz wie o księdzu i wybiera się, by go aresztować. Rzucił więc popłoch wcale nie uzasadniony. Tym sposobem popsuł mi całą robotę, gdyż po takim popłochu trudno było gromadzić ludzi w świeżem miejscu, ruch bowiem większej ilości osób w jednym kierunku i to po za wieś, mógłby był spowodować istotne niebezpieczeństwo. Kazałem więc ukryć miejsce mojego schowania aż do rana, i rozgłosić, że mnie już niema we wsi, poczem wygramoliliśmy się z br. Marjanem na siano spać. Lecz niestety! Za naszym śladem w pół godziny przyszło już kilka kobiet z dziećmi i budzą mię z prośbą, abym je zaraz ochrzcił. Pragnąc, aby wieś stanowczo tej nocy się uspokoiła, a wiedząc, że czyniąc zadość prośbie jednych, spowoduję zaraz drugich, odmówiłem proszącym. Po kilkunastu minutach budzi mnie inna deputacja. Znaleźli się tutaj wysłańcy z Konstantyna i Żukowa z prośbą, abym wrócił do tych wsi, bo namyślili się i żałują swego postępku. Trzy razy leźli do mnie po drabinie, błagając, abym jechał z nimi, lecz odmówiłem im stanowczo, by ukarać ich za przedwczorajszą niewiarę i dać im naukę na przyszłość.

Piątek, 14 sierpnia. — Rano wysłuchałem kilka-naście spowiedzi, zawiązałem kongregację tercjarską,

odprawiłem mszę świętą, na której jednak niewiele było osób, bo za dnia nie łatwo było wydostać się ze wsi bez ściągnięcia uwagi schizmatyków. Zresztą wieść o bytności i ucieczce księdza już była zelektryzowała mieszkańców Dołhobród, nie wyjmując licznych schizmatyków.

W ciągu dnia trafiło się kilkanaście chrztów i znowu kilka spowiedzi. Przekradali się do mnie pojedynczo różnemi drogami. Przybył jeszcze i Michał z Różanki z wiadomością, że Żukowiacy i tam mnie szukali, a nadto że strażnicy dowiedzieli się, iż ktoś poprzedzającej nocy przyjechał do niego i wrócili do niego pytając, kto to był. Michał skłamał, że byli u niego krewni z Rudna. Po południu musiałem się śmiertelnie nudzić, gdyż nikt nie przychodził, ani do spowiedzi, ani na pogawędkę. Leżałem w trawie i czytałem »Naśladowanie«. Tymczasem dano znać do Dańców, aby stamtąd przybył kto po nas.

Wieczorem zgłosił się po nas młody chłopiec, grzeczny i miłej powierzchowności. Roku zeszłego poznał go br. Marjan i zabrał ze sobą do Krakowa. Był to brat młynarza Szulca z Dańców, łacińskiego obrządku. Chciał zostać księdzem i przez parę miesięcy uczył się u Misjonarzy w Czarnej Wsi, lecz dużo mu brakuje jeszcze do I. klasy gimnazjalnej. Przedtem służył on za pisarka gminnego w Hannie, obecnie bawił u brata na wakacjach. Pojechaliśmy z nim do jego brata, również młodego kawalera, dokąd przyszło kilku unitów, z którymi układaliśmy porządek pracy na jutro. Był między nimi jeden pocieszny staruszek, imieniem Osip. Jego to końmi jechał

O. Pydynkowski, kiedy był złapany. Chłopak z przed kancelarji gminnej umknął z końmi, tylko poduszka Osipa dostała się z księdzem do więzienia. »Szczota tam, ksiondzowi ta niczoho ne bude, ale poduszka to moja propała« — biadał nad swoją stratą prosto-dusznie. Osip z drugim unitą Poliańskim zabrali nasze kuferki i poprowadzili spać do Osipowej stodoły, stąd jednak, gdy się nie znalazło ani siana, ani słomy dogodnej do spania, wróciliśmy ze stratą czasu i drogi do stodoły Poliańskiego.

Sobota, 15 sierpnia, — Skoro świt, obudzono nas. Lud począł się schodzić do chaty Poliańskiego, zasiadłem więc do słuchania spowiedzi. Chłopi, a zwłaszcza chłopki tamtejsze bardzo źle mówią po polsku, a niekiedy wcale nie mówią i mówiących źle rozumieją. Obyczaje również nieco przygrube, chociaż serca bardzo poczciwe. Odprawilem im mszę świętą, po niej powiedziałem parę słów odpowiednich do święta Wniebowzięcia N. Panny, następnie udałem się z wiatkiem do chorego. Schizmatycy tego dnia pracowali w polu; że zaś unici mieli święto, więc schodzenie się ich do jednego domu nikogo nie raziło, gdyż często to czynią, zbierając się na różaniec i inne nabożeństwa.

Przyszła nam wesoła myśl zemścić się na pisarzu, który pomimo swej woli przyczynił się do nastrożenia nas w Dołhobrodach. Młynarz Szulc, dobrze w urzędzie gminnym znany, podjął się okazać w gminie nasze paszporty do poświadczenia, żeśmy w tych stronach byli i niczem przeciwko prawu nie wykroczyli. Nie chcąc jednak obydwóch naraz paszpor-

tów narażać na niebezpieczeństwo możliwej bliższej indagacji, oddaliśmy tylko jeden z nich, mianowicie br. Marjana, prosząc Szulca, aby okazał ten dokument w gminie dopiero po naszym odjeździe i w razie udania się fortelu przysłał takowy przez swego brata za nami do następnej wioski. Gminny urząd, który mieliśmy wyprowadzić w pole, był to ten sam, przy którym przed dwoma laty trzymano w areszcie przez parę dni O. Pydynkowskiego. W obiadowej porze załatwiłem wszystkie, jakie były we wsi, chrzty i bierzmowania, następnie zaś, aby Poliański miał w razie potrzeby jakieś tłumaczenie co do osoby przybyłego doń gościa, poszliśmy obejrzyć należący do niego wiatrak, jakobyśmy go kupić chcieli. Oglądaliśmy również wiatrak Szulca.

Przed wieczorem tegoż dnia odwiózł nas tenże Poliański do Ł y n i e w a, gdzie już wcześniej przez posłańca zapowiedziany był nasz przyjazd. Jechaliśmy przez schizmatycką wieś Montwicę i jakąś drugą. Świąta katolickiego, rozumie się, nie było tam znać wcale: lud pracował w polu. W przywiązanie jednak tego ludu do schizmy nie można było wierzyć. W Montwicy widzieliśmy ruiny spalonej przed siedmiu laty cerkwi, a parafja dotąd nie pomyślała o zbudowaniu nowej. Za to wieczorem spostrzegliśmy wielu powracających od pracy niby schizmatyków, ale z koronkami w rękach: widać odmawiali różaniec, tak surowo ścigany przez miejscowych popów. Poliański kilku spotkanych chłopów pytał o drogę do jakiejś miejscowości, do której wcale nie myśleliśmy jechać, a dowiedziawszy się od nich, że zblądził, drapał się

w głowę niby zakłopotany. Zapytany przeze mnie, dlaczego to czyni, odpowiedział filozoficznie: »Jeśli chcesz, aby nikt nie wiedział dokąd jedziesz, pytaj o drogę, którą wcale nie pojedziesz«. Ponieważ było nieco zawcześnie wjeżdżać do Łyniewa, więc zatrzymaliśmy się godzinkę w odludnym lesie. Na nasze spotkanie wyszedł jeden z tercjarzy łyniewskich i przysiadłszy się do nas, prowadził do domu przeznaczonego do pracy.

Łyniewo posiada kilku bardzo bogatych chłopów i szlachty na rozparcelowanych gruntach dworskich, lecz ma również dużo i prostego chłopstwa; stąd więc przedstawia mieszaninę warunków z nieodstępnymi w takim razie niezgodami, zawiścią, procesami. Stąd też pochodzi, że z takiego rodzaju sprawami, jak sprowadzenie księdza, muszą kryć się jeden przed drugim. Cała więc praca miała się odbyć w nocy, w najściślejszym sekrecie przed schizmatykami i łacinnikami. Sołtys, wtajemniczony w sprawę, rozstawił na nocną wartę odpowiednich ludzi, więc bezpieczeństwo było zapewnione. Słuchałem najpierw spowiedzi. O jedenastej w nocy wyszedłem do innego domu, gdzie zebrano potrzebującą chrztu świętego dziatwę w liczbie przeszło 70-ciu. Ochrzciłem wszystkich i udzieliłem bierzmowania tym, którzy bez spowiedzi mogli przyjąć ten sakrament, poczem powróciłem do pierwszego domu w dalszym ciągu słuchać spowiedzi.

Niedziela, 16 sierpnia. — Nad ranem odprawiłem mszę świętą, z komunją i nauką, a nadto przyjąłem profesję od tercjarzy w przeszłym roku przyjętych do nowicjatu. Zanim się dobrze rozwidniło, nabożeń-

stwo nasze już było ukończone. Zaraz też przeprowadzono mnie i br. M. na drugi koniec wsi do stodoły bogatego kolonisty unity Dokudowca. Utonęliśmy w sianie.

Tegoż poranku, kiedyśmy spali, trafił się po za wsią jakiś mały pożar, więc wkrótce u sołtysa zjawili się strażnicy z Wisznic i z nim podążyli na miejsce wypadku. Widok policji bezpośrednio po nabożeństwie misjonarza wywarł na niektórych silne wrażenie. O bracie sołtysa, u którego właśnie była msza, powiadano, że drżał ze strachu, sądząc, że już po niego strażnicy przybyli. Siedział potem cały dzień w stodole i dopiero wieczorem przyszedł do mnie. Strażnicy z Wisznic zdaje się coś o księdzu słyszeli, gdyż przed tygodniem poprzebierani w cywilne ubrania myszkowali nocami po okolicznych wioskach. Dochodziły mnie wieści o podobnych poszukiwaniach strażników z Sosnowicy, lecz wtedy ja byłem w Bialskim powiecie.

Dokudowiec ma ładne gospodarstwo z ogrodem owocowym, więc wypawszy się w stodole, używałem jeszcze wczasów na łonie natury pod jabłonią. Przybył z Dańców młodszy Szulc z paszportem br. Marjana, zaawizowanym w kancelarji gminnej. Obiad smacznie nam sporządziła ze szlachecka nosząca się unitka Pirogowiczowa. Przed wieczorem ochrzciłem uroczyście ze wszystkimi ceremonjami kilkoro dzieci z rodziny Dokudowców i całą rodzinę wysłuchałem spowiedzi.

Brat Marjan z rzeczami pojechał do Polubicz, skąd po mnie miał wysłać konie. Przyjechał Kalinczuk, ale dosyć późno, kiedy ciemna noc zapadła.

Trzepnął rześisty deszcz i taka zapanowała ciemność, że z dwóch naszych koni tylko jednego — białego widzieć mogliśmy, a drogi tylko tyle było widać, ile jej oświecała biała nasza szkapa. Wskutek tego parę razy zjechaliśmy do rowu, raz utknęliśmy dyszlem w sosnę, lecz szczęściem bez żadnego przypadku; wreszcie, wybrawszy się na szosę, śmieiej potoczyliśmy się ku Polubiczom. Nie mając czem się nakryć, przemokłem i przeziąłem porządnie, przyjechawszy więc do Polubicz nie miałem ochoty w nocy zabrać się do pracy, sądząc, że praktyczniej będzie po tej zimnej kąpieli wyspać się i wygrzać w sianie i ubranie przesuszyć.

Poniedziałek, 17 sierpnia. — Rano praca odbyła się zwykłym porządkiem: spowiedzi około 50 osób, msza święta, ceremonje tercjarские, nauka, wreszcie pobłogosławienie jednego małżeństwa i odwiedzenie chorego z Przen. Sakramentem. W tym roku postanowiłem śmieiej działać w tej wsi, aniżeli roku zeszłego, kiedy całą pracę ograniczyłem do obsługi tercjarstwa. Są wprawdzie schizmatycy wrogo usposobieni względem unitów, lecz zachęciłem tych ostatnich, by zbytnio nie bali się ich i na Pana Boga się spuścili: wszak trudno ustawicznie opuszczać sposobność pochrzczenia dzieci. A było dziatwy do 100, bo zbierała się już od czasów wizyty tej wsi przez Ks. Żyskara. Ponieważ jednak wiele ludzi było w polu, nie nie wiedząc o przybyciu misjonarza, ja zaś, mając już gotowe plany na noc następną, nie mogłem do ciemnej nocy oczekiwać na ich powrót, przeto z owej setki ochrzciło się zaledwie 35 dzieci.

O zachodzie słońca pojechaliśmy do Dubicy, dokąd nieco wcześniej odesłane już były nasze rzeczy. Po wsiach w pobliżu Wisznic codziennie kręcili się strażnicy i miejscowa administracja, czyniąc przygotowania do mających się odbyć manewrów, więc w dzień niepodobieństwem było pracować. Zaraz więc z wieczora zasiadłem do słuchania spowiedzi. Około jedenastej dano znać, że dzieci do chrztu już zniesiono do innego domu. Ledwie się tam wcisnął, taki panował natłok. Kazawszy postawić wiadro wody, zabrałem się z energją do roboty. Chrzcilem i chrzcilem, aż mi ręce i usta odmawiały posłuszeństwa, potlał się ze mnie, na podłodze utworzyła się sadzawka z rozlanej wody, a końca ani widać. Lud tak się tłoczył, że formalnie przypierano mnie do stołu; kilkanaście razy, kiedy prośby nie pomagały, musiałem własnymi rękami cisnących się odpychać od siebie, a najbardziej niesfornych i chcących uprzedzić innych wyrzucać do alkierza, by za karę dłużej poczekali na swoją kolej. Wreszcie zabrakło mi już sił i cierpliwości zarazem. Spojrzałem na zegarek: pół do drugiej, a ludu tyleż, co i na początku, bo na miejsce odchodzących napływały nowe fale. Zapytałem br. Marjana, ile naliczył udzielonych chrztów? Było ich już 155. Musiałem więc przerwać, tłumacząc, że ponieważ nie chcą utrzymać porządku i męczą mnie swem tłoczeniem się, więc reszty dzieci chrzcić już nie będę: niech poczekają drugiej wizyty. W rzeczywistości zaś przerwałem pracę, by jaknajprędzej odprawić mszę świętą i opuścić wieś przed wschodem słońca, zanim wójt do niej zjedzie. Wróciłem do poprzedniej chałupy i znowu

usiadłem do wysłuchania przynajmniej kilku jeszcze spowiedzi. Kwadrans po drugiej w nocy rozpocząłem mszę świętą, podczas której przystąpiło do komunji 40 osób. Ponieważ wskutek omyłki br. Marjana, pozostało kilkanaście nierozdanych komunikantów, więc po mszy i krótkiej nauce, w której ostro wystąpiłem przeciwko miejscowej praktyce wożenia nieboszczyków do popa, jeszcze raz zasiadłem do słuchania spowiedzi, by rozdać pozostałe święte hostje. Wschodziło słońce, kiedyśmy wyjeżdżali z Dubicy. Nigdzie dotąd w tak krótkim czasie, półsiódmej godziny, nie zgarnąłem tak obfitego żniwa (155 chrztów, 50 spowiedzi).

Wtorek, 18 sierpnia. — Przez miasteczko Rososz udaliśmy się do wsi K o z ł ó w, w powiecie Radzyńskim, na granicy Bialskiego, po drodze ze zmęczenia »wożąc żydy«. W Kozłach, tak samo jak i zeszłego roku, zatrzymaliśmy się u Onufrego Kulawca, trudniącego się ciesielką. Jeden z jego braci ma sklepik w Krakowie, drugi zaś, młodszy, był przez pewien czas u Br. Alberta, potem wróciwszy do domu zajmował się rozszerzaniem kólek żywego różańca, a ujęty przez policję, zdołał umknąć za granicę i wstąpił do OO. Bernardynów. Po wypiciu herbaty na śniadanie, poszliśmy do stodoły spać. Obiad sporządziła nam komornica gospodarza, jakaś wdowa po ekonomie, zajmująca się praktyką lekarską na szeroką skalę, niema bowiem dnia, aby nie zajechał do niej ktoś z dalszych niekiedy stron. Podczas obiadu br. Marjan robi niezwykłą minę, zdradzającą wielkie cierpienie. Rzuca łyżkę, mówiąc, że źle z nim i wychodzi do sto-

doły. Posłałem zaraz gospodarza, by go napowrót sprowadził. Bałem się, że nadchodząca burza i przeciągi mogą pogorszyć sprawę. Wróciwszy do chaty był całkiem zmieniony: tracił powoli władzę w jednej nodze, ręce, boku. Na szczęście mieliśmy pod jednym ze sobą dachem lekarkę, która zabrała się do chorego z całą energją. Nasmarowała mocną jodyną z eterem cały bok, a do wewnątrz również dała jakieś silne lekarstwo, które też zaraz swe skutki zaczęło wywierać. Chodziło o rozpalenie dotkniętego reumatyzmem boku i to się w zupełności powiodło i br. M. energją tej kobiety był uratowany od dłuższej choroby. Nie mogłem tego dnia rozpoczynać żadnej pracy, z obawy, że może trzeba będzie przywołać doktora do chorego, a samemu usunąć się z tej wsi: siedziałem przy chorym i czekałem co będzie dalej. Wieczorem jednak miał się chory znacznie lepiej, przyjął posiłek i naparł się iść ze mną do stodoły. Dostał jeszcze w nocy bólu głowy, lecz na rano był już zdrow. Mogliśmy więc rozpocząć pracę.

Środa, 19 sierpnia. — Przeniósłszy się od Kuławca do innego domu, wysłuchałem najpierw 49 osób spowiedzi, poczem odprawiłem mszę świętą z nauką, i odebrałem profesje tercjarskie i inne ich sprawy pozałatwiałem. Po obiedzie począłem chrzczyć w paru chatach na przemiany. Chrztów było 120, bierzmowania udzieliłem 90 dzieciom. Jeszcze przed samym naszym odjazdem zgłosił się chłop z drugiej wsi, który przywiózł ze sobą odrazu 8-ro swoich dzieci. Tak tym jak i poprzednio ochrzczoneym prawie wszystkim »ku-

mowała« owa dzielna lekarka, której zawdzięczaliśmy pomoc bratu Marjanowi.

Z Kozłów niedaleką mieliśmy drogę, bo tylko dwie wiorsty, do Wólki Korczowskiej, w powiecie Bialskim. Nie wielka to wioska, ale ponieważ nigdy do niej misjonarze nie zaglądali, więc uzbierało się w niej niemało chrztów »do poprawienia«. Z liczby 54 osób, które tam zaraz z wieczora ochrzciłem, niektóre już były w stanie małżeńskim. Małe dzieci otrzymały jednocześnie sakrament bierzmowania. Dorastająca młodzież w liczbie kilkunastu osób obojej płci, po naradzeniu się między sobą, sama prosiła o sakrament bierzmowania, przed którym wszyscy przystąpili do spowiedzi. Oprócz nich niewiele osób się spowiadało, tak iż beczynn timer musiałem czas pewien oczekiwać godziny odpowiedniej na mszę świętą. Rozpocząłem mszę o godzinie pół do trzeciej, podczas mszy dałem komunię, a po mszy powiedziałwszy kilka stosownych *ad hoc* uwag, udzieliłem młodzieńcom i dziewczętom sakramentu bierzmowania.

Czwartek, 20 sierpnia. — Podczas mszy zaczął padać ulewny deszcz. Proszę o konie, na co mi odpowiadają, że w taką niepogodę nikt nie zechce jechać. »Jako, krzyknąłem, ja mogę na taką pogodę jechać do was, a wy koni będziecie żalowali? Dla misjonarza niema niepogody. Gdyby wszędzie na pogodę czekał, niewieleby zrobił w tym roku, a i wy nie oglądali byście zapewne księdza u siebie«. Wystarali się o konie, mnie i brata Marjana okryli kocami. Ruszyliśmy do Walinny; tymczasem i deszcz powoli ustawał. Cały czwartkowy dzień przeznaczyłem w Wa-

linnie na odpoczynek i gawędę wśród znajomych już mi tercjarzy.

Piątek, 21 sierpnia. — Wysłuchawszy zrana spowiedzi dwudziestu kilku osób, przeważnie tercjarzy i niedołącznych starców, chcę wyjść ze Mszą św. Proponują mi iść ze mszą do kaplicy, stojącej przy gościńcu w środku wsi i mogącej pomieścić wygodnie większą liczbę osób. Z początku wahałem się odprawić tak publicznie mszę świętą, lecz zdecydowałem się na propozycję, kiedy zapewniać poczęli, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Kaplica ta pochodzi jeszcze z unickich czasów. Schizma się na nią nie zła-komiła, ani jej nie rozebrała, miejscowi zaś chłopci podtrzymują ją, o ile mogą, od ruiny i schodzą się do niej na prywatne odmawianie różańca, majowe nabożeństwo i inne tego rodzaju. Jest tam i ołtarz z obrazem Matki Boskiej różańcowej, ale nienia, rozumie się, relikwji w ołtarzu. Kiedy się zeszli do tej kaplicy pobożni w liczbie około 150 osób, zamknięto drzwi, żeby nic z ulicy widać nie było, sam jednak szept modlitw, a tembardziej głos księdza i dzieci, które z matkami były, wystarczyły do zdradzenia tego zgromadzenia, gdyby policjant gościńcem przejeżdżał. Tylko nie ośmieliłby się wejść pomiędzy tyle narodu. Odprawiłem mszę świętą na ołtarzu, z obrazu Matki Boskiej wziąłem assumpt do przemówienia o Matce Najświętszej, jako obronicielce tego ludu przed schizmą i zachęty do dalszej czci Najśw. Panny różańcem świętym. Podczas mszy rozdałem komunję św. Lud był bardzo rozczulony, że msza święta odprawioną została tak uroczyście, względnie do tam-

tejszych warunków, a kiedym przemówił do nich prostymi słowami, widziałem, że bardzo im trafiają do serca i łyż im wyciskają. Po mszy świętej dałem na pożegnanie swój zakonny krzyżyk wszystkim do pocałowania i kazałem rozejść się do domów. Sam zaś rozebrawszy się z szat świętych, poszedłem z Wija-tykiem do chorego. Lud klękał przed Panem Jezusem, chociaż przechodziłem okryty sukmaną.

Wśród dnia poświęciłem jednemu gospodarzowi chatę, u drugiego zaś obejrzałem biblioteczkę, zachęcając do jej pomnożenia i pożyczania książek sąsiadom. Po obiedzie, sporządzonym przez jakąś warszawską ex-kucharkę, poszedłem do lasu, by nieco odetchnąć aromatycznym powietrzem. Wracając stamtąd, spotykam w polu kobiecinę, pytającą mnie o drogę do Wólki Komarowskiej. »Pochodzę, powiada, z tych stron, alem zapomniała drogi, bo już od wielu lat jesteśmy na wygnaniu w Orenburgu. Stamtąd wybrałam się do Częstochowy, a przy okazji chcę krewnych poodwiedzać«. Wskazałem jej drogę.

Najwięcej nagawędziłem się ze Stefanem, właścicielem wspomnianej biblioteczki, który i kolosalnym swym wzrostem góruje nad wszystkimi sąsiadami i dobrem życiem i przywiązaniem do Kościoła i wiary wskazuje innym drogę. On chrzci dzieci w swojej wsi, spisuje nawet metryki, on naradza się z proboszczem nad sposobami umoralnienia ludu, on jest przełożonym tercjarzy, stawia krzyże, on też czasami ugaszcza strażników, aby nie zbyt gorliwie wtrącali się w sprawy unickie.

Przed wieczorem ochrzciłem, a właściwie dopeł-

niłem ceremonji i pobierzmowałem te dzieci, które od mojej ostatniej wizyty przyszły na świat w Walinnie i kilkoro z sąsiedztwa. O zmierzchu odjechaliśmy do W o r o ń c a. Ponieważ w Worońcu chrztów było niewiele, gdyż byłem tu również roku zeszłego, więc załatwiłem się z niemi zaraz po przybyciu z wieczora. Do spowiedzi kazałem zebrać się na drugi dzień. Noc przepędziłem w spichlerzu na podłodze, na którą rzucono garść słomy.

Sobota, 22 sierpnia. — Zrana wypowiadałem garstkę tercjarzy i parę innych osób, poczem wybrałem nową przełożoną tercjarek i odprawiłem mszę świętą. Po mszy odjechałem z br. M. do D a w i d ó w. Po drodze mieliśmy zamiar wstąpić do Brzozowego Kąta, aby dzieci pochrzcić, lecz przejechaliśmy wieś całą, a nikt nas nie zatrzymał, tak jak było umówionem. Nie wiedząc, dokąd wstąpić, pojechaliśmy dalej. Wyszedł ktoś przeciwko nam, ale już za późno. Do Dawidów wjeżdżaliśmy prawie w południe, a ponieważ zna nas doskonale prawie cała wieś, więc też zaraz zbiegło się niemało ludzi na przywitanie. Zapowiedziawszy pracę na niedzielę, na wieczór obmyśliłem inną ryzykowną robotę. Chciałem koniecznie wpaść do J a b ł o n i a, wsi wielkiej, ale niezmiernie zaniedbanej pod względem religijnym. Wielu odstąpiło od wiary, inni trzymają się jej połowicznie, posyłając dzieci do cerkiewnej szkoły. Przytem całe pokolenie młode aż do 28 lat wieku Bóg wie jak ochrzczone. Nikt z misjonarzy nie śmiał zaglądnąć do tej wsi, obawiając się trudności. Jest tam dwór, cerkiew, szkoła, gmina, więc dużo posiada elementów przedstawiają-

cych niebezpieczeństwo. Bądź co bądź, trzeba było koniecznie i to zatechłe bagno poruszyć, lud ospały zelektryzować i na duchu podnieść, a główna chrzty wątpliwe ponaprawiać. Wysłałem tedy do Jabłonia jednego z tercjarzy dawidowskich na wywiady, azali nie zechcą, abym w nocy do nich przyjechał. Posłaniec wrócił z dwuznaczną odpowiedzią, z której można było się domysleć, że niektórzyby chcieli tego, ale nikt nie ma chęci być inicjatorem odpowiedzialnym. Prosiłem ich o przysłanie koni na znak przyjęcia propozycji, tymczasem zapadła noc, a koni nie było. Pomimo to nie chciałem cofać się przed trudnościami; poprosiłem o konie z Dawidów i późnym wieczorem, obaj z br. M. udaliśmy się do Jabłonia; droga wynosi wszystkiego tylko cztery wiorsty. Nie dojeżdżając do wsi, zatrzymaliśmy się na drodze. Woźnica pobiegł do wsi zapytać kogo, czy przygotowani są na przyjęcie księdza. Znalazł gdzieś kilku gospodarzy, radzących jeszcze nad tą sprawą, lecz nie mogących przyjść do porozumienia. Teraz, słysząc że ksiądz już przed wsią, nie mieli wyboru. Jeden z nich wyszedł naprzeciwko nam, aby oprowadzić nas tylną po za stodołami drogą, gdyż w głównej ulicy siedzieli jeszcze po pod ścianami chłopci i baby, ciesząc się ładnem powietrzem i pogodą. Trzeba było ich wyminąć. Poszliśmy przez ogrody, ale i tam natrafiliśmy na przeszkodę. Na ogrodzie, przez który wypadło nam przechodzić, rozłożył chłop ognisko, na którym smażył dobitego chorego wieprza. Smugi światła oświecały naokoło ogrody i stodoły, gromada ludzi stała na ogrodach, przyglądając się tej robocie, i my musieliśmy

przełazić obok nich przez płoty i skakać przez grządki warzywne. Dobraliśmy się wreszcie do jakiejś chaty, w której zaraz zamknięto okiennice, a gospodarz pobiegł na wieś, aby zgromadzić choć kilku sąsiadów na nową naradę. Po półgodzinnem oczekiwaniu miałem ich przy sobie zaledwie sześciu czy ośmiu. Oznajmiwszy im o celu swego przybycia w te strony, wystawiłem im żywo smutny ich stan religijny i nie dbałość naganne, że dotąd nigdy kapłana do siebie nie sprowadzili, chociaż musieli wiedzieć o odbywających się corocznie w tych okolicach misjach; przedstawiłem im, jak narażają dusze swych dzieci, poprzestając na niepewnych chrztach, udzielonych przez babki wiejskie, i posyłając swe potomstwo do szkoły cerkiewnej, choć tam grozi im zupełna utrata wiary. Kiedy wreszcie na pytanie, czy pragną, abym im dzieci pochrzcił, otrzymałem twierdzącą odpowiedź, postawiłem warunek, aby każdy ojciec lub matka, pragnąca chrztu dla swoich dzieci, przysięgła mi, że nigdy posyłać nie będzie swych dzieci do szkoły cerkiewnej. Obecni złożyli żądane przyrzeczenie, tylko jeden się wahał, ale zdaje się, że i on wreszcie poszedł za przykładem innych. Kazałem im zaraz poznać swoje dzieci, co się zaś tyczy innych, to poleciłem niewiele dzisiaj rozgłaszać po wsi, lecz naprzód przez rozmowy dobre i przykład swój spowodować we wsi jakąś poprawę, przygotować na przybycie misjonarza i sprowadzić go w razie ponownej bytności w tych stronach. Nie bardzo jednak usłuchali tego ostatniego punktu: każdy chciał przysłużyć się swoim krewnym i sąsiadom i stąd w krótkim czasie cała wieś zerwała

się ze snu. Położenie stało się nieco groźne, z powodu wielkiego ruchu, jaki zapanował we wsi, przy braku jakichkolwiek ostrożności i ubezpieczenia się z naszej strony. Nie było jednak w mojej mocy zapobiedz temu, co inni czynili, więc poleciwszy się opiece Bożej, począłem chrzcić. Powtórzyła się scena z Dubicy. Pchano się tak, że ruszyć się nie można było w chacie. Praca nie mogła iść szybko, gdyż starszą młodzież, przed udzieleniem chrztu, musiałem pytać przynajmniej o cztery niezbędne do wiadomości prawdy wiary świętej, przyczem ze smutkiem przekonałem się, że wielu chłopaków i dziewcząt dorosłych nie wiedziało ilu jest Bogów. Odsuwałem takich od chrztu, zanim się nauczą choć cokolwiek katechizmu. Dzieci, które chodziły do szkoły cerkiewnej, musiały mi przyrzekać, że więcej do niej nie pójdą. Przez dwie przeszło godziny ochrzciłem 100 osób. Dzień się zbliżał, trzeba było koniecznie wynosić się. Zostało nieochrzczonych kilkanaścioro z tych, którzy przyszli do chrztu, a wogóle we wsi obliczano jeszcze potrzebujących chrztu mniej więcej na 150 osób. Zostawiłem kilka egzemplarzy instrukcji, jak chrzcić prywatnie, bo babki tamtejsze wcale formy nie zachowują. Obiecałem przybyć znowu do Jabłonia, jeśli kiedy zawitam w te strony, a oni się poprawią i ze szkołą rozbrat wezmą. Poczęło świtać, kiedy odjeżdżaliśmy do Dawidów.

Niedziela, 23 sierpnia. — Po powrocie z naszej wycieczki rzuciłem się w ubraniu na krótki spoczynek. Długo nie można było spać, gdyż o szóstej już było niemało ludzi do spowiedzi. Przetarłem zaspane

oczy wodą i zasiadłem do spowiadania. Msza święta odprawiona została o godzinie 9 rano, podczas niej przystąpiło do komunji przeszło 60 osób. Po mojej mszy i nauce popochodzili jeszcze niektórzy do kościoła, ja zaś przespałem się trochę, a potem wlażłem w śliwki do jakiegoś sąsiadującego z moim gospodarzem unity. Do wieczora niewiele już miałem roboty, bo tylko ochrzciłem i pobierzmowałem te dzieci, co w ostatnim roku przyszły na świat w Dawidach i kilkoro przyniesionych ze wsi Czeberak. Na następną noc zamierzałem urządzać podobną do poprzedniej wycieczkę do Rudna, wsi również jak Jabłoń opuszczonej i nie mniej niebezpiecznej. Wysłałem tam posłańca, który przyniósł pomyślną odpowiedź, koni jednak wieczorem nie było po nas, co uważałem za znak, iż coś stało na przeszkodzie naszym planom. Rzeczywiście, jak się dowiedzieliśmy później, trafił się tam wypadek utopienia dzieciaka i z tego powodu oczekiwano we wsi policji. — Zamiast więc do Rudna, zdecydowałem się jechać do W i s e k, dokąd przybyliśmy wcale tego dnia nieoczekiwani. Nie kazałem zgromadzać się w nocy, lecz dopiero na drugi dzień rano. Sam udałem się na spoczynek do stodoły.

Poniedziałek, 24 sierpnia. — Z samego rana wysłuchałem, co było, spowiedzi, odprawiłem mszę św. i poszedłem z Wijatykiem do chorego. Wysłałem posłańca do Brzozowego Kąta z zawiadomieniem, że ponieważ poprzednio nie dopilnowali się, więc dzisiaj przybędę do nich pieszo około południa i kazałem, aby ktoś na mnie przede wsią oczekiwał. W odpowiedzi na to zawiadomienie, zamiast oczekiwać na mnie,

przybiegło kilka kobiet z dziećmi tłómacząc, że dla nich bezpieczniej jest załatwić się w obcej wsi i że do Brzozowego Kąta niema właściwie po co przybywać. Jest to zwykła taktyka tych wszystkich, co chcą niebezpieczeństwo odpowiedzialności zwalić na cudzą głowę i dlatego unikają przyjęcia księdza u siebie. Zrobiłem im z tego powodu wymówkę, lecz dzieci im ochrzciłem i wizyty w Brzozowym Kącie zaniechałem. Poczęły się schodzić i miejscowe kobiety ze swemi dziećmi, więc rozłożyłem robotę na dobre. Kiedym już ochrzcił dwadzieścioro dzieci, robi się nagle jakiś szmer między obecnymi ludźmi. Pytam, co takiego się stało i dowiaduję się, że dopieroco przejeżdżał ulicą strażnik i że zajechał do sołtysa. W takich razach niema czasu na chłodne refleksje. Rozebrałem się i pytam, gdzieby można było schronić się na chwilę. Przybyły z sąsiedniej wioski chłop, Dawid Walma, proponuje mi, abym pieszo udał się do jego wsi, Derewicznej. Ponieważ to było niedaleko, więc się zgodziłem na to. Uciekamy więc przez podwórze, ogród i stodołę w pole i pełną drożyną śpieszymy do Derewicznej, odległej od Wisiek 5 wiorst. Kobiety z dziećmi pokryły się, gdzie która mogła. Było parę furmanek z innych wsi, jedna para do ślubu, wszystko to szuka najciaśniejszych po stodołach kątów. W drodze opowiada mi Walma o szczegółach grożącego niebezpieczeństwa. »Przybyłem, powiada, aby się zobaczyć z Ojcem, bom wiedział, że do nas Ojciec nie ma zamiaru wstąpić. Podczas gdy siedział w izbie, a Ojciec chrzcił dzieci, coś jakby tknęło mnie, żeby wyjść na ulicę i zobaczyć, czy też pilnuje kto na końcu

wsi. Na ulicy stało kilka kobiet z dziećmi, z domu dolatuje płacz, a tu nikogo z mężczyzn nie widać, co by ostrzegł, jeśliby było niebezpiecznie. Wyszedłem na koniec wsi, patrzę na boczną dróżkę: starszy strażnik z Przegalin jedzie do wsi. Biegnę napowrót, spędzam z ulicy stojące kobiety i zamykam drzwi domu, gdzie Ojciec chrzczył, szepnąwszy tylko babom, żeby były cicho, bo strażnik jedzie. Sam stanąłem za węgłem domu. Strażnik minął ten dom i pojechał o parę chałup dalej do sołtysa. Wtedy dopiero dałem znać Ojcu, by Ojciec uciekał, bo strażnik może umyślnie w tym interesie przyjechał». Pochwaliłem mu to, że pospędził baby z drogi i drzwi zamknął, ale gniewał się za to, że spłoszył mnie bez potrzeby. Należało chwilę poczekać, dowiedzieć się, po co strażnik przybył. Na ucieczkę dosyć było czasu, gdyby strażnik z sołtysem zbliżał się do chaty. Żał mi było, że tak prędko zdecydował się na ucieczkę, ale wracać z drogi było trudno, gdyż była obawa spotkania się ze strażnikiem. Przybyłem do Derewicznej, do chaty Mikołaja, zajmującego się krawiectwem we wsi.

Po chwili przyjechała za nami owa młoda para, przybyła z Dawidów do Wisiek dla wzięcia ślubu. Przywieźli ze sobą walizkę z utensyljami, brakowało tylko komży, którą w popłochu chwyciła któraś baba do fartucha i uniosła do swej chałupy. Dowiedziałem się, że cały popłoch wywołał Walma bez potrzeby: strażnik wstąpiwszy do sołtysa zapytał, czy wszystko w porządku, a otrzymawszy odpowiedź: »wsio błago-połużno« poprosił o garść siana dla konia i pojechał dalej.

W braku komży ubrałem się w albę, wysłuchałem młodą parę spowiedzi i dałem ślub. Odjechali zaraz do domu. Po pewnym czasie przybył i br. Marjan pieszo, niosąc ze sobą znalezioną komżę. Oznajmił, że do Wisiek niema potrzeby wracać, bo tylko kilkoro dzieci zostało, a i te z wody ochrzczone dobrze. Postanowiłem więc urządzić nadprogramową pracę w Derewicznej. Bywał tam O. Pydynkowski, byłem ja w przeszłym roku i O. Wolszegier, ale nigdy nie robiło się nic około dzieci, gdyż z wody wszystkie są dobrze ochrzczone, a ceremonie dopełniać nie jest rzeczą tak nagłą. Teraz radziłem skorzystać z mojej niespodziewanej wizyty i zgromadzić w kilku miejscach wszystką działwę do dopełnienia ceremonji i bierzmowania. Wieczorem zgromadzono dzieci w trzech chatach; było ich przeszło 60-ro, oprócz tego trafiło się kilkoro starszych, które trzeba było ochrzcić sub conditione. Do północy załatwiłem się ze wszystkimi; zapisałem nawet wszystkie do metryk. — W nocy przybyła jeszcze jedna para do ślubu, którą pobłogosławiwszy, położyłem się w ubraniu w komorze na podłodze, aby się trochę zdrzemnąć, zanim przygotują konie do dalszej drogi.

Wtorek, 25 sierpnia. — Pomiedzy drugą a trzecią godziną po północy wyjeżdżaliśmy z Derewicznej. Ponieważ pobliza wioski były mniej więcej obsłużone, a do Rudna wskutek nieszczęśliwego tam wypadku nie można było jechać, więc uradziliśmy z br. Marjanem zbliżyć się już do kolei, odwiedzić wioskę Lisia Wólkę i tam zakończyć misję. Z Derewicznej do Lisiej Wólki jedzie się przeszło dwie godziny, po

większej części lasami. Przejeżdżając przez las, nastraszyliśmy się trochę. Konie parsknęły i ujrzeliliśmy na szosie coś, jakby siedzącego człowieka. Krzyknęliśmy: »Kto tam?« Żadnej odpowiedzi. »Kto tam?« Cicho. Może jaki złodziej chce nas w ten sposób zatrzymać. Woźnica zszedł z wozu i z biczyskiem podszedł ku »zbójowi«. Znalazł jednak tylko dwa snopy owsa, zgubione zapewne przez złodziei, uprawiających w tamtych stronach rzemiosło kradzenia zboża z pola. Odłożył snopy na bok i pojechaliśmy dalej. Po kilku minutach powtórzyła się ta sama historia, tylko już bez strachu i wołania z naszej strony.

Rozwidniło się, kiedyśmy stanęli w Lisiej Wólce. Niema tam wcale schizmatyków, ale za to są koniokrady. Cała wieś była już uprzedzoną o naszym przybyciu, więc nie było potrzeby ukrywać się z przyjazdem. Zajechaliśmy najpierw do jakiegoś chłopca, nazwiskiem Kalinowskiego, lecz ten odprowadził nas do innego, Piotra Kornieszczuka. Chata czysta i widna, kawałki tapety pokrywały ścianę nad łóżkiem. Urządziliśmy naprędce ołtarz, na którym odprawiliśmy mszę świętą w obecności samych tylko domowników, zachowując publiczne nabożeństwo na dzień następny. Po mszy i śniadaniu poszliśmy do stodoły na odpoczynek.

Po obiedzie, który nam sporządziła jakaś zwinna dewotka, imieniem Marjanna, kazałem zgromadzać do jednego domu wszystkich potrzebujących chrztu świętego. Przed 18 laty był w tej wsi misjonarz i pochrzczył wszystkich i chrzcic prywatnie nauczył; ja przeto miałem dopełnić tylko ceremonii chrzestnych

względem tych wszystkich, którzy się urodzili w przeciągu ostatnich 18 lat, a umrzeć nie zdążyli. Bierzmowania nie życzyli sobie przyjmować, gdyż mieszkając przy kolei, mają ułatwioną komunikację z Warszawą i Lublinem, gdzie mogą przyjąć ten sakrament z rąk biskupa. Przez parę godzin napływali do chaty, gdzien dopełniał ceremonji chrzestnych, i mali i więksi, natłoku jednak nie było, gdyż przychodzili stopniowo, w miarę jak inni się usuwali. Tercjarka Marjanna pełniła obowiązki diakonisy, rozpinając dziatwę do namaszczenia olejami, pytając o imiona etc. Przeszło przez moje ręce tego dnia więcej niż 150 osób. Wieczorem zasiadłem do słuchania spowiedzi, których miałem dosyć dużo. Kilka par zgłosiło się do ślubu. Chcąc obsłużyć jaknajwiększą liczbę osób, odłożyłem mszę świętą na późną godzinę ranną, w nocy zaś o jedenastej godzinie przerwałem pracę, pozostawiając resztę spowiedzi na drugi dzień. Sprawiły kłopot nadciągające z sąsiedniej wsi Bezwole furmanki z dziećmi do chrztu. Proponowałem przybyłym, aby wrócili do domu i inni na drugi dzień do siebie zabrali; byłoby tam kilkaset dzieci do chrztu, a przytem chrzty z wody są niepewne; lecz odpowiedzieli mi, że do nich przybyć nie można, bo nie wszyscy żyją w zgodzie i jedni drugich się obawiają. Ochrzcilem więc kilkoro dzieci i odprawivszy przybyłych do domu, powiedziałem gospodarzowi Korne szczukowi, aby więcej postronnych gości w nocy nie przyjmował, lecz odprawiał ich jakoby księdza już nie było. Sam tymczasem udałem się na krótki spoczynek.

Środa, 26 sierpnia. — Na drugi dzień wschód

słońca zastał mnie już na nogach. Wbrew memu życzeniu, oczekiwało znowu kilka furmanek postronnych. Miejscowi poczęli się zgromadzać na mszę. Do godziny ósmej słuchałem znowu spowiedzi, odprawiłem kilka chrztów i pięć ślubów. O ósmej i pół rozpoczęła się msza święta, podczas której przystąpiło do komunji przeszło 70 osób. Ostatnie to nabożeństwo misyjne zakończyłem krótką nauką i zaraz rzeczy mszalne przez umyślnego posłańca odesłałem do Oswy, rozkazując wyprawić je stamtąd do Milanowa, gdzie miały panny szpitalne wyprać bieliznę i przechować wszystko do następnej misji. Zgłosiło się jeszcze kilka osób prosząc o to lub owo, lecz nie mając przy sobie ani stuły, ani olejów, nie mogłem prośbom ich zadosyć uczynić. Gotowaliśmy się do drogi. Pozrzucaliśmy czapki i sukmany, a natomiast wzięliśmy czystą, prasowaną bieliznę, kurtki, palta i kapelusze. Zjadłszy obiad, odjechaliśmy na kolej do stacji Białki pod Radzyniem. Jedzie się tam z Lisiej Wólki przeszło godzinę. Odwoził nas chłop nazwiskiem Juszczyk, którego brat jest podobno urzędnikiem przy policji we Lwowie. Chwalił się przede mną, że jest specjalistą od zamawiania róży. Opowiedział mi o całej ceremonji i twierdził, że bardzo to pomaga. Cała manipulacja polega na spaleniu kilku kłaków lnu na papierze, gdzie przedtem rysuje się krzyż i monogram Matki Boskiej. Wymawia się przytem jakieś słowa i... skutek niezawodny. Nazywa się to — wypisać komuś różę. Nie dał sobie wytłumaczyć, aby to było grzechem. Inni znowu są specjalistami od zamawiania wścieklizny, inni od dmuchania, gdy kogo

brzuch boli etc. Lud ślepo wierzy tym szarlatanom, i o oni sami powoli nabierają wiary w skuteczność swych zabobonów.

W Białce wsiedliśmy do wagonu, z zamiarem jazdy do Sokołowa, aby wywieść się o tamtejszych unitach. Zaraz za Radzyniem zjawił się w wagonie jakiś szuler, proponując hazardową grę w karty. Jeden chłop dał mu się namówić, najpierw wygrał rubla, lecz zaraz potem rubel po rublu zaczęły przechodzić do kieszeni oszusta. Zerknąwszy okiem na chłopą, przestrzegłem go gestem, aby grać zaprzestał, jeśli nie chce, by go obrano do ostatniej kopiejki, a następnie zwróciłem uwagę konduktora na owego wydrwigrosza. Zakazał mu grać, ale zakaz nie skutkował; dopiero kiedy się rozpoczęła czynna awantura między jednym z ogranych, a oszustem, konduktor natarczywiej wdał się w tę sprawę i na stacji obu ich wysadził. Nie oddał ich jednak w ręce żandarma niewątpliwie z tego powodu, że sam nie był bez grzechu; wioził bowiem obydwóch delinkwentów bez biletu.

W Sokołowie odwiedziłem najpierw dziekana, Ks. Marmo, pytając, czy niema czego do roboty. Odpowiedział, że wszyscy unicy w jego dekanacie dostatecznie są obsłużeni przez miejscowe duchowieństwo. Brat Marjan poszedł na zwiady do szewca Stefana Małyszki, który dawniej pomagał naszym Ojcom w pracy. — Od dziekana poszedłem na miasto, by odzyskać mieszkanie adwokata Oluchy, którego syn kolegował ze mną w seminarjum plockiem. Będąc już na czwartym kursie umarł na suchoty w domu rodzicielskim. Przed samą śmiercią poczał jeszcze pi-

sać do mnie list, którego jednak nie zdołał już dokończyć. Wyręczył go w tem ojciec już po śmierci Tadzia. List ten, jako pamiątkę po dobrym Tadzium, przechowywałem starannie, a jadąc na Podlasie zabrałem go ze sobą, spodziewając się, że odda mi usługę. Woźny sądowy zaprowadził mnie do mieszkania pp. Oluchów, mieszkających we własnym domku po za miastem, gdzie zarekomendowawszy się okazaniem owego listu, zostałem z wielką radością przyjęty i zaproszony na noc.

Czwartek, 27 sierpnia. — Przenocowawszy u pp. Oluchów, poszedłem na mszę świętą do kościoła, a następnie szukałem mieszkania Małyszki. Nie zastałem już tam br. Marjana, który odjechał do Siedlec. Poczciwy Stefan poinformował mnie lepiej niż ks. dziekan. Nie przeczył, że miejscowi księża dużo robią, ale zaręczał, że i nasza praca gwałtownie jest potrzebną. Wiele chrztów nieważnych, małżeństw nieprawidłowo zawartych, spowiedzi zaniedbanych, dziatwa do szkół cerkiewnych chodzi, a miejscowi księża przeciwko temu nie występują. Prosił więc, abyśmy wznowili nasze misje i w Sokołowskim powiecie. Zrobiłem mu nadzieję na przyszłość.

Po obiedzie odjechałem do Warszawy. Towarzyszył mi syn Oluchy, urzędujący na kolei jako telegrafista. Wszedłszy do wagonu, ujrzałem twarz mi znajomą, nie mogąc wszakże przypomnieć sobie, kto to jest. Ten człowiek również pilnie się wpatrywał we mnie. Powiada mi, że jestem bardzo podobny do jednego księdza, który jest teraz w zakonie zagranicą. Powiedziałem mu, że trafiają się ludzie podobni

do siebie, jednak widziałem, że odpowiedź go nie zaspokoila, owszem głos mój utwierdzał go w podejrzeniu. Mnie przypomniało się, kto to taki. Był to dawny kościelny z mojej rodzinnej parafji. Bojąc się, aby utwierdziwszy się w zdaniu co do tożsamości mojej osoby, nie zdradził mnie nieostroźnie wobec innych podróżnych, zawałałem go na bok na stacji Siedlce i kazałem mu milczeć, że mnie widział. Rozpłakał się z rozczulenia i obiecał, że nawet przed swoją żoną nic nie powie. Nie wytrzymał jednak, by jeszcze raz ze mną nie pomówić. Na Pradze przybył za mną do doróżki prosząc, bym mu wystarał się o miejsce kościelnego, gdy będę jeszcze w tych stronach.

Piątek i sobota, 28, 29 sierpnia. — W Warszawie bawiłem cały piątek, mieszkając w Hotelu Europejskim. Odwiedziłem znajomych i załatwiłem paszportowe formalności. Br. Marjan odjechał naprzód do Częstochowy. W sobotę rano odjechałem do Krakowa, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. O godzinie dziesiątej wieczorem stanąłem szczęśliwie w kolegium na Wesołej.

Na drugi dzień rano wasy poszły do pieca.

Przez cały czas wycieczki tegorocznej:

S p o w i e d z i wysłuchałem 1535 (w tej liczbie 89 generalnych, III pierwszych).

K o m u n j i św. rozdałem 1444 (reszta wyświadanych komunikowała w miejscowych kościołach).

C h r z t ó w udzieliłem 741 (przeważnie sub conditione).

Ceremonij chrzestnych dopełniłem względem 887 osób. Razem więc 1628. Do metryk zapisałem około 500 osób.

Bierzmowania udzieliłem 393 osobom.

Ostatnie Namaszczenie 11 osobom.

Małżeństw pobłogosławiłem 15 par.

Do tercjarstwa św. Franciszka przyjąłem około 100 osób.

A. M. D. G.

Dokończyłem pisać 5 października 1903 r.



SPIS RZECZY.

	Str.
Kilka słów o misjach na Podlasiu	5
Wycieczka misyjna w r. 1902	31
Wycieczka misyjna w r. 1903	80

PRACE TEGOŻ AUTORA:

- Czytania podlaskie.* Kraków 1904 (wyczerpane).
- Św. Józafat Kuncewicz, arcyb.-męczennik.* Wyd. 2.
Bł. Andrzej Bobola, męczennik T. J. Wydanie 3
(wyczerpane).
- »*Welehradzkie utopje*«. Kraków 1909 (wyczerpane).
- Z propagandy schizmy w Galicji.* Kraków 1912 (wyczerpane).
- Katolicyzm a prawosławie.* Kraków 1912 (wyczerp.).
- Katolicyzm eleuzyński.* Kraków 1910 (wyczerpane).
- Spór o chełmskich wyznawców.* Kraków 1918.
- O prawa obywatelskie dla kobiet.* Kraków 1918.
- Na wejście w świat.* Poznań, wyd. 2 (wyczerpane).
- Makryna Mieczysławska w świetle prawdy.* Kraków 1923.
- Na tematy współczesne.* Kraków 1923.
- Z domu zaczadzonych (Marjawici w świetle własnych publikacyj).* Kraków 1923.
-

XV
urb